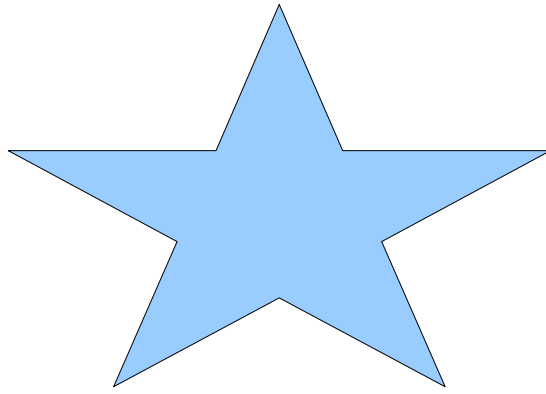


Z CHOMIKA VALINOR

ADAM BAHDAJ

PODRÓŽ ZA JEDEN UŠMIECH



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.....	2
ROZDZIAŁ PIERWSZY.....	3
ROZDZIAŁ DRUGI.....	15
ROZDZIAŁ TRZECI.....	27
ROZDZIAŁ CZWARTY.....	39
ROZDZIAŁ PIĄTY.....	53
ROZDZIAŁ SZÓSTY.....	67
ROZDZIAŁ SIÓDMY.....	84
ROZDZIAŁ ÓSMY.....	108
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.....	126
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.....	138
ROZDZIAŁ JEDENASTY.....	153

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Poznajcie najpierw Dudusia Faferskiego, mojego ciotecznego brata — pozał się Boże. Wierzcie mi, gdyby to ode mnie zależało, Duduś nigdy nie byłby moim ciotecznym bratem ani nawet dalekim kuzynem. Ale cóż, jest synem mojej rodzonej ciotki, więc przepadło. Tak mnie los skarał. Najwięcej cierpię z tego powodu w szkole. Chodzimy bowiem do jednej klasy, a gdy tylko coś przeskrobie, zaraz słyszę kazanie: „Jesteś nie przygotowany, jesteś leń, bierz przykład z ciotecznego brata”. Albo: „Duduś wczoraj dostał piątkę z fizyki, a ty co?” I tak Duduś Faferski prześladowuje mnie od pierwszej klasy.

Nic więc dziwnego, że postanowiłem coś niecoś napisać o nim, żeby ludzie wiedzieli, co to za jeden.

Oto on:

wzrost— 167

waga — 64

oczy — niebieskie jak u niewinnej panienki

znaki szczególne — krostka na końcu nosa

Prócz tego Duduś jest po prostu Dudusiem i gdyby nawet miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, to też zostałby Faferskim. Biedna ta ciocia Benia, kocha go, bo gdyby go nie kochała, to już dawno zmieniłaby nazwisko, mimo że wuj Waldek otrzymał ostatnio Złoty Krzyż Zasługi za budowę kombinatu petrochemicznego w Płocku.

A teraz może trochę o sobie... Zresztą, po co o sobie pisać? I tak poznacie mnie podczas naszej długiej podróży. A podróż zapowiada się interesująco.

Najpierw —jeszcze w maju — była narada rodzinna.

Zeszli się u nas na kawie moi rodzice, rodzice Dudusia, babcia Faferska i ciocia Anka, ta najmłodsza z sióstr mojej mamy i najbardziej przeze mnie lubiana. Wypili dwa litry kawy, pół butelki koniaku, zjedli całą bombonierkę od Wedla i uradzili, że na wakacje wyjeżdżamy na wyspę Wolin, do Międzywodzia.

Wszystko obmyślili planowo i cybernetycznie (ulubione powiedzonko mojego taty). Aleja od razu wiedziałem, że z tej cybernetyki nic dobrego nie wyniknie.

W połowie czerwca mama z ciocią Benią i z młodszymi dziećmi wyjechały do Międzywodzia, żeby dzieci jesienią nie chorowały na migdałki. Ja i Duduś zostaliśmy do końca roku szkolnego w Warszawie. Czekałiśmy prawdopodobnie na to, żeby Duduś przyniósł same piątki, a babcia Fąferska mogła do mnie zatelefonować: „Widzisz, Poldek, Duduś ma same piątki, a ty co? Zmień się, chłopcze, bo co z ciebie wyrośnie?”

Do tej pory nie zastanawiałem się nigdy, co ze mnie wyrośnie, bo gdybym się zastanawiał, to nic by ze mnie nie wyrosło. Ale to nieważne. Najważniejsze, że mój tata zaraz po zakończeniu roku szkolnego powinien nas zawieźć do Międzywodzia, gdzie mieliśmy wdychać świeże powietrze, nabierać sił na rok następny, hartować ciało w lodowatej wodzie i uodpornić organizm na rozmaite choroby i bakterie.

Tymczasem tatę, który wszystko obmyślił planowo i cybernetycznie, wezwano nagle do huty „Florian”. Cała cybernetyka wzięła w łeb. Nie miał nas kto odwiedzić. Wynikł z tego kosmiczny bałagan. Rodzinka w proszku. Mama z ciocią Benią i z młodszymi dziećmi wdychają jod w Międzywodziu, tata naprawia coś w hucie „Florian”, wujek Fąferski buduje kombinat petrochemiczny w Płocku, Duduś rozkoszuje się piątkami u babci Fąferskiej, a ja w domu z ciocią Anką rozmyślamy — co robić?

Po krótkiej naradzie doszliśmy do wniosku, że należy zadzwonić do wuja Fąferskiego. Dostał niedawno Złoty Krzyż Zasługi, więc powinien coś wymyślić.

Po dwóch godzinach wydzwaniania złapaliśmy go w dziale zaopatrzenia.

Oto rozmowa:

CIOCIA ANKA: Przyjeżdżaj natychmiast, bo ktoś musi odwiedzić chłopców.

WUJEK: Przecież Staszek miał ich odwiedzić.

CIOCIA: Staszek wyjechał do huty „Florian”.

WUJEK: Nie rozumiem, dlaczego wyjechał do huty „Florian”, skoro miał ich odwiedzić.

CIOCIA: Ja też nie rozumiem, ale nic na to nie poradzę. Będziesz musiał ich odwiedzić do Międzyzdrojów.

WUJEK: Czy nasi są w Międzyzdrojach?

CIOCIA: Wybacz, wszystko mi się już pomieszało. W Międzywodziu, oczywiście.

WUJEK: Kobieto, mnie tu wszystko wali się na głowę, a ty chcesz, żebym ich odwoził.

CIOCIA: Ja nie chcę, tylko ktoś musi.

WUJEK: To odwiedź ich ty.

CIOCIA: Wesoły jesteś. To ty radziłeś, żeby jechali tak daleko do Międzyzdrojów.

WUJEK: (krzyczy) Międzywodzia.

CIOCIA: (krzyczy) Niech będzie Międzywodzia. I tak wszystko jedno.

WUJEK: Co wszystko jedno?

CIOCIA: W ogóle.

WUJEK: To się samo przez się rozumie...

W tym miejscu coś w słuchawce chrypnęło, a uprzejma telefonistka powiedziała, że przerwano rozmowę ze względów technicznych. Ciocia ruchem niezdecydowanym odłożyła słuchawkę.

—To się rozumie samo przez się — powtórzyła przedrzeźniając wuja. — Je mu coś tam wali się na głowę, a ja będę musiała odwozić was do Międzyzdrojów.

—Do Międzywodzia — poprawiłem.

—Tak — skinęła z rezygnacją ręką. — Czy oni nie rozumieją, że jestem strasznie zajęta?

Oczywiście, ciocia Anka była okropnie zajęta. Nigdy nie mogła doczekać się piątej godziny, kiedy pod dom na nowiutkiej „jawie” zajeżdżał Franek Szajba, obrotowy „Legii”, członek kadry narodowej i reprezentant Polski w koszykówce. Miał sto dziewięćdziesiąt osiem wzrostu i pisali o nim w „Przeglądzie Sportowym”, że strzela kosze z zamkniętymi oczami. Ciocia Anka chodziła stałe na treningi, na mecze, a w domu puszczała płytę „Gdy mi ciebie zabraknie” w wykonaniu Reny Rolskiej i wdychała.

Czy w takiej sytuacji ciocia Anka mogła nas odwiedzić do Międzywodzia? Kto wtedy czekałby na Szajbę, wdychał i puszczał „Gdy mi ciebie zabraknie”?

—Co ja teraz z wami zrobię? — zapytała ciocia żalnym głosem.

—Kto by się tym przejmował — powiedziałem, bo żal mi się zrobiło jej i Szajby. — Wujek Waldek dostał Krzyż Zasługi, to mądry.

Ciocia od razu poweselała.

—No tak, jesteście już prawie dorośli. Czternaście lat, ho, ho!

—Damy sobie, ciociu, radę.

—Myślę, że nie będę musiała was odwozić.

—Oczywiście, pojedziemy sami. Dla mnie to mięta prysnąć z Warszawy do Szczecina pociągiem, a potem autobusem do Międzywodzia.

—Ty, Poldek, jesteś przecież taki zaradny. Boję się tylko o Dudusia.

—Przecież on ma same piątki — wtrąciłem z przekąsem.

—Tak, ale okropny fajtłapa. Pamiętaj, Poldeczku, opiekuj się nim, bo on taki niezyciowy.

—Spokojna głowa. Ciocia kupi bilety, a my już sami walniemy się tam, gdzie trzeba.

Pociąg pospieszny do Szczecina odjeżdżał z Dworca Głównego o siódmej trzydzięci. Oznaczało to, że o piątej powinienem się zerwać na równe nogi. Zamiast mnie zerwała się jednak ciocia Anka. Zaczęła mnie okropnie tarmosić i z nim wstałem, była już piąta trzydzięci.

— Czy nie zapomniałeś czegoś? — zapytała przy śniadaniu ciocia.

Chwilowo nie mogłem sobie przypomnieć, czy czegoś nie zapomniałem, gdyż byłem jeszcze strasznie zaspany. Dopiero później przypomniałem sobie, że się nie spakowałem.

Zacząłem się pakować.

Mama zostawiła mi na kartce spis rzeczy, które mam ze sobą zabrać. Gdybym jednak chciał to wszystko zabrać, musiałbym załadować pół wagonu towarowego. Postanowiłem więc zapakować się systemem harcerskim. Położyłem na podłodze plecak, otworzyłem szafę i zacząłem wrzucać rzeczy, które uważałem za niezbędne. Okazało się jednak, że i tych niezbędnych rzeczy jest za dużo. Wrzuciłem więc tylko jedną zmianę bielizny, ciepły sweter, ręcznik, mydło, szczoteczkę do zębów, kąpielówki, latarkę i wałówkę na jeden dzień. Potem wskoczyłem w stare dżinsy, naciągnąłem harcerską bluzę, przypiąłem do pasa finkę i poczułem się tak szczęśliwy, jakbym już był w Szczecinie, ba, w Międzywodziu.

Dopiero Duduś popsuł mi humor.

Przyszedł punktualnie o szóstej. Gdy go zobaczyłem, oniemiałem z przerażenia.

— Nie jadę z nim! — zawołałem.

— Ależ, Poldziu, dlaczego? — zapytała ciocia.

— Nie jadę. Niech ciocia na niego popatrzy.

Wstyd było na niego spojrzeć. Picuś, laluś do kwadratu: buciki z noskami w szpic tak lśniły, że można się było w nich przejrzeć, spodnie długie tak zaprasowane, że o kanty można było się skaleczyć, koszula jak śnieg biała i do tego błękitna muszka w białe groszki.

— Człowieku, dokąd ty się wybierasz? — zawołałem zrozpaczony.

— Jak to: dokąd? — zdziwił się. — Przecież jedziemy z ciocią Anią do Międzywodzia.

— A ja myślałem, że ty idziesz na bal do księcia Walii.

— Nie żartuj. I pospiesz się, bo się spóźnimy. Podniósł z ziemi coś, co mnie najbardziej przeraziło — walizkę z cielecej skóry, oblepioną różnymi hotelo

wymi nalepkami. Zdawało mi się przez chwilę, że przyjechał z Honolulu. A on

przecież przyszedł od babci Fąferskiej. Chciałem mu coś powiedzieć, ale uprze

dziła mnie ciocia Ania.

— Ach — westchnęła boleśnie. — Dudusiu, zapomniałam ci powiedzieć, że nie mogę odwieźć was do Międzywodzia. Mam właśnie egzaminy na uniwersytecie.

„Tak — pomyślałem — egzaminy, które mają sto dziewięćdziesiąt osiem wzrostu i rzucają kosze z zamkniętymi oczami”. Nie mogłem jednak zasypać cioci, więc powiedziałem jakby nigdy nic:

— No tak, ciocia jest bardzo zajęta, twojemu ojcu wszystko wali się na głowę, mój wyjechał do huty „Florian”, a my jesteśmy już prawie dorośli. Nie martw się, odstawię cię całego do mamy, tylko zdejmię tę muszkę, bo mi się zdaje, żeś połknął motyla.

Duduś zbladł i lekko zatrzęsł portkami.

— To my... to my... pojedziemy sami — wymamrotał.

— Nie sami — zaznaczyłem mimo woli — tylko z podróżnymi. Cała Warszawa wyjeżdża.

— A babcia nic o tym nie wie. Może ja do niej zatelefonuję.

Tego jeszcze brakowało. Teraz ja zbladłem. Byłem bowiem pewny, że jak babcia Fąferska dowie się, że ciocia nie jedzie z nami, to zemdleje i nie pozwoli.

— Nie telefonuj do babci — powiedziałem — bo babcia ma słabe serce i może się zdenerwować.

— Tak, tak — podchwyciła moją myśl ciocia Anka. — Nie można denerwować starszej osoby. Jestem przekonana, że dacie sobie sami radę.

— To się wie — zawołałem ochoczo. — Mamy już przecież bilety... Ciocia odprowadzi nas na pociąg, załaduje do przedziału, a reszta to przecież mięta.

No,

nie martw się, stary. — Klepnąłem Dudusia i zrobiłem taką minę, jakbyśmy już

byli na dworcu.

Duduś jednak nie przestał się martwić. Miał minę zasepionego jamnika i ciągle poprawiał muszkę.

Okazało się również, że nie ma dla nas biletów.

— Wybaczcie — tłumaczyła się ciocia — wczoraj byłam tak strasznie zajęta, że nie zdążyłam nawet pójść do fryzjera. Ale to przecież głupstwo. Odwiozę was na dworzec i tam kupimy bilety.

„Jaka miła ta ciocia Anka. Dla niej to wszystko głupstwo” — pomyślałem. Jednak Duduś był innego zdania. Zbladł jeszcze bardziej i zezując na krostę na końcu nosa, dorzucił:

— Tak, ale babcia mówiła, że na ten pociąg obowiązują miejscówki.

— Są też wagony bez miejscówek.

— Ale podobno teraz ogromny tłok.

— Dla dwóch młodych ludzi zawsze znajdzie się miejsce. — Ciocia spojrzała na zegarek i zawołała: — My gadu, gadu, a tu już szósta piętnaście. Musimy iść.

Duduś podniósł upstrzoną nalepkami walizkę, ja zarzuciłem na ramiona plecak, a ciocia Anka ni stąd, ni zowąd podbiegła do okna. Na dole rozległ się bo-

wiem dobrze mi znany warkot motoru. Byłem pewny, że to Franek Szajba zatrzymał się pod naszą bramą. Nie myliłem się. Wkrótce ktoś zadzwonił, a gdy ciocia otworzyła drzwi, zobaczyliśmy wszyscy dwumetrowego (bez dwu centymetrów) obrotowego „Legii” i reprezentanta Polski we własnej osobie.

Ciocia zupełnie o nas zapomniała, a Szajba w ogóle nas nie zauważył, jakbyśmy byli bożymi krówkami siedzącymi na rododendronie.

— Nie spodziewałam się, że przyjedziesz tak wcześnie — westchnęła ciocia radośnie.

Szajba nie westchnął, bo obrotowemu z „Legii” nie wypada wzdychać. Uśmiechnął się tylko i rzucił od niechcienia:

— Taka ładna pogoda. Może pojedziemy nad Wisłę?

Wtedy ciocia przypomniała sobie o nas.

— Niestety nie mogę. Muszę chłopców odwieźć na dworzec i wyekspediować nad morze.

Szajba spojrział na nas z obrzydzeniem.

— Czy oni nie mogą sami pojechać? Przecież to już tacy wielcy kawalerowie. Fundnij im taksówkę i po krzyku.

Tymczasem nie było jeszcze po krzyku: ciocia zaczęła się łamać, nie wiedząc, czy ma jechać z Frankiem Szajba nad Wisłę, czy z nami na dworzec. Okropnie nie lubię, jak ludzie się łamią i wahają.

— To mięta — powiedziałem. — Ciocia nam fundnie taksówkę i rzeczywiście po krzyku.

— A jak nie dostaniemy biletów? — wtrącił Duduś.

Chciałem go kopnąć w kostkę. Jak można coś podobnego mówić przy reprezentacyjnym obrotowym z „Legii”? Ale go nie kopnałem, gdyż ciocia nagle przypomniała sobie, że skoro jedziemy pociągiem do Szczecina, potrzebne nam są na podróż pieniądze. Pobiegnęła czym prędzej do swego pokoju, a gdy wróciła, położyła na stole banknot pięćsetzłotowy.

— Mam nadzieję, że to wam wystarczy. Tylko błagam, uważajcie, żebyście nie zgubili.

W Dudusia wstąpił duch przekory.

— Ja sam nie jadę — powiedział przez nos, tak jak to zwykli mówić wszyscy Fąferscy.

— Dlaczego, Dudusiu? — zapytała ciocia Anka.

— Bo jak zgubimy pieniądze, to zaraz będzie na mnie.

— Masz babo placek — westchnął zniecierpliwiony Szajba. — Dają im pieniądze, a oni jeszcze grymaszą.

Duduś zasepił się.

— Może jednak zadzwonię do babci...

— Chcesz ją koniecznie zdenerwować?

— I napiszę do Płocka, żeby mnie tata odwiózł.

—Człowieku! — zawołałem. — Wujkowi wszystko wali się na głowę, ma pełne ręce roboty, a ty wyprawiasz takie hece.

—Bo jestem pewny, że nie będzie miejscówek.

—Jack London jeździł na dachach transamerykańskich ekspresów i też było dobrze — wtrąciłem. Wstyd mi było wobec Szajby, za Dudusia i za siebie. Co on

sobie o nas pomyśli?

Cioci też było wstyd. Rozłożyła szeroko ręce, westchnęła po raz trzeci.

— Jak uważacie, moi drodzy, jak uważacie.

Ja w każdym razie uważałem, że trzeba jechać. Powiedziałem to głośno i trąciłem łokciem Dudusia, w którym wciąż jeszcze tkwił duch przekory. Prawdopodobnie nie chciał, żeby ciocia pojechała z Frankiem Szajbą nad Wisłę.

Szajba raczył uśmiechnąć się do mnie.

—No proszę, to mi się podoba. Chłopiec z decyzją.

—Nie mam ochoty siedzieć dłużej w Warszawie — dodałem ze złością. —

A ty rób, co chcesz. I powiem ci, że jesteś okropny lalusz i oferma.

Duduś poczerwieniał nagle. Oczy błysnęły mu gniewnie.

— No dobrze — cisnął przez zęby. — Niech ci będzie, jedziemy, ale jak będzie jakaś wsypa, to pamiętaj, przez ciebie. — Porwał cud-walizkę i pierwszy wyszedł z mieszkania.

Ciocia zawołała za nim:

— Jeżeli masz ochotę, to zadzwoń jeszcze do babci! Okazało się, że Duduś nie miał już ochoty zadzwonić do babci Faferskiej. Zbiegł szybko na dół, uginając się pod ciężarem wypchanej walizki i jeszcze czegoś, co dopiero teraz zauważyłem: lotniczej torby podróżnej, która objęła się o jego kolana. Wyglądał jak pasażer pierwszej klasy luksusowego okrętu. A ja?... Ja — jak tramp. Miałem tylko lekki plecak. Prócz tego przedsmak dalekiej podróży i dwóch cudownych miesięcy nad Bałtykiem. Cieszyłem się, że wyjeżdżamy bez eskorty, a ciocia Anka będzie mogła spędzić pół dnia nad Wisłą z najslawniejszym koszykarzem w Polsce.

— Czym ci to babcia tak wypchała walizkę? — zapytałem Dudusia w taksówce.

Dwie minuty milczał obrażony. Po dwóch minutach odparł półgębkiem:

—Tym, co mamusia napisała w liście.

—I wszystko ci się zmieściło?

—Musieliśmy z babcią siadać na walizce, żeby się zamknęła.

—A co masz w tej torbie?

—Jedzenie.

—Dla siebie?

—Nie, dla nas obu, bo babcia powiedziała, że ciocia Anka na pewno zapomni kupić dla ciebie i będziesz czekał, aż cię ktoś poczęstuje.

—To babcia nie zgadła. Mam dwa kotlety, cztery jajka na twardo i jeszcze mógłbym cię nakarmić. A ty chyba wiesz dla całej rodziny, bo tam podobno są trudności z aprowizacją.

Nie zrozumiał żartu. Wydał tylko wargi i prychnął:

—Phi! Mama pisała, że tam wszystko można dostać. Nawet szynkę i polę dwicę.

—I pieczone gołąbki w ananasowym sosie.

—O tym mama nie pisała — odparł poważnie i zamyślił się głęboko. Miał znowu minę zakłopotanego jamnika, z uporem zezował na koniec krostowatego

nosa. Po chwili zapytał: — Kto to był ten wysoki pan u cioci Anki?

Duduś wyrażał się zawsze bardzo wytwornie i mówił jak dorosły. Mimo to nie rozumiałem jego pytania. W głowie mi się nie mieściło, żeby ktoś mógł nie znać Franka Szajby, o którym pisali w „Przeglądzie Sportowym”, że strzela kosze z zamkniętymi oczami.

—O kim mówisz? — zapytałem.

—O tym, co proponował cioci spacer nad Wisłę.

—Człowieku, to przecież Franek Szajba, najlepszy obrotowy w Polsce.

—Obrotowy? Czy to jakiś nowy zawód?

—Ciemna masa. To przecież fenomenalny koszykarz.

—Wybacz, ale nie interesuję się sportem. Czy to jej narzeczony?

—Chyba tak, bo ciocia stale tylko wzdycha i puszcza „Gdy mi ciebie zabraknie”.

—Ożeni się z nią?

—Chyba nie, bo nie ma czasu. Stale chodzi na treningi i mecze, i do tego ma motor.

Duduś rzucił mi pogardliwe spojrzenie.

—Czy to mu przeszkadza?

—Człowieku, gdybyś ty miał motor, to może chciałoby ci się zenić?

Duduś zamyślił się.

—Wiesz, nie zastanawiałem się nad tym.

Myślałem, że teraz się zastanowi, ale nie zdążył, bo właśnie zatrzymaliśmy się przed dworcem. Duduś z trudem wytaszczył z taksówki cud-walizkę z barwnymi nalepkami, ja zaś zapłaciłem taksówkarzowi i pchnęliśmy się na dworzec. Do hallu weszliśmy właśnie w momencie, kiedy podawano przez głośniki, że „pociąg pospieszny do Szczecina podstawiają na tor trzeci przy peronie drugim”.

—Babcia miała rację — powiedział przez nos Duduś.

—Dlaczego właśnie babcia? — zapytałem.

— Bo powiedziała, że z wami to nigdy nic nie wiadomo, a ciocia Anka jest najbardziej lekkomyślną osobą pod słońcem.

Istotnie, babcia Fąferska miała rację. To, co ujrzelśmy na dworcu, przecho-
dziło wszelkie wyobrażenie. Zwłaszcza tłok. Wyglądało tak, jakby cała Warszawa
wyjeżdżała w tym dniu i tym pociągiem nad morze. Ludzie mieli nieprzytomne
oczy, krzyczeli, biegali i dzielili się na dwie części: dorośli szukali dzieci, a dzieci
szukały dorosłych i nikt nikogo nie mógł znaleźć.

My na szczęście nie musieliśmy nikogo szukać, ale mimo to zdawało się, że
jesteśmy zgubieni. Nie mieliśmy przecież biletów, tymczasem nasz pociąg stał
już na peronie, a wokół niego — jak to często piszą w gazetach — działały się
dantejskie sceny.

— Co to są dantejskie sceny? — zapytałem mimo woli Dudusia.

Mój cioteczny brat, pożał się Boże, spojrział na mnie jak na nieuka i wyjaśnił
rzeczowo:

— Alighieri Dante, największy poeta włoski. Żył w latach tysiąc dwieście
sześćdziesiąt pięć, tysiąc trzysta dwadzieścia jeden. Napisał „Boską
komedię”,

w której opisuje sceny w piekle. Stąd utarło się potoczne powiedzenie —
dan

tejskie sceny. — Potem dodał cierpko: — Ale to przecież nie ma nic
wspólnego

z naszą sytuacją. Wydaje mi się, że jednak dzisiaj nie wyjedziemy do
Szczecina.

— Do odważnych świat należy! — rzuciłem górnolotnie, a potem dosłownie
rzuciłem się w tłum, by dobrnąć do kasy.

Przed kasą wił się długi wąż czekających pasażerów. Panował taki tłok, że
trudno było stwierdzić, kto stoi w kolejce, a kto nie stoi. Stałem więc blisko
okienka i zacząłem udawać, że stoję już od dawna. Nie udało mi się jednak. Jakiś
starszy pan zawołał, żebym stanął tam, gdzie trzeba, i w ogóle nauczył się porząd-
ku. Jakaś pani ujęła się za mną. Ktoś jeszcze wtrącił, że mu pociąg odejdzie, jeżeli
wykupię przed nim bilet. Tak się okropnie zaczęli klócić, że nie spostrzegli, kiedy
znalazłem się z Dudusiem przed okienkiem.

— Dwa zniżkowe do Szczecina! — zawołałem zdyszany.

— Która klasa? — zapytała kasjerka.

— Może być druga. Nam wszystko jedno. Kasjerka wyjęła z szafki dwa bilety,
a ja tymczasem zwróciłem się do Dudusia:

— Dawaj forszę.

Duduś zrobił zdziwione oczy i jeszcze bardziej podobny był do jamnika.

— Jaką forszę?

— No te pięć stów.

— Przecież ty zabrałeś te pieniądze.

— Ja? Tyś chyba z byka spadł.

— Przecież tobie ciocia dała.

— A ja myślałem, że tobie.

— A ja jestem przekonany, że właśnie tobie — powiedział Duduś z przeką-
sem. Chciał jeszcze coś dorzucić, ale nie zdążył, bo właśnie w tej chwili
kasjerka

rzuciła przede mnie dwa bilety.

— Dwieście szesnaście sześćdziesiąt — dodała urzędowym tonem.

Zacząłem błyskawicznie przeszukiwać kieszenie, lecz wiadomo, gdy się czegoś szuka błyskawicznie, to na pewno się nie znajdzie. Zwłaszcza gdy z tyłu odzywają się uprzejme głosy: „Nie mogli wcześniej przygotować pieniędzy!” „Co się tam grzebiesz?” „Niech pani sprzedaje, bo pociąg mi odjedzie, do jasnej Anielki” itp.

Cóż mogłem zrobić? Chwilowo skapitulowałem. Odeszliśmy z Dudusiem na bok i jeszcze raz dokładnie przeszukałem kieszenie. Nie znalazłem nic prócz legitymacji szkolnej, kilku drobnych monet, które zostały po zapłaceniu taksówki, sznurka, starych biletów tramwajowych i okruszyn po chlebie. Duduś stał z boku i patrzył na mnie jak kat na skazańca.

— Babcia miała rację — powiedział ni stąd, ni zowąd. — U was w rodzinie straszny bałagan.

Tej zniewagi nie mogłem jednak puścić płazem. Prychnąłem mu prosto w twarz:

— U nas bałagan, ale i tak nie chciałbym być wnukiem twojej babci, która ma zawsze rację, ani synem twojego ojca, który dostał Złoty Krzyż Zasługi. A zresztą jestem przekonany, że to właśnie ty wzięłeś pieniądze od cioci Anki. Przeszukaj kieszenie!

Powiedziałem to tak ostro, że Duduś nie mrugnął, nawet nie pisnął, tylko grzecznie zaczął przetrząsać kieszenie swoich eleganckich spodni z elany. Pięćsetki jednak nie znalazł.

—Zgubiłeś — oskarżał mnie nikczemnie.

—To ty zgubiłeś — natarłem. — A teraz jeszcze na mnie zwalasz.

—Faferscy nigdy nie gubią pieniędzy. Babcia miała rację.

—Słuchaj — zawołałem gniewnie, bo już dość miałem tego gadania —jeżeli jeszcze raz powiesz: „babcia miała rację”, to ci urwę tę twoją picusiówą muszkę.

Groźba poskutkowała. Duduś skrzywił się, przełknął ślinę i powiedział potulnie:

— Czy to wypada kłócić się przy ludziach?

Nie wypadalo, zwłaszcza że wokół nas zebrał się już spory tłumek ciekawskich i jeszcze chwila, a zaczęliby się zakładać, kto komu pierwszy dosunie albo podbije oko. Nie lubiłem zbiegowiska. Zabrałem plecak i wyszedłem przed dworzec. Przy postoju taksówek rozgrywały się dantejskie sceny. Byłem jednak tak zrozpaczony, że nie zwracałem na to uwagi. Znalazłem zaciszne miejsce pod betonowym ogrodzeniem, usiadłem na plecaku i zamyśliłem się tak głęboko, że zupełnie zapomniałem o Dudusiu. Przypomniałem sobie o nim dopiero wtedy, gdy usłyszałem jego głos:

— Co robimy?

Śmieszne pytanie. Pięć stówek wyparowało jak kamfora, a on pyta — co robimy?

—Nic.

—Przecież nie można robić nic.

—A ja właśnie chcę robić nic.

—Jak uważasz. Ja w każdym razie wracam do domu. — Duduś z trudem podniósł cud-walizkę, zarzucił na ramię lotniczą torbę, spojrzał na mnie pytająco:

—A ty?

—Człowieku — zawołałem — nie ma głupich. Chcesz, żeby mi do końca życia wymawiali w domu, że zrujnowałem rodzinę.

Powiedziałem to mocno i z takim przekonaniem, że na jamnikowatej twarzy Dudusia pojawił się wyraz zainteresowania.

— W takim razie co zamierzasz robić?

Do tej pory nic nie zamierzałem, ale w tej chwili ni stąd, ni zowąd wpadł mi genialny pomysł.

— Wiesz co — rzuciłem — pojedziemy do Międzywodzia autostopem.

Duduś nie zbladł, jak przypuszczałem, ani nie uśmiechnął się z przekąsem, tylko stuknął się w czoło.

—Poldek, ty masz chyba gorączkę. Przecież nie mamy karty ani pieniędzy, ani nie ukończyliśmy osiemnastu lat.

—A Jack London miał?

—Jack London żył w innych czasach.

—Tak, i zjeździł całe Stany Zjednoczone, choć nie miał ani grosza przy duszy. I z San Francisco pchał się na dachu aż do Nowego Jorku, a nikogo się nie pytał o kartę.

Zabiłem mu porządnego ćwieka. Zmarszczył czoło, zaczął trzeć palcem krostkę na końcu nosa.

—Niezły pomysł — szepnął po chwili — tylko co powiedzą rodzice?

—Rodzice będą pewni, że jesteś w domu u babci.

—A babcia?

—Babcia będzie pewna, że jesteś u rodziców.

Duduś pokręcił z niedowierzaniem głową.

—Tak, ale jak długo oni będą pewni?

—A my tymczasem będziemy w drodze...

Tak mi się spodobał ten pomysł, że zamiast się martwić, wyciągnąłem z kieszeni plecaka kawał chleba i kotlet, przełamałem na pół i podałem Dudusiowi.

— Wtrząśnijmy coś niecoś, to zaraz nam się wyklaruje.

Duduś z obrzydzeniem spojrzał na siekany kotlet, tak jakby w torbie miał tylko pieczone kuropatwy i płetwy rekina.

— Nie chcesz, to nie. Sam zjem.

Duduś łamał się. Z roztargnieniem tarł koniec nosa i przestępował z nogi na nogę.

— Słuchaj, jak długo jechalibyśmy do Międzywodzia?

—To zależy od komunikacji, ale zdaje mi się, dwa, trzy dni. Jeden skok do Gdańska, drugi do Koszalina, a potem już blisko. Na trzeci dzień murowanie je

steśmy w Międzywodziu.

—A jak nas przymkną?

—Kto?

—Milicja.

—Za co?

—Że bez karty jedziemy autostopem.

—Jeżeli tak myślisz, to lepiej wracaj do babci i kłaniaj się ode mnie tatusiowi.

ROZDZIAŁ DRUGI

W każdym chłopcu tkwi żyłka awanturicza. Jestem pewny, że we mnie tkwi takich żyłek niezliczona ilość. Dlatego mam pewne trudności w szkole i w domu. W Dudusiu natomiast żyłka awanturicza była zupełnie znikoma. Gdybyśmy jednak dodali to, co tkwi we mnie, i to — co w Dudusiu, starczyłoby zapewne jeszcze dla trzech czternastolatków. Dlatego prawdopodobnie Duduś Fąferski — mimo błękitnej muszki i kantów na spodniach — zdecydował się pojechać ze mną autostopem do Międzywodzia.

Z Dworca Głównego pojechaliśmy tramwajem na plac Dzierżyńskiego, tam przesiedliśmy się w autobus, który jechał na Bielany, a z Bielan znowu tramwajem pchnęliśmy się do Młocin.

Dzień był pogodny, ciepły, jak gdyby pan Wicherek z Telewizji specjalnie dla nas zamówił w Państwowym Instytucie Meteorologicznym. Nic, tylko bezchmurne niebo i śpiew ptaków w przydrożnych zaroślach. Usiedliśmy więc przy szosie gdańskiej, w cieniu przydrożnej topoli, i zrobiliśmy rachunek.

Ja — jak już wspomniałem — miałem tylko trochę drobnych. Naliczyłem tego coś cztery złote dziesięć groszy. Sytuację finansową ratował jednak Duduś. Oprócz dwudziestu złotych, które dała mu babcia na drogę, posiadał jeszcze książeczkę PKO, a na książeczkę dwieście czterdzieści złotych. Podsumowaliśmy szybko. Razem było dwieście sześćdziesiąt cztery złote i dziesięć groszy, jeżeli te dziesięć groszy miało jakieś znaczenie.

—Kupa forsy! — zawołałem uradowany. — Gdyby Jack London podczas swej podróży po stanie Missisipi miał tyle pieniędzy, dojechałby na pewno do

Teksasu.

—Czy to nam wystarczy? — zapytał zawsze przezorny Duduś.

—Człowieku, możemy walić na koniec świata.

—Tak, ale te pieniądze przeznaczyłem na wielki atlas historyczny.

—Nie martw się. Zwrócę ci moją część. A jak wuj Waldek dostanie premię za wybudowanie kombinatu petrochemicznego, to ci jeszcze dosoli ze dwa patyki.

—To są pieniądze od babci.

— A, niech będą nawet od ministra. Czy to ma jakieś znaczenie?
Wzruszył tylko ramionami. Czulem, że nie potrafię go przekonać, więc doda-
łem:

— Pomyśl, człowieku, przypuśćmy, że razem zgubiliśmy te pięćset złotych,
ile wypadałoby na ciebie? Dwieście pięćdziesiąt, prawda?

Duduś zaprotestował:

—Daję ci słowo, że to nie ja zgubiłem.

—Ja też nie — zachnąłem się żywo.

—W takim razie kto?

Bylibyśmy się znowu pokłócili, więc wołałem przerwać tę jałową gadaninę.

—Niech ci będzie. Funduję ci całą wyprawę, bo jestem pewny, że nie wydamy
wszystkiego, a zresztą rodzina Wanatowiczów zawsze miała gest.

—A ty zawsze jesteś taki hojny, kiedy nie masz pieniędzy.

—Mniejsza o to. Najważniejsze, żebyśmy jeszcze dzisiaj dojechali do Gdań-
ska.

W ten sposób skończyłem dyskusję o naszych zasobach finansowych, a że
takich i tym podobnych dyskusji w czasie podróży mieliśmy bez liku, poprzestanę
na tym, że w końcu Duduś zgodził się na wspólną kasę.

Najważniejsza była jednak sama technika podróżowania autostopem. Jako zu-
pełnie zieloni autostopowicze, nie mieliśmy o niej pojęcia. Wyobrażałem sobie,
że to zupełnie proste. Stajesz na szosie, podnosisz do góry łapę, a kierowca, jak
aniołek ze skrzydełkami, podjeżdża, kłania się uprzejmie i zapytuje, dokąd cię
podwieźć.

Tymczasem na autostopowicza czeka siedem plag egipskich, zanim jedna roz-
dryndzona ciężarówka raczy zatrzymać się na szosie. Musisz mieć nerwy jak po-
stronki, zdrowie jak kulturysta, wolę jak święty Franciszek z Asyżu, a przebie-
głość dziesięciu przekupek, żebyś ujechał przynajmniej dziesięć kilometrów. Lu-
dzie za kierownicą zamiast skrzydeł mają rogi i ogony z chwostem, a przy tym tak
niewyparzone pyski i tak plugawą mowę, że uszy więdną. Na szczęście mnie uszy
nigdy nie więdną, ale przyznam się, zanim złapaliśmy pierwszego „przewoźnika”,
kilkakrotnie byłem już na skraju rozpacz.

Nie wspominam oczywiście o Dudusiu. Mój cioteczny brat — pozał się Bo-
że — śmiał mniemać, że kierowcy będą go prosić, by raczył zaszczycić ich wóz
swoją osobą. Co za zwyczaj! Stoi elegant z walizką oblepioną nalepkami hoteli
z całego świata, spodnie w kant, muszka jak barwny motyl, a tymczasem kierow-
ca nawet nań nie spojrzy, tylko doda gazu, a na pożegnanie wypuści dymek z rury
wydechowej. Skandal. Nie można się dziwić, że Duduś Fąferski chciał wracać do
babci.

Na szczęście znalazł się jeden sprawiedliwy. Zdarzyło się to wieczorem,
w momencie kiedy chciałem powiedzieć Dudusiowi, że babcia jednak miała ra-
cję. .. Z daleka zobaczyłem zbliżającego się „stara”. Wywlokłem się z rowu, z re-

zygnacją wyciągnąłem rękę, jakbym prosił o jałmużnę. Nie patrząc na dryndę, czekałem, kiedy mnie minie. Tymczasem usłyszałem, że wóz hamuje, zatrzymuje się przy mnie... i ze zdumieniem zobaczyłem, jak z szoferki wychyla się czyjaś opalona gęba, uśmiechając się czyjeś niebieskie oczy. Myślałem, że to sen. Ale, dając słowo, to nie był sen ani nawet złudzenie, po prostu młody, uprzejmy kierowca.

—Dokąd to, kolego? — zawołał.

—Do Gdańska.

—Do Gdańska to nie dojedziemy. Mogę cię podrzucić do Grudziądza.

—Dobre i to! — zawołałem tak głośno i radośnie, że Duduś, który w stanie zupełnego zwątpienia drzemał pod topolą, zerwał się nagle i złapał za cud-

walizkę

z cielejącej skóry.

Na jego widok kierowca zachłysnął się śmiechem. Widocznie bardzo mu się spodobała błękitna muszka w białe groszki i jamnikowate wejście.

—A ten co, na występy?

—Nie — odparłem ze wstydem. Nic mi innego nie przyszło do głowy, więc palnąłem: — On do cioci na imieniny.

—Kolega?

— Nie... Ot, przypętał się po drodze.

Kierowca ze zdumieniem kręcił głową.

—Ho, ho, z taką walizką do cioci na imieniny. Myślałem, że przez tę piekielną walizkę zostaniemy znowu na lodzie, a raczej na szosie, ale kierowca skinął na

mnie.

—Masz taki miły uśmiech, że trudno ci odmówić. Pakujcie się, niech stracę.

Wpakowaliśmy się pospiesznie do szoferki: ja oniemiałem ze szczęścia, Duduś oniemiały z przerażenia. Muszę zaznaczyć, że szoferka nie była przeznaczona ani dla jego elanowych spodni, ani białej popelinowej koszuli, nie mówiąc o muszce w groszki. Siedzenie wyszmelcowane lśniło od zakrzepłej ropy, a na ścianach leżała gruba warstwa kurzu.

Duduś wsunął się jak aniołek do piekielnej bramy i tak usiadł, jakby nie chciał w ogóle dotknąć siedzenia. Najchętniej zostałby w stanie nieważkości i wisiał jak kosmonauta w swej kabinie. Ale cóż, ziemia ma swoje fizyczne prawa. Więc Duduś — chcąc nie chcąc — dotykał kantami swych spodni płótna szoferskiej ławy. Nie wyglądał wcale na trampa ani na autostopowicza, właściwie to w ogóle nie wyglądał.

Kierowca od razu znalazł temat do rozmowy.

— To kolega na imieniny cioci? — zaczął wesoło, gdyśmy tylko ruszyli. Duduś spojrział na mnie błagalnie. Zrozumiałem, że wzywa pomocy, więc od rzekłem za niego:

—Tak... właśnie na imieniny.

—Z walizką pełną prezentów, co? A nie stać było kolegi na pociąg?

— Niestety, zgubił pieniądze albo go ktoś okradł — fantazjowałem łykając ciężko ślinę.

Kierowca gwizdnął cicho.

—No proszę, takie dzisiaj czasy.

—Zlitowałem się nad nim, bo sam nie dałby sobie rady — dodałem przerażony tym, co mówię.

Duduś jęknął przeciągle i posłał mi nienawistne spojrzenie. Kierowca jeszcze raz gwizdnął przez zęby.

—No proszę, takie nieszczęście, aż go zatkało. Cóż to, kolega nie potrafi sam odpowiadać?

—Tak — rzuciłem pospiesznie — on ma błędy w wymowie... jest bardzo upośledzony...

Tego już Duduś nie wytrzymał.

— Nie jestem upośledzony! — zawołał. — I nie jadę na imieniny cioci ani nie wiozę dla niej prezentów. Jestem jego ciotecznym bratem — wskazał na mnie — i wcale nie zgubiłem pieniędzy ani mi nie ukradli, tylko on zgubił.

Oniemiałem, struchlałem. Byłem pewny, że kierowca zatrzyma wóz i nas wysadzi. On jednak ani nie zatrzymał wozu, ani nas nie wysadził, tylko zaczął się tak serdecznie śmiać, że aż boki zrywał. A gdy skończył się śmiać, spojrzał na nas ubawiony.

— No, koledzy, przyznajcie się, pewno nawialiście z domu?

Chciałem się przyznać; bo cóż mi to szkodziło, ale Duduś mnie uprzedził.

—To wszystko przez Poldka — jęknął. — To on ma takie fantastyczne pomysły.

—No, no — kpił kierowca — podiwaniłście walizkę rodziców i chodu. Rożumiem. ..

—Wcaleśmy nie podiwani, tylko tatuś mija pożyczył.

—Mowa.

—Tatuś jest inżynierem-chemikiem i pracuje przy budowie kombinatu petrochemicznego w Płocku.

—I dostał Złoty Krzyż Zasługi — dodałem mimo woli.

—A wy zwiewacie z domu. Nie bujajcie, nie bujajcie — żartował kierowca. — Ja też nieraz zwiewałem. Nie wiem tylko, czy daleko zajedziecie.

Lepiej

łapcie pierwszy wóz do Warszawy i wracajcie.

Myślałem, że teraz zatrzyma „stara” i wysadzi nas w szczerym polu, ale on tymczasem zapalił papierosa. Nie patrząc już na nas, zaczął nucić jakiś szlagier. Miał niski, ładny głos, a gdy śpiewał, mrużył wpatrzone w szosę oczy i uśmiechał się.

Jechaliśmy przez mazowiecką ziemię. Słońce już zachodziło. Czerwoną banią wisiało nad polami. Wokół było srebrzyście od falującego żyta. Zielone kępy

drzew złościły się w słońcu, a „star” pruć naprzód, aż szumiało mi w uszach melodią wspaniałej muzyki.

Dudusiowi prawdopodobnie nie szumiało. Siedział nieruchomo jak mumia egipska i myślał o wygniecionych spodniach i poplamionej koszuli. Ja natomiast o niczym nie myślałem. Było mi dobrze. Czułem, że zaczyna się wspaniała podróż. ..

Kierowca miał w repertuarze kilka najnowszych szlagierów z programu radiowego. Śpiewał coraz głośniejsze, jak gdyby chciał nas zabawić: „Pusf wsiegda budiet sołnce”, potem „Do twista nie trzeba nam lakierków”, potem „Tbilisi”, a na końcu „Gdy mi ciebie zabraknie, gdy zabraknie mi ciebie”.

Od razu przypomniała mi się ciocia Anka i Szajba, który strzelał kosze z zamkniętymi oczami. Pomyślałem sobie: „Jak to dobrze, że miałem taki fantastyczny pomysł. Teraz ciocia nie ma z nami kłopotu ani my z ciocią i wszyscy jesteśmy zadowoleni oprócz Dudusia. No, ale Dudus w ogóle się nie liczy, bo nie ma fantazji”.

Gdy nasz miły wybawca skończył śpiewać, zaznaczyłem ot tak sobie:

— Ładny szlagier, co? To moja ciocia stale puszcza go na adapterze i wzdycha do Franka Szajby.

Kierowca ożywił się nagle.

—Tego z „Legii”?

—Tego samego, co strzela kosze z zamkniętymi oczami. To narzeczony na szej cioci. Ma sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów. Szkoda, że nie urósł jesz

cze, byłby równy rachunek.

—Fenomenalny — cmoknął kierowca. — Widziałem go ostatnio na meczu z „Realem”. Mówię ci, koncert gry.

Przez następne dwadzieścia kilometrów rozmawialiśmy tylko o Franku Szajbie. Opowiedziałem mu, jak kiedyś Szajba nie przyszedł o piątej, a ciocia Ania przez dwa dni nic nie robiła, tylko puszczała „Gdy mi ciebie zabraknie”, a potem długo pisała list i prosiła mnie, żebym ten list zaniósł Frankowi na treningi. I jak ja byłem ogromnie ciekawy, co w tym liście napisała. I rozkleiłem kopertę nad parą, ale w ostatniej chwili zamknąłem oczy i nie przeczytałem, bo pomyślałem, że to świństwo czytać cudze listy. A potem, jak ciocia Anka prosiła mnie, żebym śledził Szajbę po treningach, a ja cały wieczór jak Sherlock Holmes chodziłem za najlepszym koszykarzem.

—I co, pewno poszedł do drugiej cioci? — przerwał mi w tym miejscu kierowca.

—Ale skąd! — zawołałem z oburzeniem. — Poszedł na pocztę i przez godzinę i dwadzieścia dwie minuty pisał list.

—Do twojej cioci?

— Zgadł pan, bo na drugi dzień ciocia dostała ten list i była taka szczęśliwa, że go pocałowała. I od tej pory już się nie gniewali, tylko razem chodzili na treningi. I zdaje mi się, że dlatego teraz jedziemy z panem.

Nie zajechaliśmy jednak daleko. Za zakrętem ukazał się nagle wóz naładowany sianem. Ale to nie było najważniejsze ani najgorsze. Najgorsze dopiero nastąpiło. Wóz stał na środku szosy, a woźnica, jak gdyby nigdy nic, przymocowywał do wozu latarnię. Kierowca pochylił się nad kierownicą, zaczął gwałtownie hamować. Rozpędzony „star” zatańczył na szosie, bujał się od rowu do rowu. Zdawało mi się, że wpadniemy prosto na siano, ale na szczęście w ostatniej chwili kierowca skręcił i znaleźliśmy się w rowie.

Duduś ocknął się z kompletnego odrętwienia. Zapytał zaspianym głosem:

— Co się stało?

Nikt nie udzielił mu odpowiedzi: kierowca wyskoczył z szoferki i sychnął tak rozkoszną wiązańką życzeń, że woźnicy zwiędły uszy. Ale to wcale nie zmieniło naszego położenia. „Star” dwoma kołami tkwił w głębokim rowie, przechylony jak waląca się buda, a my zamiast do Grudziądza zajechaliśmy nie wiem dokąd.

—No, koledzy — powiedział kierowca, kiedy nieco ochłonął z pierwszego gniewu — wpakowaliśmy się porządnie przez tego małorolnego parafiana. —

Rozłożył szeroko ręce. — Umarł w butach. Do rana nikt mnie stąd nie wyciągnie.

Prześpię się w szoferce, a wy musicie poszukać jakiegoś noclegu.

—Ładna perspektywa — wyszeptał błady jak płótno Duduś. — Pierwszy skok do Gdańska — dodał z przekąsem.

—Człowieku! — zawołałem. — Czy ja jestem odpowiedzialny za wypadki drogowe? Ciesz się, że wyszliśmy z tej kraksy cało.

—Spodnie mi się wymięły — jęknął.

Oto cały Duduś Fąferski. Życie nasze przed chwilą wisiało na włosku, a on o swoich spodniach. Byłem pewny, że za chwilę rozplacze się, a cały ten przykry wypadek zwali na moją rodzinę. Lecz Duduś nie rozplakał się. Wyciągnął z szoferki walizkę i torbę i stanął tak bezradnie, że zamiast niego ja powinienem się rozplakać. Potem zapytał:

—Właściwie gdzie my jesteśmy?

—Pod Płońskiem — wyjaśnił kierowca. — Do miasta jeszcze jakieś piętnaście kilometrów. Ale lepiej zrobicie, jeżeli pójdziecie polami. Tam po drodze musi

być jakaś wieś. — Pokazał w nieokreślonym kierunku, a my, chcąc nie chcąc, ru

szyliśmy przed siebie.

Niełatwo jest iść przed siebie, jeśli się nie wie dokąd. Noc już zapadła. Nie było nic widać prócz białej koszuli Dudusia i nic słyhać prócz jego ciężkiego sa-

panią. A wokół pusto i groźnie. Można się domyślić, że nie uszliśmy daleko, jeśli Duduś musiał siadać z babcią na walizce, żeby ją domknąć. Po kilkudziesięciu krokach jęknął i postawił walizkę na drodze.

—Dokąd my właściwie idziemy? — zapytał.

—Przed siebie — odparłem zniecierpliwiony.

—Jeżeli idziemy przed siebie, to możemy dojść nie wiadomo gdzie.

—A dokąd chcesz dojść?

Duduś ziewnął rozkosznie.

—Jestem okropnie śpiący. Czy tu jest w okolicy jakaś gospoda lub hotel?

Parsknąłem śmiechem.

—Dla szanownego pana zamówię zaraz pokój z łazienką.

—Nie żartuj — westchnął jękliwie. — Chciałbym się umyć, wyczyścić sobie spodnie i zmienić koszulę, bo mi się lepi do pleców.

—Zaraz zadzwonimy na pokojową.

—Z tobą to w ogóle nie można poważnie rozmawiać.

Nie widziałem jego jamniczej gęby, ale zdawało mi się, że obraził się na mnie, bo znowu podniósł walizkę i ruszył chwiejnym krokiem. Pomyślałem, że gdyby go teraz zobaczyła babcia Fąferska, to zemdlałaby z przerażenia. Na szczęście było tak ciemno, że nikt nie mógł go zobaczyć. Przez chwilę rozkoszowałem się myślą: „Ta cud-walizka tak mu da w kość, że już nigdy nie wybierze się w podróż”. Potem jednak pożałowałem go. Bądź co bądź towarzysz podróży. Podniosłem więc z ziemi patyk i zastopowałem Dudusia. Przeciągnęliśmy patyk przez uchwyt walizki i ruszyliśmy w dalszą drogę, niosąc między sobą skarb rodziny Fąferskich.

Szliśmy dalej i nic nie wskazywało na to, żebyśmy mieli dojść do wsi. Zupełne pustkowie. Można powiedzieć — Sahara. Piaszczysta droga wiodła przez ugory porośnięte z rzadka krzakami. Nad nami wisiało wysokie, przepastne niebo — ciemne i bezgwiazdne. W trawach cykały koniki polne, a w dali coś pohukiwało. Może puszczyk, a może mi się tylko tak zdawało.

Ogarniał mnie powoli strach i miałem wrażenie, że zgubiliśmy drogę. Ale jak można zgubić coś, o czym nie ma się zielonego pojęcia.

Duduś zatrzymał się gwałtownie.

—Wybacz mi, ale ja już dalej nie idę.

Cóż miałem robić? Wybaczyłem mu. Przyszło mi to bez trudu, bo sam byłem porządnie zmęczony.

—W takim razie robimy biwak — powiedziałem zuchwale.

—Co? — zdziwił się Duduś. — Tutaj? W szczerym polu?

—A gdzie chcesz?

—Myślałem, że znajdziemy jakiś nocleg.

—Jak możemy znaleźć, kiedy nie chcesz iść dalej, a zresztą nie wiadomo, czy dalej nie będzie tak samo, jak tutaj.

Zrzuciłem z ulgą plecak, wyjąłem latarkę i przyświecając rozejrzałem się dookoła. Nic, tylko piach, sucha trawa i jałowce. Poczułem się trochę jak Robinson Kruzo na bezludnej wyspie, a trochę jak Jack London na dachu pędzącego pociągu. Chwilę stałem bezradnie. Duduś stał bezradnie do kwadratu i tak staliśmy, nie wiedząc, co robić. Dłuższy czas nie robiliśmy nic i było okropnie głupio.

Nie należę do chłopców lękliwych, ale przyznam się, trząsałem portkami na samą myśl, że spędzimy noc na tym pustkowiu. Duduś też trząsał portkami. I tak trzęśliśmy razem, żeby było raźniej. Dopiero gdy przypomniałem sobie, jak wędrownicy północy rozbijali namiot wśród huraganowej burzy śnieżnej, zrobiło mi się lżej. Tutaj przynajmniej nie było śnieżycy ani nie wyły wilki, ani ślina nie zamarzała, zanim wypluta upadła na ziemię.

Wziąłem się żwawo do roboty. Znalazłem zaciszne miejsce osłonięte gęstym jałowcem, narwałem suchej trawy, wymościłem legowisko i zacząłem wciągać gruby wełniany sweter.

Duduś spojrzał na mnie zgorzony.

— Nie wkładasz na noc piżamy?

W tym jednym pytaniu tkwił cały Fałerski. Roześmiałem się głośno, bo cóż mogłem odpowiedzieć.

—Kładziemy się! — zawołałem.

Duduś stał jak sparaliżowany.

—Tutaj?

—Możesz gdzie indziej, jeśli ci się nie podoba.

—A gdzie można wymyć zęby?

—W Warszawie.

Duduś wzruszył ramionami.

—Nie rozumiem, jak można położyć się nie myjąc zębów. Jeżeli nie myje się zębów, bakterie atakują szkliwo, szkliwo pęka i można dostać próchnicy.

—To niech dostanę.

—I w ogóle to niehigienicznie.

—Zamknij się i umyj za mnie.

Położyłem się na suchej trawie, nogi starym zwyczajem traperskim włożyłem do plecaka i spojrzałem w górę. Nade mną rozciągało się czyste już niebo, gwiazdy zamigotały w ciemności. Było ich coraz więcej, jak gdyby sypały się z czarnej czeluści. Zapachniało mi suchym jałowcem i trawami. I wszystko zawirosowało w głowie: ciocia Anka, Szajba, tłum na dworcu, wesoły kierowca, wóz pełen siana, ciemne świece jałowców i gwiazdy, gwiazdy.

I nic już więcej nie pamiętam, bo zasnąłem.

Obudziło mnie beczenie kozy. Chwilowo nie wiedziałem, gdzie jestem. Otworzyłem najpierw jedno oko, potem drugie i nad sobą zobaczyłem białą bródkę, potem rogi, wreszcie całą kozę. Nie mogłem pojąć, skąd się ta koza tutaj wzięła. Nigdy nie miałem zwyczaju sprowadzać kozy do mieszkania. Przetarłem oczy i dopiero wtedy pojąłem całą sytuację. Przypomniałem sobie, że od wczoraj podróżujemy autostopem.

Widok był zdumiewający: nade mną biała koza, obok mnie Duduś, a nad nami czyste niebo i śpiew ptaków. Zupełnie jak w opowiadaniach Jacka Londona. Duduś spał oczywiście w pasiastej piżamie. Miał nie umyte zęby — co poznałem po jego niezadowolonej minie i po bakteriach, które niszczyły szkliwo.

Zerwałem się, przeciągnąłem rozkosznie. Przez chwilę wsłuchiwałem się w śpiew makolągwy i czyżyków, a potem pełen dobrych myśli zawołałem:

— Och, jak jest pięknie!

I było naprawdę pięknie. Poranny wiatr szumiał w jałowcach, na trawach wisiała gęsta rosa. A dalej był sosnowy las. Pnie sosen czerwieniły się w delikatnym żarze wschodzącego słońca. Niebo było czyste, wysokie, przepastne i bardzo wesołe.

Przez następny kwadrans budziłem Dudusia. Duduś nie chciał uwierzyć, że spędził noc na biwaku. Mruczał przez sen:

— Babciu, jeszcze minutkę. Babciu, zlituj się nade mną. Babciu, przecież wakacje. ..

Śmiałem się z jego babciowania, lecz dość miałem użerania się z zaspanym Fąferskim. Zawołałem więc pełnym głosem:

— Duduś, ktoś ukradł walizkę!

Zerwał się w jednej chwili. Parsknąłem jeszcze głośniejszym śmiechem, bo oto miałem przed sobą zupełnie innego Dudusia. Nie pozostało nic z jego wrodzonej elegancji i szyku. Stał przede mną w wymiętej piżamie, rozczochrany, z twarzą usmarowaną i oblepioną piaskiem. Jednym słowem, nie Duduś Fąferski, tylko straszycło.

— Gdzie walizka? — zawołał.

Walizka była tam, gdzie być powinna, a na walizce porzucone w nieładzie ubranie Dudusia.

— Głupie żarty — powiedział szcękając zębami. — I... i jestem pewien, że przez ciebie dostanę zapalenia płuc, bo mnie kłuje w boku.

— Popatrz, jak pięknie — powiedziałem pojednawczo.

Duduś skrzywił się.

—Pięknie, pięknie! Kości mnie bołą i jeżeli nabawię się reumatyzmu, to wszystko przez ciebie.

—Będziesz mnie przynajmniej pamiętał do końca życia — zażartowałem.

Duduś nie znalazł się na żartach. Skrzywił się płacząco, zakaszał, jakby w ten sposób chciał mnie jeszcze bardziej oskarżyć.

—Mam chrypkę i gardło mnie boli.

—Wymień od razu wszystkie choroby, a na drugi raz nie śpij w piżamie, bo to bardzo niezdrowo. Teraz, bratku, rozruszajmy się trochę. Kości się zastały.

Zacząłem skakać i wymachiwać rękami. Wyglądało to zapewne jak taniec wojenny Siuksów albo Czarnych Stóp. Na koniec machnąłem potężnego kozła i znalazłem się w gęstych krzakach jałowca.

Duduś wciąż jeszcze trząsał się w swojej pasiastej piżamie, jak zdychająca zebra. Żał mi się zrobiło, że to takie niewydarzone i nie potrafi cieszyć się pięknym porankiem, więc złapałem go za rękę i razem zaczęliśmy wirować wokół krzaków. Gdy go wreszcie rozruszałem, pozwoliłem sobie zauważyć:

— Jestem strasznie głodny. Zjadłbym konia z kopytami.

Oczywiście, nie zjadłem konia z kopytami ani kozy z rogami, tylko wyjąłem z plecaka żalosne resztki mojego prowiantu. Było jeszcze jedno jajko, pół kotleta i kromka czerstwego chleba. Spalaszowałem to w oka mgnieniu.

Duduś patrzył na mnie zgorszony.

—Zwyczajnie dzikich ludzi. Najpierw jedzą, a później dopiero się myją.

—Jestem dziki, dziki, dziki! — zawołałem. — Jeżeli chcesz, to mogę upiec cię na rożnie i spalaszować bez musztardy.

Duduś udął, że nie słyszy.

—Przepraszam cię bardzo, czy mógłbyś mnie wreszcie poinformować, gdzie tutaj można się porządnie umyć?

—Informacji udziela się między dwunastą a czternastą. A jeżeli chodzi o mycie, to będziemy mieli sposobność wykapać się w Międzywodziu. Teraz trzeba się

spieszyć, żeby złapać jakiś środek lokomocji do Gdańska.

Na tym zakończyliśmy poranną dyskusję na temat mycia się i w ogóle higieny. Duduś był niepokieszony. Przypuszczał bowiem, że za chwilę wypadną mu wszystkie zęby i obleżą go najpaskudniejsze insekty. W kiepskim nastroju zabrał się do śniadania. Nareszcie otworzył lotniczą torbę, w której znajdowały się wytwory sztuki kulinarnej rodziny Faferskich. Czego tam nie było! Cielęcinka na zimno, udko kurze, kanapki z szynką i poledwicą, karp w galarecie, kilka rodzajów sera, termos z gorącą herbatą i pyszny placek z wiśniami. Pyszny dla Dudusia, lecz nie dla mnie, bo Duduś, niezwykle skupiony, wyjął z torby serwetkę, rozłożył ją na piasku i z tajemniczym uśmiechem zabrał się do konsumowania darów kuchni babci Faferskiej.

— Smacznego — powiedziałem, pełen nadziei, że cioteczny brat raczy za uważać moją obecność i uwzględnić mój apetyt.

Ten skinał tylko głową. Potem powiedział rzeczowo:

—Rośniemy, musimy dobrze się odżywiać. Uczeni obliczyli, że w naszym wieku potrzeba dwu tysięcy czterystu kalorii dziennie. Jak myślisz, na ile mi to

wystarczy?

—To zależy.

—Od czego?

—Czy będziesz sam jadł, czy się podzielisz.

—Przecież już zjadłeś śniadanie.

—Zjadłem dopiero sześćdziesiąt kalorii.

—Jak na posiłek poranny, to ci wystarczy. — Wbił zęby w udko kurczęcia i dorzucił ot tak sobie: — Właściwie gdzie my jesteśmy?

—Pod Płońskiem, na łonie natury.

—A mieliśmy być w Gdańsku.

—Jestem pewny, że dzisiaj jeszcze tam wylądujemy.

Po śniadaniu, złożonym z tysiąca dwustu kalorii, w Dudusia wstąpił nowy duch. Przebrał się szybko w swoje galowe ubranie, zawiązał muszkę i poprosił, żebym mu pomógł zamknąć walizkę. Potem ruszyliśmy w nieznanym kierunku.

Po drodze powiedziałem Fąferskiemu:

— Stary, jeżeli chcesz dojechać do Międzywodzia, to musisz mnie słuchać. Autostop to nie podróż z wycieczką orbisowską do Złotych Piasków. Tu trzeba mieć mózdek elektronowy i kombinować, bo jak nie będziemy kombinować, to nie zajdziemy nawet do Płńska.

Duduś wysłuchał w skupieniu.

—Pamiętaj — dorzuciłem — żebyś nie odstawiał takich numerów jak wczoraj. Jeżeli ja mówię, że masz błąd w wymowie — to masz, jeżeli mówię, że jesteś

upośledzony — to jesteś.

—Wypraszam sobie! — zaprotestował.

—Możesz sobie wypraszać, ale to niczego nie zmieni.

—Babcia mówiła, że ty masz zbyt rozwiniętą wyobraźnię i dlatego bujasz czasami jak najęty.

—O, właśnie, do autostopu trzeba mieć wyobraźnię i fantazję, a ty ich nie masz. Musisz więc polegać na mnie. Po pierwsze, nie możemy podróżować z tą

walizką, bo nam ręce poodpadają, po drugie...

Nie zdążyłem jednak dokończyć, gdyż na drodze ukazał się wóz, a na wozie zobaczyłem tęgą babinę w chustce na głowie. Byliśmy uratowani. Kiedy wóz zrównał się z nami, ukloniłem się jak najuprzejmiej i zagadnąłem z pełną elegancją:

— Przepraszam bardzo, dokąd pani jedzie?

Babina zatrzymała konia. Jej spojrzenie spoczęło na oblepionej nalepkami walizce Dudusia. Może pomyślała, że Duduś, spadł przed chwilą z kosmosu, a może stało się coś innego, w każdym razie odparła zafrasowana:

— Do Płńska na jarmark. A dokąd by?

Dopiero teraz zauważyłem, że na wozie leżał skrępowany tucznik potężnych rozmiarów. Leżał i pochrząkiwał nieprzyjaźnie.

— Do Płońska — zawołałem uradowany — to się nawet dobrze składa. Czy mogłaby pani podwieźć tego nieszczęśliwego cudzoziemca — pokazałem ruchem pełnym współczucia na Dudusia.

Oświadczenie moje zrobiło na niej kolosalne wrażenie. Jeszcze raz spojrzała na cud-walizkę. Któż pod Płońskiem na piaszczystej drodze mógł mieć taką walizkę, jak nie cudzoziemiec? Któż mógł nosić taką szalową muszkę w białe groszki? Któż mógł wyglądać tak okazale? Wiadomo, że Polacy mają słabość do cudzoziemców. Babina też miała. Zapytała więc przyjaźnie:

—A co się stało? A cóż ten nieborak taki wystraszony?

—To Anglik — odparłem bez zmruczenia powieki — nie umie mówić po polsku, więc zabłądził.

—A gdzie zabłądził?

—Na bezdrożach.

— Tak piechotą? — zdziwiła się i spojrzała na mnie podejrzliwie.

Myślałem, że na nic zda się moja bujna wyobraźnia i fantazja, ale wnet wpadł mi nowy pomysł do głowy.

— Piechotą? — prychnąłem lekceważąco. — Widziała pani Anglika, który by w Polsce chodził piechotą?

Okazało się, że babina nie widziała. Ciągnąłem więc z fantazją:

— Leciał helikopterem do Gdańska, bo tam rodzice na niego czekają. I niech sobie pani wyobrazi, rozbił się.

Babina pokiwała z politowaniem głową.

— Taki biedny, taki mizerny. Jak tak, to siadajcie.

Wypadało w tej chwili przemówić do Dudusia po angielsku. Od dwóch lat braliśmy razem lekcje angielskiego, ale teraz, jak na złość, wszystko wyparowało mi z głowy prócz kilku słów z pierwszej czytanki. Powiedziałem więc akcentem amerykańskim, który dobrze znałem z westernów:

—Shut up! Go on! The pen is red. The desk is brown.

Nie zrozumiał, o co chodzi, więc szepnąłem:

—Pakuj się, łamago.

Na szczęście babina nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi, więc nie dosłyszała mowy ojczystej. Uwierzyła, że Duduś jest stuprocentowym Anglikiem, pomogła mu wtaszczyć walizę na wóz i ofiarowała honorowe miejsce na koźle. Ja, jako stuprocentowy Polak, musiałem zadowolić się miejscem obok dwustukilowego tuczniaka. Ale i to dobre, jeżeli ma się perspektywę dojechania do Płońska.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jechaliśmy przez prapolskie Mazowsze prapolskim wozem i to wcale nie był autostop, tylko wozostop. Przez dwie godziny tej uciążliwej podróży tak przesiąknęłam zapachem dwustukilowego tuczniaka, że nabrałam wstrętu do siebie. Pocięszalem się jedynie myśla, że Duduś zaczął już trochę kapować, na czym polega podróżowanie wozostopem. Przez cały czas nie powiedział ani słowa po polsku, jak gdyby całe życie spędził w Londynie. A gdy zatrzymaliśmy się na rynku, zeskoczył z gracją z kozła i podziękował babinie oksfordzkim akcentem:

— Thank you very much!

Ja powiedziałem po staropolsku „Bóg zapłać” i tak znaleźliśmy się w Płońsku.

A w Płońsku — ulice, domy, sklepy, ludzie, rynek, na rynku kościół — zupełnie tak jak w Płońsku. I my, którzy już wczoraj wieczorem mieliśmy być w Trójmieście.

Na rynku od razu wybuchła między nami mała sprzeczka.

—Babcia miała rację — powiedział Duduś — kłamiesz jak z nut. Skąd ci do głowy strzelił ten pomysł z Anglikiem?

—Jeżeli ci się nie podoba Anglik, to mogłeś zostać Francuzem albo Hiszpanem.

—Mnie chodzi o zasadę.

—A mnie chodzi o to, żeby jak najszybciej dostać się do Międzywodzia.

—To wstyd tak nędznie oszukiwać poczciwą kobietę.

—Spokojna głowa, ona do końca życia będzie się chwaliła, że wiozła do Płńska Anglika. Nie znasz kobiet.

Duduś wzruszył ramionami.

—Rób, co chcesz, ale ja nie mam ochoty brać udziału w tych twoich fantastycznych pomysłach.

—Możesz nie mieć.

—I w ogóle co my teraz robimy? — zapytał śmiertelnie poważnie.

— Jesteśmy na rynku w Płońsku i kombinujemy, jak by się dostać do Gdańska. Duduś zrobił minę płacznego jamnika.

—Biedna babcia, myśli, że my już dawno jesteśmy w Międzywodziu.

—Biedna — westchnąłem. — A nasze mamy myślą, żeśmy jeszcze nie wyjechali z Warszawy. Należałoby jednak zawiadomić rodzinę, że jesteśmy w drodze.

—Może wyślemy depezę?

—Na depezę nas nie stać. Najlepiej wysłać kartkę. Kupimy kartkę i będzie po krzyku.

Nie musieliśmy kupować, gdyż w cud-walizce Dudusia znalazł się cały plik korespondentek z nalepionymi już znaczkami. Tylko pisać i wysłać. Ale co pisać? Należało bowiem dać znać, że żyjemy, jesteśmy zdrowi, a jednocześnie pominać dyskretnie fakt naszej samowolnej decyzji. Trzeba było podejść do rzeczy dyplomatycznie.

—Daj, ja napiszę — zdecydowałem, gdy znaleźliśmy się na poczcie.

—Tylko błagam cię, Poldek, nie fantazuj.

—Nie martw się. Wszystko będzie all right.

„Dyplomatycznie” — pomyślałem. Tak, żeby było wszystko jasne, ale nic z tego nie wynikało. Zacząłem więc pisać:

Kochana Mamusiu, kochana Ciociu! Tak się złożyło na dworcu, że nie mogliśmy wyjechać wtedy, kiedyśmy chcieli, wyjechaliśmy więc kiedy indziej i nie tym, czym żeśmy chcieli, tylko czym innym. Ale to inne jest tak samo dobre, więc nie martwcie się, bo wnet będziemy z Wami. Chwilowo jesteśmy w Płońsku, ale już za chwilę możemy być gdzie indziej, więc wybaczone, że nie podajemy adresu — bo naprawdę nie możemy wiedzieć, gdzie będziemy. Grunt, że jesteśmy zdrowi i służy nam świeże powietrze. Całujemy zdalnie — Poldek i Duduś.

—Dobre, co? — zapytałem Dudusia.

—Dobre, tylko one z tego nic nie rozumieją.

—O to właśnie chodzi. W tej krótkiej kartce jest wszystko, że wyjechaliśmy, że jesteśmy w drodze, że cieszymy się zdrowiem i wkrótce będziemy na miejscu.

Czego więcej trzeba?

—Właściwie nic.

—No to co się łamiesz. Podpisz. Potem karteczkę wrzucimy do skrzynki i po krzyku.

—Po jakim krzyku?

—E, ty nic nie rozumiesz. To się tylko tak mówi!

Gdy wyszliśmy z poczty, natknęliśmy się na bandę „Meksykańczyków”.

Trzeba od razu wyjaśnić — jest to krzykliwy gatunek autostopowiczów, odziany w strój kraju Azteków i Inków: szerokie sombrera z prapolskiej słomki, wąskie dżinsy z prapolskiego lnu, kraciaste koszule z prapolskiej flaneli, a przy tym gęby obieżyświatów, spalone słońcem i uśmiechnięte. Grywają na gitarach i śpiewają

ku ucieście serc własnych i cudzych polskie piosenki, a jednak udają Meksykańczyków.

W bandzie, która wyłoniła się zza horyzontu, było trzech chłopców i dwie dziewczyny. Walili szeroką ławą i śpiewali głośno piosenkę „Sombrero”. Jeden z nich — rudy, piegowaty, na kabłąkowatych nogach, z gębą bazyliuszka, miał naszyty na plecach kawał białego płótna z napisem:

*ZATRZYMAJ SIĘ NA SZOSY SKRAJU!
WEDŁUG DOBREGO OBYCZAJU*

Dziewczyna w przeciwsłonecznych okularach nosiła na plecach podobny napis:

*JEŚLI MOROWY Z CIEBIE CHŁOP,
TO WEŻ NAS WSZYSTKICH — AUTOSTOP!*

Druga, niska, krępa, ostrzyżona na głupiego Jasia, trzymała w ręku mały transparent:

*NIE ZABIERZESZ MNIE I ZOŚKI, ZŁAMIESZ
W DRODZE WSZYSTKIE OŚKI!*

A wysoki dryblas w gumowych wellingtonkach wywijiał nad głową proporcem, na którym można było przeczytać:

*Z GÓRY PIĘKNIE DZIĘKUJEMY,
LIMUZYNĄ TEŻ JEDZIEMY!*

Byłem oczarowany sprawnością organizacji i ich dowcipem. Ho, ho! To nie żółtodzioby, nie przedszkolaki w trudnym kunszcie autostopu. Sami wyjadacze, wdechowcy, uniwersytet trampów. I te wspaniałe humory. I te napisy dla kierowców o gołębim sercu i dla zatwardziałych, znieczulonych szoferaków. Warto by było nauczyć się czegoś.

—Słuchaj — trąciłem Dudusia — przyłączmy się do nich. To superfaceci.

Zobaczysz, że z nimi daleko zajedziemy.

—Czy oni w ogóle będą chcieli z nami mówić?

—Co nam szkodzi spróbować.

—Tylko błagam cię — jęknął — nie rób ze mnie Anglika.

—Spokojna głowa!

Ruszyliśmy za Meksykańczykami pełni nadziei, że wreszcie będziemy mogli terminować u mistrzów i nauczyć się jeździć autostopem. Szliśmy za nimi pokornie aż do rynku. Tam Meksykańczycy zaczęli się rozglądać za jakimś pojazdem

mechanicznym. My również zaczęliśmy się rozglądać, ale z tego rozglądania nic nie wyszło. Wtedy poczułem, że burczy mi w brzuchu. Zjadłem na śniadanie za mało kalorii, więc mój skurczony żołądek domagał się pokarmu. Zwróciłem się do Dudusia:

—Słyszałeś, jak mi burczy w brzuchu?

—Jest to objaw, który wykazuje, że masz za dużo soków żołądkowych — zawyrokował Duduś tym swoim niezdolnie uczonym tonem.

—Właśnie — powiedziałem — za dużo soków, a za mało paszy treściwej.

—To napij się wody.

Niedwuznacznie zerknąłem na pełną torbę i pozwoliłem sobie zaznaczyć:

—Ogromnie lubię placek z wiśniami. Twoja babcia piecze najlepsze na świecie.

—Placek jest na deser po obiedzie.

—A kiedy będzie obiad?

Spojrzał na zegarek.

—Dopiero jedenasta. U nas jada się o czternastej.

—Do czternastej skonam z głodu.

—Przecież jadłeś kotlet i coś tam jeszcze...

Gadaj z takim. Coś tam jeszcze... „Coś tam jeszcze” to był kawałek suchego chleba. Nie wypadało jednak poniżać się, więc się nie poniżyłem, tylko zbliżyłem się do Meksykańczyków. Chciałem wybadać, dokąd zamierzają jechać. Podszedłem do piegowatego rudzielca.

—Dokąd walicie, panowie? — zapytałem udając doświadczonego autostopowicza.

—Do Szwajcarii Kaszubskiej — odparł półgębkiem i tak na mnie spojrzał, jakbym był jakimś tam pętakiem.

—To my byśmy chętnie z wami — powiedziałem, choć wcale nie chciałem powiedzieć.

Przyjrzał mi się uważniej. Zapytał:

—Ile masz lat?

—Szesnaście- rzuciłem tak sobie.

—Nie wyglądasz na tyle. — Naraz zmrużył porozumiewawczo oko: — Z do mu nawiałeś, co?

Chwilę wahałem się, co mu odpowiedzieć. Jeżeli mu powiem, że nie nawiałem, to na pewno poradzi mi, żebym wracał do domu. Jeżeli powiem, że nawiałem, to może weźmie nas z sobą.

—Nawiałem — skłamałem bez zająknięcia.

—No to wracaj, szczeniaku, do mamusi, bo cię już pewno milicja szuka.

—Tylko nie szczeniaku, nie szczeniaku! — zaperzyłem się, bo nie wypadało schować zniewagi do kieszeni.

—Jaki miły chłopak — powiedziała dziewczyna w okularach.

— I zadziorny — roześmiał się rudzielec. — Z domu nawiał i jeszcze się szarpie.

Teraz wszyscy mnie obstąpili, jakbym był jakimś zabytkiem historycznym albo osobliwością natury, i zaczęli wypytywać: skąd? gdzie? dokąd? jak? Wymyśliłem sobie od razu historyjkę, że jestem pólsierotą w domu nałogowego alkoholika, że macocha znęca się nade mną, codziennie posyła mnie po wódkę i nie daje mi chodzić do szkoły, że chce się mnie pozbyć i dać do domu dla trudnych dzieci, a ja wcale nie jestem trudny, tylko mam trudne życie i koniecznie chcę zostać marynarzem, dlatego miło by mi było, gdyby mnie chcieli zabrać ze sobą do Szwajcarii Kaszubskiej, bo stamtąd już bliżej nad morze.

Tak to pięknie i wzruszająco opowiedziałem, że w oczach dziewcząt zakreśliły się łzy, a rudy Meksykańczyk klepnął mnie w ramię:

— Nie martw się. Niejednemu ciężko jest w życiu.

Duduś z przerażeniem w oczach przysłuchiwał się naszej rozmowie. Prawdopodobnie nie miał ochoty przyznać się do mnie ani do mego pochodzenia, bo zauważyłem, że schwycił walizkę i chciał dać nogę. Pomyślałem: „Co ta ofiara beze mnie zrobi? Zginie marnie”. I przypomniałem sobie prośbę cioci, żebym się nim w drodze opiekował. Zawołałem więc za nim. Na widok wyprasowanych spodni, muszki i walizki z zagranicznymi nalepkami zdumionym Meksykańczykom opadły szczęki.

— To twój kumpel? — zapytał wysoki drab w wellingtonkach.

— Nie — odparłem. — Przypętał się po drodze. Musiałem się nim zaopiekować.

— On też ma rodziców alkoholików? — wtrącił kpiąco rudy.

— Nie — powiedziałem, myśląc ze wzruszeniem o wuju Waldemarze Fafer-skim, który tak pięknie buduje kombinat w Płocku i ma zawsze pełne ręce robo

ty. — On to inna historia. Syn zamożnych rodziców, którzy nic nie robią, tylko

grają na wyścigach konnych i chodzą na dansingi. Chcieli go koniecznie odesłać

do babki. Ale babka powiedziała: „Jeżeli macie na wyścigi i na dansingi, to sami

możecie wychowywać jedynaka”. Od roku kłócą się, kto ma go wychowywać,

a on zupełnie się zdemoralizował. Rąbnął rodzicom walizkę i zwiął.

Duduś patrzył na mnie, jakbym miał na twarzy maskę ludożerców z Nowej Gwinei. Chciał zaprotestować, coś powiedzieć, ale nic nie powiedział, bo prawdopodobnie przypomniał sobie, że nie wolno mu mówić. Wywracał tylko jamniczymi oczami i wzdychał, jakby go żywcem krajali.

Meksykanki bliskie były płaczu, a Meksykanie kiwali z pożałowaniem głowami. Ja tymczasem przeraziłem się, gdyż dopiero teraz uświadomiłem sobie, co im naopowiadałem. Po chwili pocieszyłem się jednak, że to przecież nie ja wymyśliłem te historyjki, tylko moja wybujała wyobraźnia.

Rudzielec zapytał Dudusia:

— Co masz w tej eleganckiej walizce?

Mój cioteczny brat tak na mnie spojrzał, jakby nic nie miał w walizce. Milczał. Musiałem odpowiedzieć za niego:

—A nic takiego... Trochę rodzinnego srebra, jedno futro karakułowe, kryształy i coś tam jeszcze.

—Fiu! — zawołali, a rudzielec roześmiał się głośno: — To nielicho! I co z tym chcesz zrobić?

Duduś jęknął tylko, zrobił tak nieszczęśliwą gębę, że znów go pożałowałem.

— Chce dobrze sprzedać — odparłem — a za otrzymane pieniądze kupić bilet do Ameryki Południowej.

Roześmiali się głośno, a ja nie wiedziałem, z czego się śmieją. Może trochę przeholowałem, może zbyt mnie poniosła wybujała wyobraźnia. Ale czy to wystarczający powód do śmiechu?

— Tak, tak — pokiwał rudzielec głową. — Ładnieście zaczęli! Radzę wam wracać do domu, zanim milicja was capnie.

Chciałem zaprotestować, lecz nie zdążyłem. W tej chwili na rynek wtoczyła się wielka ciężarówka. Na jej widok Meksykańczycy zapomnieli o nas. Porwali z ziemi swoje torby, plecaki i jak szarańcza ruszyli w jej stronę. Za chwilę miałem możliwość podziwiać najwyższą technikę czarowania kierowcy.

Najpierw na środek drogi wybiegła dziewczyna w przeciwsłonecznych okularach, zatrzymała się, podniosła „packę”, czyli znak drogowy — białe koło z czerwonym brzegiem, i stanęła zdecydowanie, gotowa zginąć pod kołami potężnej „skody”. Kierowca zahamował gwałtownie. Wtedy z obu stron obskoczyli go Meksykańczycy. Zagrały gitary, zabrzmiała pieśń przywitania:

*Niech pan miny zlej nie robi.
To jest takie nasze hobby.
Będziesz pan szczęśliwy i my,
Bo my szczęście przynosimy.*

Kierowca wyskoczył z szoferki. Najpierw gniewnie błysnął burymi oczami, potem złapał się za głowę, a na koniec rozłożył szeroko ręce.

— Panowie, jak rany! — zawołał z warszawska. — Nie czarujcie, jak rany. Nie mogę zabrać całego przyrostu naturalnego...

Meksykańczycy otoczyli go barwnym kołem. Zginął zupełnie pod szerokimi rondami sombrero. A oni zaczęli wiwatować na jego cześć i jeszcze mocniej uderzyli w struny.

*Nie nawali karburator Ani
gaźnik — dajmy na to. Wygra
pan milion w totka...*

W tym miejscu wszyscy wyciągnęli race ku dziewczynie zagradzającej drogę i dokończyli:

Bo to nasza jest maskotka! Hej, ho!

Kierowca z trudem wydostał się spod sombrero. Był zupełnie obezwładniony. Wielką chustką wycierał spoconą twarz. Uśmiechał się niemrawo.

—No dobrze, dobrze, ale dokąd, koledzy?

—Przed siebie, w świat! — zawołali.

—Ja tylko do Brodnicy.

—Byle dalej! Hura! — ryknęli wesoło, a potem zaśpiewali kierowcy „Sto lat” i nie pytając o pozwolenie, zapakowali się na przyczepę.

Oto prawdziwy artyzm. Stałem z boku jak kopcuszek i łyzy cisnęły mi się do oczu. Tyle wysiłków, takie dwie piękne bajeczki i kłapa. Widocznie mamy straszego pecha. No cóż, gdybyśmy mieli sombrera, gitary, umieli układać takie dowcipne piosenki, może udałoby się dojechać przynajmniej do Gdańska. A tak staliśmy na rynku płońskim i gapiliśmy się, jak Meksykańczycy odjeżdżają. Gotów byłem uwierzyć, że naprawdę jestem synem alkoholika, macocha chce mnie oddać do domu dla trudnych chłopców, ale nie uwierzyłem, gdyż w tej samej chwili Meksykanka w przeciwsłonecznych okularach zawołała:

— No, chłopcy, na co czekacie? Ładujcie się!

W jednej chwili stałem się znowu Poldkiem Wanatowiczem, synem znanego inżyniera. Porwałem walizkę Dudusia, wrzuciłem ją do ciężarówki, potem chwyciłem Dudusia za portki, pomogłem mu wspiąć się na klapę i sam wskoczyłem do przyczepy. Za chwilę ruszyliśmy do Brodnicy. Nie wiedziałem tylko, gdzie to jest. Gdyby nawet było na Ziemi Ognistej, to i tak wszystko jedno. Grunt, że jedziemy. Dla zaspokojenia własnej ciekawości zapytałem Dudusia.

Duduś, mimo że gniewał się na mnie za tę historyjkę o wyrodnym rodzicach, wyśpiewał jak zawodowy przewodnik:

—Brodnica, miasto powiatowe nad Drwęcą, położona siedemdziesiąt metrów nad poziomem morza, czternaście tysięcy pięćset mieszkańców. Prastary gród sło

wiański, o którym już w trzynastym wieku wzmiankowały kroniki... Od roku

tysiąc trzysta siedemnastego do tysiąc czterysta siedemdziesiątego dziewiątego

należała do Krzyżaków...

—Skąd ty to wszystko wiesz? — przerwałem mu zdumiony.

Duduś przypomniał sobie, że się na mnie gniewa. Zacisnął wargi, milczał aż do Brodnicy, która leżała nad Drwęcą i miała czternaście tysięcy pięćset mieszkańców.

W Brodnicy zdziwiłem się bardzo, bo Meksykańczycy ulotnili się tak szybko, że nie zdążyłem im nawet podziękować. Wydało mi się to bardzo podejrzane, lecz wnet wytłumaczyłem sobie wszystko jak należy. Jasne, że nie chcieli z nami dalej podróżować. Po pierwsze, byliśmy dla nich żółtodziobami, nie dorastaliśmy im nawet do pięt w zawilej sztuce podróżowania autostopem. Po drugie, nie chcieli mieć do czynienia z milicją i pomagać Dudusiowi, który zwiął z domu z rodzinnym srebrem, kryształami i karakułowym futrem. Kto to wie, jaki bigos mógł z tego wynikać. I tak morowa wiara, że nas nie sypnęli.

Zamiast dalej się dziwić, pomyślałem, że warto by coś przekąsić, bo coraz głośniej burczało mi w brzuchu. Wspomniałem więc delikatnie, że najlepszą cielecinę na świecie umie piec babcia Faferska. Ale to nie pomogło. Duduś wciąż jeszcze gniewał się na mnie.

— Skompromitowałeś całą moją rodzinę — powiedział nadąsany. — Mój ojciec pracuje ciężko w Płocku, a ty mówisz, że nic nie robi, tylko gra na wyścigach i chodzi na dansingi. Skąd ci to przyszło do głowy?

Gdybym wiedział, chętnie bym mu wytłumaczył, ale daję słowo, nie miałem pojęcia.

—Nie gniewaj się, wiem, że twój stary dostał Złoty Krzyż Zasługi. A zresztą mój też nie jest alkoholikiem...

—Ciekaw jestem, co by twój ojciec powiedział, gdyby to słyszał, co o nim bredziłeś?

—Prawdopodobnie uśmiełby się zdrowo.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła czternasta. Napomknąłem więc zupełnie mimochodem:

—Zbliża się czternasta, podobno u was już nakrywają do stołu.

Rozejrzał się.

—Nie będziemy przecież jedli na ulicy.

— To nieważne gdzie, tylko co — powiedziałem z rozwagą i natychmiast zapachniało mi delikatną cieleciną, wspaniałym ementalerem i cudownym placikiem z wiśniami, a jednocześnie zaburczało w brzuchu. Byłem gotów zjeść trzysta kalorii, nie licząc wiśni z placka.

Duduś zaproponował, żebyśmy poszli do baru mlecznego, zamówili sobie po dużej szklance mleka (sto dwadzieścia kalorii) i w higienicznych warunkach zjedli obiad. Obawiał się kurzu i bakterii, które od czasów krzyżackich zalegały rynek brodnicki. Poszliśmy więc do baru mlecznego, zamówiliśmy mleko, usiedliśmy przy stoliku i Duduś z namaszcczeniem położył przede mną lotniczą torbę z napisem: „Jeśli samolotem, to tylko LOTEM”. Znowu zapachniało mi cieleciną, ementalerem i plackiem z wiśniami. Zawirowało mi w głowie od samej myśli o jedzeniu. Duduś długo się zastanawiał.

- Co najpierw jemy, cielęcinę czy schab?
—Wszystko jedno, tylko dawaj, bo mnie aż mdli z głodu.
—A może ser na przekąskę?
—Może być ser.

Z namaszczeniem i strasznie ceremonialnie otwierał zamek błyskawiczny. Naraz zbladł, ręce mu się zatrzęsły, oczy zaokrągliły jak królikowi i wydał okrzyk zgrozy.

Zamiast żarcia zobaczyliśmy kartkę z napisem:

Za poczęstunek dziękujemy. Szczęśliwej drogi.

A w torbie tkwił spory kamień owinięty gazetą.

— To oni! — zawołał Duduś. Chciał ścigać Meksykańczyków, ale nie ruszył się z miejsca, bo był zupełnie przybity nieszczęściem, jakie nas spotkało.

Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego Meksykańczycy ulotnili się tak szybko.

— A mówiłem — powiedziałem z goryczą — trzeba było zjeść obiad o jede nastę, to przynajmniej zostałyby nam w brzuchu kilka tysięcy smacznych kalorii.

Duduś był bliski płaczu i ja byłem bliski i siedzieliśmy z grobowymi minami nad torbą z prapolskim kamieniem, który zapewne pamiętał jeszcze Krzyżaków. Najbardziej zastanawiała mnie zagadka kryminalna: kiedy i w jaki sposób Meksykańczycy potrafili opróżnić torbę? Prawdopodobnie podczas jazdy, gdy dryblas w wellingtonkach opowiadał nam o sposobie jeżdżenia na gapę, albo w okolicy Sierpca, kiedy Duduś popisywał się znajomością geografii ziemi ojczystej. Przypominam sobie, z jakim zapałem tłumaczył nam, że Sierpc jest ośrodkiem sztuki ludowej, znanym z wyrobów ceramicznych i pięknie rzeźbionych przedmiotów drewnianych. A potem opowiadał o kościele farnym z tysiąc pięćset dziewiętnastego roku, w którym znajduje się ołtarz barokowy i fragmenty starych malowideł z pierwszej połowy szesnastego wieku. Genialny! Skąd on to wszystko wiedział? I zabawny — wiedział o ołtarzu z szesnastego wieku, a nie wiedział, kiedy mu Meksykańczycy podiwaniili prowiant. Oto ironia losu.

—To nie autostopowicze — żalił się — tylko zwyczajni złodzieje.

—Dziwisz się? — wtrąciłem nieopatrznie. — Widzieli faceta, który wiezie w walizce srebro rodzinne i karakułowe futro, to go nie żalowali. Co to dla nich

kilka tysięcy kalorii?

—O, właśnie — powiedział z bolesną przekorą. — Wszystko przez ciebie. Gdybyś im nie naopowiadał...

—Gdybym im nie naopowiadał — przerwałem mu — to nigdy nie znaleźli byśmy się w Brodnicy.

Duduś zamyślił się. Tarł z przejęcia koniec nosa i — to pewne — był przekonany, że powodem wszystkich nieszczęść jestem ja. Ba, gdyby teraz nastąpiło trzęsienie ziemi, to też gotów zwalić na mnie. Taki już był Duduś Faferski.

Martwiliśmy się dalej, ale przecież nie można martwić się do końca życia, zwłaszcza gdy się ma czternaście lat, a świat dokoła taki ciekawy i piękny. Za-proponowałem więc, żebyśmy wypili jeszcze po szklance mleka i kupili po dwie bułki.

Wpychaliśmy suche bułki, popijaliśmy mlekiem i zdawało mi się, że to jest najwspanialszy obiad w moim życiu.

Co dalej? Oto pytanie, które mimo woli nasunęło się nam po wyjściu z baru mlecznego. Byłem za tym, żeby jechać do Gdańska, Duduś koniecznie chciał wracać do Warszawy. Miał ochotę zjeść solidny obiad u babci Faferskiej i wypaść się na wygodnym tapczanie. Wygodniś, co? Mnie zaś nie zależało ani na wygodnym tapczanie, ani na solidnym obiedzie. Suche bułki i szklanka mleka smakują równie dobrze, jak najznakomitsza cielęcina, ba, może lepiej. Zwłaszcza gdy się ma przed sobą perspektywę podróży w stylu Jacka Londona albo Hucka. Chwilowo jednak nie było żadnych perspektyw. Siedzieliśmy skwaszeni na rynku w Brodnicy i przyglądaliśmy się przepięknej Bramie Chełmińskiej, którą — jak mnie poinformował Duduś — wzniesli Krzyżacy na przełomie czternastego i piętnastego wieku.

Siedzielibyśmy może do wieczora, gdyby na rynku nie zjawiała się wycieczka. Składała się, jak zwykle, z przewodnika i wycieczkowiczów. Przewodnikiem był wysoki jegomość podobny do starej czapli z powodu bardzo długiego nosa i bardzo chudych i długich nóg. Kroczył na czele wycieczki, poprawiając co chwila okulary i zaglądając do przewodnika po Brodnicy i okolicach. Wycieczkowiczami natomiast — chłopcy i dziewczęta mniej więcej w naszym wieku. Przewodnik interesował się ogromnie starymi, zabytkowymi murami, reszta zaś wycieczki — lodami, niebieskimi migdałami i różnymi psotami.

Pomyślałem sobie: „Jeżeli chwilowo nie mamy przed sobą żadnych perspektyw, to nieźle by było przyłączyć się do wycieczki. Może ona ma jakieś perspektywy?” Przyłączyliśmy się do wycieczki i zaczęliśmy udawać, że już od dawna z nią idziemy. Udawać nie było wcale trudno, bo przewodnik, zajęty całkowicie zabytkowymi murami, zupełnie nie zwracał na nas uwagi. Najtrudniej jednak było taszczyć przekłętą walizkę.

Stanęliśmy właśnie na ulicy Świętego Jakuba przy spichlerzu z siedemnastego wieku, zabytkowym oczywiście.

Przewodnik zaczął opowiadać o tym, jak zamożnym miastem w tym okresie była Brodnica. Jak z okolicznych dworów zwożono tutaj ziarno, aż podłogi ugięły się pod ciężarem pełnych pszenicy worków. A potem, jak ładowano te worki na tratwy, a tratwy płynęły ze zbożem aż do Gdańska...

Pomyślałem, że chętnie zgodziłbym się zostać takim workiem pszenicy, byleby mnie zawieziono do Gdańska. Gdy tak sobie rozkosznie marzyłem, że jestem złotą pszenicą i pode mną ugina się tratwa, a ja nic, tylko jadę do Gdańska, zbliżyła się do mnie dziewczyna. Wydałem się jej zapewne podejrzany, bo zapytała:

—A wy skąd, z naszej kolonii?

—Nie — odparłem. — My zwiedzamy. — I zaraz zagadnąłem: — A wy?

—My z Warszawy, a teraz jesteśmy na letniej kolonii w Mieliwie.

—Czy to gdzieś pod Gdańskiem?

—Nie. To niedaleko Brodnicy. Ślicznie tam. A wy co zwiedzacie?

—Brodnicę — powiedziałem szczerą prawdę. — Ale chętniej zwiedzalibyśmy Gdańsk.

Dziewczyna była ładna, rumiana i pyzata, jakby codziennie konsumowała co najmniej trzy tysiące kalorii. Miała oczy — jak to się pisze w książkach dla dzieci — jak niezabudki, a przy tym była strasznie wścibska i wszystko chciała wiedzieć. Gdy zobaczyła walizkę Dudusia, zaraz zapytała:

—Skąd macie taką wdechową walizkę?

—To walizka wujka Waldka — wyjaśniłem rzeczowo. — I wcale nie jest wdechowa, tylko piekielnie ciężka.

—A dokąd jedziecie?

—Żebym ja wiedział. To zależy od okoliczności.

—Jeżeli zwiedzacie Polskę, to jedźcie z nami do Mieliwa. Tam jest jezioro i gniazda czapli, i w ogóle jest przepięknie.

—Pojechalibyśmy... tylko jak i czym?

—Z nami. Mamy przecież autobus...

—Ale my nie jesteśmy z waszej kolonii.

—To głupstwo. Nasz „staruszek” w ogóle was nie zauważy. To nauczyciel historii i prócz starych murów i zabytków nic nie widzi.

—Ale jak nas zobaczy, to będzie wsypa,

—Nie bójcie się. Wszystko będzie dobrze.

Strasznie mi się spodobała ta pyzata dziewczyna, a jeszcze bardziej jej projekt zwiedzenia kolonii siwej czapli. Postanowiłem, że dalej będziemy udawać wycieczkę krajoznawczą i pojedziemy do Mieliwa. Był jednak pewien szkopuł, bo Dudusiowi nie spodobał się mój pomysł. Duduś chciał koniecznie wrócić na obiad do babci Fąferskiej. Dopiero pyzata dziewczyna potrafiła go przekonać. Nazwała go malowanym fircykiem, niedojdą i starym kaloszem. To pomogło. Obraził się, lecz już nie miał ochoty na obiad u babci. Powiedział, że on nam jeszcze pokaże, jaki jest. Chwilowo jednak nie pokazał. Nie miał ani sposobności, ani czasu, ponieważ nauczyciel historii zaczął liczyć swoje owieczki.

Ustawił nas w dwuszereg i w żaden sposób nie mógł się doliczyć, bo za każdym razem wypadało mu o dwie owieczki za dużo. Staliśmy z Dudusiem cicho,

jakby nas nie było, ale to i tak nic nie pomogło. Znalazł się taki, co to o wszystkim donosi. Wyciągnął rękę jak na lekcji i poskarżył:

— Zdaje mi się, proszę pana, że ci dwaj nie byli z nami.

Nauczyciel poprawił okulary, podszedł bliżej i przyjrzał nam się badawczo.

—A wy skądżeście się tu wzięli?

—Z Warszawy — odrzekłem i postanowiłem, że tym razem ani razu nie skła mię.

—Z Warszawy? — zamyślił się miłośnik zabytków. — No dobrze, ale w ogóle? ..

—W ogóle to my zwiedzamy stare zabytki. Ogromnie lubimy zwiedzać — odparłem i z przerażeniem stwierdziłem, że jednak ponosi mnie fantazja.

—Tak bez opieki? — zdziwił się.

—Właśnie szukamy opieki — podjąłem. — Przepadamy za starymi murami z końca czternastego wieku. Interesują nas zwłaszcza ruiny starych zamków

piastowskich i gotyckie kościoły z barokowymi ołtarzami. I gniazda czapli — do

dałem, choć zupełnie nie chciałem dodać.

Na ptasiej twarzy historyka pojawił się uśmiech zadowolenia i wyraz uznania. Spojrzał na nas łagodnie, po ojcowsku i zwrócił się do wycieczki:

—Widzicie, ci dwaj chłopcy wyruszają sami, żeby tylko obejrzyć wspaniałe zabytki naszej kultury. Nie obawiają się żadnych trudności, by podziwiać geniusz

ludzki. A wy co?

—My chcielibyśmy już wrócić na kolonię. A teraz najlepsza kąpiel! — wy rwał się jakiś konus.

—O, właśnie — zawołał ze zgorszeniem wielbiciel zabytków. — Margaritas ante porcos.

Trąciłem cichaczem Dudusia.

—Po jakimu on mówi?

—Po łacinie — szepnął. — To znaczy: „perły przed wieprze”. Przenośnia. Tak się mówi, jeżeli ktoś nie docenia i nie rozumie rzeczy wzniosłych.

Masz, babo, placek, ja też nie zrozumiałem, widocznie byłem jednym z wieprzy, przed którego rzucono drogocenne perły wiedzy. Ale to w tej chwili nie było najważniejsze. Grunt, że sympatyczny historyk pozwolił nam wspaniałomyślnie przyłączyć się do wycieczki i przyrzekł solennie zaopiekować się nami.

W ten sposób, dzięki naszym zamięłowaniom do zabytków historycznych, znaleźliśmy się na kolonii letniej w Mieliwie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W Mieli wie było zupełnie tak jak w Mieli wie, to znaczy bardzo ładnie. Tak ładnie, że gdyby mama nie oczekiwała mnie w Międzywodziu, to chętnie zostałbym tutaj.

Kolonia letnia mieściła się w dużym domu nad samym jeziorem. Wystarczyło zbiec z małego pagórka, by stanąć na piaszczystej plaży. Dzień był pogodny, a na niebie stały wielkie, pyzate obłoki. Odbijały się w wodzie i zdawało się, że pod stopami jest drugie niebo. A dalej był las: smukłe sosny o rdzawych pniach i rozłożyste buki o pniach szarych i gładkich. A niżej, nad samym brzegiem, gęste sitowie. Trzciny szeleściły, falowały na wietrze, woda była przejrzysta, a dno złotawe od piasku. Na dnie białe kamienie jak odpryski obłoków, muszle małżów i ławice drobnych, jak przecinki w zeszycie, rybek.

Stałem długo wpatrzony w stado perkozów żerujących wzdłuż obrzeża trzcin. Matka wywiodła trzy małe perkoziątka. Z daleka wyglądały jak łódeczki wystrugane z sosnowej kory. Pływały za matką sznurkiem, a jedno wyskoczyło z wody na jej grzbiet. I to było najzabawniejsze.

Stałem długo wpatrzony w wodę, w drugi brzeg i w obłoki. Zdawało mi się, że jestem dzielnym traperem, który po długiej wędrówce spoczął nad jeziorem. Czulem, że wzbieram radością — tak było pięknie i spokojnie.

Ale nie mogło być długo pięknie, bo wnet przybiegła do mnie pyzata dziewczyna z oczami jak niezabudki. Wiedziałem już, że coś się kroi.

Marta — tak się nazywała — powiedziała, że kierownik kolonii chce ze mną rozmawiać. Przestraszyłem się porządnie. A nuż zaczną mnie wypytywać o zabytki historyczne z okresu panowania Krzyżaków, wtedy nie pomoże nawet moja bujna wyobraźnia. Jednak pan kierownik wcale o to nie wypytywał. Zajął się nami bardzo serdecznie. Tak serdecznie, że aż wydało mi się to podejrzane. Pytał o zdrowie rodziców, o zawód ojca, zainteresowania cioci Anki, zdolności kulinarne babci Faferskiej, nawet o adres i numer telefonu. Zachodziłem w głowę, do czego mu potrzebne tak mało ważne szczegóły. My tu nad jeziorem Mieliwo, a on wypytuje o numer telefonu. No, ale skoro taki ciekawy, niech wie, że ma do

czynienia z solidną firmą. Wyśpiewałem wszystko i Duduś wyśpiewał i wcale nie poniosła mnie fantazja. Potem pan kierownik zaprowadził nas do pokoju, gdzie stało kilka łóżek, dał nam czystą pościel i koce, a na koniec powiedział:

— Jesteście brudni jak kominiarze. Jazda wykapać się w jeziorze.

Myślałem, że Duduś zapyta, czy jest gorąca woda i natryski, ale na szczęście nie zapytał. Wzięliśmy ręczniki i mydło, poszliśmy nad jezioro. Po drodze spotkaliśmy znowu Martę. Zawołała mnie na bok i zapytała tajemniczym głosem:

— Chcesz zobaczyć czaple?

— Przecież po to tu przyjechałem — odrzekłem uradowany.

Marta uniosła palec do ust gestem nakazującym milczenie. W mig pojąłem, o co chodzi. Zapewniłem Dudusia, że zaraz wrócę, zostawiłem na brzegu ręcznik, poszedłem za Martą. Szliśmy wąską ścieżką wzdłuż brzegu jeziora. Po piętnastu minutach znaleźliśmy się nad zaciszną zatoczką, zarośniętą głęboko sitowiem. Marta odszukała w sitowiu łódkę.

— To jednego rybaka — powiedziała. — To bardzo miły człowiek. Lubi mnie i pozwala mi zabierać łódkę.

„Morowa dziewczyna — pomyślałem. — Gdyby tak z nią, zamiast z Dudusiem, można było jeździć autostopem”.

Odcumowaliśmy łódkę. Wy płynęliśmy z zatoczki. Woda leżała jak metalowa tafla. W cieniu była granatowa, w słońcu miedziana, a tam gdzie wiatr uderzał — marszczyła się srebrzyście.

— Czy lubisz ptaki? — zapytała Marta.

— Bardzo. Mam w domu, nad oknem, budkę dla szpaków, a w zimie wystawiam zawsze karmnik dla sikorek.

— A czy widziałeś kiedy czaple?

— Kiedyś ojciec pokazywał mi jesienią lecące na południe. Ale leciały tak wysoko, że trudno było je zobaczyć. Zresztą tata sam nie wiedział, czy to czaple, czy bociany.

— Łatwo je w locie odróżnić. Bociany lecą z wyciągniętą szyją, a czaple kładą szyję na grzbiet.

— Ciekawe. I w ogóle skąd ty się na tym znasz?

— Mamy w szkole kółko ornitologiczne.

— A cóż to takiego?

— Ornitologia to nauka o ptakach. Kapujesz?

— Kapuję.

— Często wyjeżdżamy z naszą panią za miasto i obserwujemy ptaki.

— To musi być interesujące.

— Bardzo.

Naraz Marta przestała wiosłować i dała mi znak, żebym zamilkł. Potem wskazała ręką na brzeg.

Patrzyłem, patrzyłem i nic nie mogłem wypatrzeć. Nagle coś zatrzepotało nad wodą. Zdawało mi się, że stara, uschnięta gałąź uniosła się w powietrze. Jednak nie mogła to być gałąź, gdyż gałąź — o ile mi wiadomo — nie ma skrzydeł ani nie lata. Wielki, siwy ptak ciężko wzbił się w powietrze, zatoczył łuk nad wodą, a zanim mu się dobrze mogłem przyjrzeć, znikł za czubami sosen.

— Gapa — zaśmiała się Marta. — Nie zauważyłeś, jak stała nad wodą?

— Nie. Myślałem, że to sucha gałąź.

— No tak, czapla stoi zawsze nieruchomo, ma barwę ochronną i trudno ją zauważyć. Jeżeli będziemy mieli szczęście, to spotkamy jeszcze całe stado.

To

była stara czapla. Stare zwykle żyją samotnie.

Popłynęliśmy dalej, wolno i ostrożnie robiąc wiosłami. I wtedy zobaczyłem.

Nad brzegiem, w miejscu wolnym od sitowia, stały nieruchomo wielkie, wspa-
niałe ptaki. Były siwosrebrzyste i dobrze odbijały od rudych pni sosen. Naraz wio-
sło głośniej plusnęło w wodzie. Czaple wzbiły się w powietrze. Teraz dokładnie
widziałem je w locie. Miały podkurczone pod brzuch nogi, a długie szyje pokła-
dły na grzbiety. Zdawało się, że ich ruchy są wolne, tymczasem bardzo szybko
zniknęły nad lasem.

— Wspaniale! — zawołałem za odlatującymi ptakami.

— Teraz pokażę ci ich gniazda.

— Z piskletami?

— Nie. Pisklęta wykluwają się już w kwietniu i dawno wyrosły z nich młode
czaple.

Dobiliśmy do brzegu. Marta zaprowadziła mnie na strome wzniesienie porośłe
starymi bukami. Naraz przystanęła.

— Widzisz? — zapytała.

Chwilowo nic nie widziałem prócz rozłożystego buka i pnia opryskanego bia-
łymi odchodami. Ale gdy się bacznie wpatrzyłem w koronę drzew, między li-
stowiem ujrzałem wielkie, zbudowane z suchych gałązek gniazda. Było ich pięć,
a może więcej.

— To cała kolonia czaplich gniazd. Co roku tutaj przylatują i jeżeli nikt im nie
zburzy gniazda, gnieźdzą się w tym samym miejscu.

Wróciliśmy do łódki. Słońce zapadło już za ścianę lasu, a niebo poszarzało
nad czuprynymi sosen. Zobaczyłem chudy rożek księżyca. Wisiał nieśmiało, jak
nieproszony gość. Było cicho. Słyszałem tylko plusk wiosel i nasze przyspieszone
oddechy. A w tej ciszy, w tym łagodnym zmierzchu kryła się dziwna tajemnica.
Milczeliśmy długo. Pierwsza odezwała się Marta:

— Bardzo lubię wieczory na jeziorze. A ty?

— Ja też.

— Czy ty masz romantyczną naturę?

— To zależy kiedy. Teraz mam.

Marta westchnęła.

—Mama mówi, że jestem sentymentalna.

—Nie wyglądasz na to.

—A jednak jestem. Lubię wszystko, co piękne, i bardzo szybko się wzruszam. Teraz jestem ogromnie wzruszona.

—No tak — rzekłem niezręcznie — bo jest naprawdę bardzo ładnie.

—Nigdy nie zapomnę tego wieczoru. — Spojrzała na mnie trochę dziwnie i nagle spuściła głowę. — Czy wpiszesz się do mojego pamiętnika? — zapytała

nie swoim głosem.

—Bardzo chętnie... tylko powiem ci szczerze, nie lubię pisać rozmaitych takich głupich wierszyków w rodzaju: „Na górze róże, na dole fiołki,

kochajmy

się razem jak dwa aniołki".

Roześmiała się.

—To przecież strasznie banalne.

—Zwłaszcza że ja nie wierzę w aniołki.

—Ale napisz coś prosto od serca... — znowu spojrzała mi w oczy: — Bo po wiem ci coś... bardzo mi się podobasz i jestem przekonana, że mogłabym...

—

Nie dokończyła, a ja pomyślałem, że jest naprawdę bardzo miła i sentymentalna.

—I ty mi się podobasz — powiedziałem, chociaż przyszło mi to bardzo trudno. — Jednego nie rozumiem, dlaczego ja ci się podobam. Przecież mam odstające

uszy.

—To nie szkodzi.

—I źle się uczę. Mam same trójki, tylko z gimnastyki piątkę.

—To nieważne. Chłopców nie lubi się za piątki.

—I do tego mam wybujałą wyobraźnię... Często bujam jak najęty. Ciebie też dobrze zbujalem, bo my wcale nie zwiedzamy, tylko zgubiliśmy pieniądze, które

dała nam moja ciotka na bilety, i teraz jedziemy autostopem do

Międzywodzia.

—To wspaniale. Od razu wiedziałam... Może dlatego podobasz mi się, że masz fantazję. W każdym razie bardzo się cieszę, że cię poznałam. Napiszesz do

do

mnie?

Strasznie nie lubiłem pisać listów, ale skoro taka morowa dziewczyna jak Marta prosi, to nie wypada jej odmówić. Nie odmówiłem. Co gorsza, przyrzekłem, że z drogi do Międzywodzia będę jej przysyłał pocztówki. Ogromnie się ucieszyła i powiedziała, że jestem wspaniały chłopiec, a gdy dobiliśmy do zatoczki, jeszcze raz powtórzyła, że jestem najmilszy na świecie i chce się koniecznie spotkać ze mną w Warszawie.

— Nareszcie będziemy spali w warunkach higienicznych — powiedział Duduś. Wygladził delikatnie prześcieradło, poklepał poduszkę, obłożył dokładnie

koc drugim prześcieradłem i zaczął wciągać na siebie pasiastą piżamę. — Normalny człowiek — ciągnął swoje rozważania — jedną trzecią życia spędza w łóżku. Dlatego lekarze zalecają, żeby zawsze spać wygodnie i przy otwartym oknie. Chodzi oczywiście o tlen, który — jak ci wiadomo — znajduje się w powietrzu. Powietrze zawiera około dwudziestu jeden procent tlenu, a tlen jest niezbędny dla organizmu ludzkiego. — Naraz spojrział na mnie podejrzliwie. — Człowieku, ty się wcale nie myłęś.

—Nie miałem czasu.

—Jesteś cały oblepiony piaskiem.

—To podobno zdrowo. Nie widziałeś, jak kury kąpią się w piasku?

—Jeżeli pan kierownik zobaczy, to będzie kompromitacja.

—Wykąpię się jutro rano.

Duduś z politowaniem pokręcił głową.

—Jak można w takim stanie kłaść się do czystej pościeli?

—Za chwilę zobaczysz, że można.

Nie zobaczył, bo do pokoju wpadła Marta. Po jej przerażonej minie zaraz poznałem, że kroi się coś niedobrego. Miałem rację. Marta stanęła na środku pokoju i powiedziała jednym tchem:

— Chłopcy, wsypa. Kierownik dzwonił do waszej ciotki do Warszawy, żeby was stąd koniecznie zabrała. Ale ona nie chciała was zabrać, tylko podała jakiś inny numer. Potem kierownik dzwonił do Płocka i mówił, że to skandal, żeby rodzina nie zainteresowała się uciekinierami. Więc ten ktoś z Płocka odpowiedział, że jutro rano tutaj przyjedzie i zabierze was do Warszawy.

Duduś zbladł i jęknął:

— To mój tatuś.

Ja również zbladłem, ale nie jęknąłem, tylko powiedziałem:

— Ładna historia.

Chłopcy, którzy mieszkali razem z nami, zawołali:

—To wy jednak zwialiście z domu.

A Marta zapytała:

—Co chcecie robić?

Chwilowo nic nie chcieliśmy robić. Byliśmy tak przejęci nagłą wiadomością, że wszystko nam się poplątało. Wnet jednak zrozumiałem, dlaczego kierownik tak serdecznie zajął się nami i tak szczegółowo wypytywał o wszystko. Oczywiście, żeby potem wykorzystać naszą szczerłość i numer telefonu. I proszę, będziemy mieli wujaszka na karku.

Duduś trząśł się z przejęcia.

—Wiedziałem, że tak się skończy. Ty masz zawsze genialne pomysły. Musiałeś nas skompromitować, a mojego ojca narazić na koszty.

—A czy ja mu każę tu przyjeżdżać?

—I odrywasz go od pracy. Nie wiesz, że ma pełne ręce roboty? Ładnie będziemy wyglądali! Jak aresztanci, których odwożą do więzienia.

—Ja wcale nie będę wyglądał. Nie ma głupich. Myślisz, że będę czekał na twojego ojca? Znam twojego tatulka. Straszny nerwus. Jak się, bracie, rozgniewa, to może rozszarpać na kawałki.

—Mylisz się. Mój tata jest taktowny...

—Phi — parsknąłem śmiechem — co mi za różnica, czy mnie rozszarpie taktownie, czy zwyczajnie. Pamiętasz, jak w ubiegłym roku na Jeziorach Augu stowskich potłukł w drobny mak trzy talerze i jeszcze nocniczek małej Basi za to tylko, że mu ktoś pędzel do golenia wsadził do śmietany? Z nim nie ma żartów.

—Ja jednak zostaję.

—Zostań — powiedziałem z pogardą. — Możesz zostać. Chciałbym widzieć tę scenę, jak wujek Waldek wpadnie tutaj rozjuszony i jak przy wszystkich zacnie cię tłuc. Ciebie i mnie. A ja ci za to dziękuję. Nie mam ochoty oberwać od twojego tatulka. Honor mi nie pozwala.

—Ty tylko wtedy masz honor, kiedy ci potrzeba — zauważył Duduś.

—I w ogóle — dodałem — nie masz litości nad swym ojcem. Wiesz dobrze, że ojciec ma nerwicę i każde zdenerwowanie może mu zaszkodzić.

To powiedziawszy, zacząłem znanym sposobem wrzucać do plecaka swoje rzeczy. Duduś tymczasem łamał się, a chłopcy i Marta patrzyli na mnie z uznaniem. Kiedy byłem już gotów, Marta powiedziała:

— Zdaje mi się, że drzwi wejściowe są zamknięte.

Drzwi istotnie były zamknięte. Pozostawała jednak droga przez okno. Spojrzałem więc na okno i wszyscy zrozumieli, że jestem zdecydowany uciec nawet przez komin. Tylko Duduś nie zrozumiał. Myślał, że udaję.

—Może byśmy jednak przespali jedną noc — powiedział płaczliwie i z utęsknieniem spojrzał na lśniące białą łóżko.

—Nie ma głupich. A jak wujek przyjedzie w nocy, to będzie jeszcze większa draka, bo wszystkich pobudzi.

Duduś zaczął się wyraźnie łamać. Wiedziałem, że chętnie by przespał się w higienicznych warunkach, a jednocześnie obawiał się wybuchowego charakteru ojca. Przykro było na niego patrzeć. Pożałowałem go, powiedziałem łagodnie:

—Zrozum, nie możesz dopuścić do awantury.

—Nie rozumiem — odparł. — Przecież jeżeli zwiejemy, to będzie jeszcze większa awantura.

—Kiedy i gdzie? Chyba w Międzywodziu, a do Międzywodzia wujek nie pojedzie, bo mu szkoda będzie pieniędzy. Zresztą przez ten czas na pewno mu przejdzie.

Przy chłopcach i przy Marcie Duduś nie chciał przyznać mi słuszności, ale po cichu, we własnym sumieniu zgodził się ze mną. Poznałem to po jego świętosz-

kowatej minie i po tym, że zaczął pakować walizkę, przedmiot, który już tyle razy przekląłem i od którego obaj mieliśmy bąble na dłoniach.

Ja tymczasem posłałem Martę na zwiady, żeby się dowiedziała, co piszczy w trawie, to znaczy, jaka jest sytuacja w domu. Marta była bardzo smutna, że tak nieoczekiwanie opuszczam kolonię, i bardzo przejęta tym, co się stało.

—Czy musicie dzisiaj uciekać? — zapytała.

—Nie możemy ryzykować — odparłem, a chłopcy potwierdzili moje zdanie.

Dziewczyna poszła więc zbadać sytuację, a ja tymczasem pomogłem Dudusiowi zamknąć walizkę. Usiedliśmy na wierzchu i z okrzykiem hej, hop! domknęliśmy wieko. Tymczasem wróciła Marta z wiadomością, że sytuacja jest pomyślna: pan kierownik wyszedł, a jego żona robi przepierkę.

Nie było sensu dłużej czekać. Uścisnęliśmy sobie dłonie, zgasiiliśmy światło i ja pierwszy wyskoczyłem przez okno, za mną wyskoczył Duduś, chłopcy podali nam nasze rzeczy, a Marta szepnęła na pożegnanie:

— Pamiętaj, coś przyrzekł? Pisz!

— Nie martw się, napiszę — powiedziałem i w tej chwili byłem tak wzruszony, że zapomniałem zapytać, jak się nazywa. I już nigdy nie zdążyłem się do wiedzieć. A szkoda, bo Marta była bardzo morowa dziewczyna i nawet mi się podobała.

Szliśmy tą samą ścieżką, którą niedawno prowadziła mnie Marta. Było tak ciemno, że ja nie widziałem Dudusia, a Duduś nie widział mnie. Bylibyśmy na pewno zgubili się w tych egipskich ciemnościach, gdyby nie walizka, którą nieśliśmy na patyku między sobą. Nie mówiliśmy nic do siebie, bo cóż można mówić w takiej sytuacji. Duduś miał jeszcze jeden powód — obraził się na mnie śmiertelnie za to, że wyciągnąłem go z czystego łóżka. Teraz przynajmniej mógł wdychać tyle tlenu, ile tylko zapragnął. Nie trzeba było otwierać okna.

Zastanawiałem się, dlaczego właściwie taszczyć ze sobą Dudusia? Przecież mogłem go zupełnie spokojnie zostawić na kolonii i rzucić na pożarcie wujowi Waldemarowi. A jednak zabrałem go ze sobą. Widocznie człowiek najbardziej przywiązuje się do swego nieszczęścia. A może nie chciałem zostać jedyną parzywą owcą w rodzinie? Pragnąłem dzielić ten zaszczyt z Dudusiem Faferskim. Niech wiedzą, że on też potrafi stanąć na uszach i postawić się sztorcem. A może chciałem z niego zrobić porządnego chłopca? Nie mogłem znaleźć odpowiedzi, bo było strasznie ciemno i chciało mi się spać.

Nie wiem, jak daleko uszliśmy tego wieczora. Gdy jest ciemno, to właściwie nic nie wiadomo. Zatrzymaliśmy się dopiero wtedy, gdy Duduś jęknął żałośnie i upuścił kij, na którym nieśliśmy walizkę.

- Nie mogę dalej, ręka mi zdętwiała.
- Nie szkodzi — pocieszyłem go — i tak nie wiemy, dokąd idziemy.
- A gdzie my właściwie jesteśmy? — zapytał płacząco.
- Ba, gdybym wiedział. Zdaje mi się, że wciąż jeszcze nad jeziorem. Ale czy to takie ważne. Biwakujemy.
- Tutaj? — zdumiał się.
- Możemy gdzie indziej.
- Nie boisz się?
- Tomek Sawyer i Huck nocowali raz w grocie, gdzie byli bandyci, i też się nie bali.
- To co innego, to było w powieści.
- Myślisz, że w życiu nie jest tak, jak w powieści?
- Nie zawsze.
- To raz może być.

Zrzuciłem na ziemię plecak, naciągnąłem na siebie sweter i dwie pary skarpetek, znalazłem suche miejsce i nie czekając na Dudusia, położyłem się wygodnie. Duduś tym razem nie spał w pizamie. Uczynił to samo co ja. Nie mógł jedynie włożyć nóg do walizki, boby się nie domknęła. Pozwoliłem mu włożyć nogi do mego plecaka. Nareszcie nauczył się czegoś pożytecznego.

Gdy leżeliśmy już razem, przytuleni do siebie jak dwaj bracia syjamscy, Duduś zapytał ni stąd, ni zowąd:

- Słuchaj, Poldek, mnie się zdaje, że my już nigdy nie zajedziemy do tego Międzywodzia. Dwa dni jesteśmy w drodze, a do tej pory ujechaliśmy dopiero sto sześćdziesiąt kilometrów.
- Skąd wiesz, że tyle?
- Obliczyłem po słupach przydrożnych.
- Czy to mało?
- Jeżeli dalej będziemy jechali w tym tempie, to obliczyłem, że za dziesięć dni możemy być na miejscu.
- To świetnie — powiedziałem.
- Przecież mówiłeś, że to trzy skoki.
- No tak, gdyby jutro udało nam się złapać jakiś odrzutowiec, to...
- Nie żartuj — przerwał mi Duduś. — Ja już mam dość...
- A kto ci kazał jechać ze mną?
- Przecież ty mnie namówiłeś.
- To możesz wrócić, jak ci się tutaj nie podoba.

Duduś nie wrócił. Był tak śpiący i zmęczony, że ziewnął przeciągle i zasnął jak niemowlę. Ja jeszcze raz spojrzałem w górę. Nad nami było czarne sklepienie lasu. W jednym miejscu wśród gałęzi zamigotała gwiazda. Patrzyłem na nią. Zdawało mi się, że rośnie, rośnie i spada na mnie. Zasnąłem. Gdy ocknąłem się ze snu, miałem takie wrażenie, że nade mną stoi koza. Do licha, skąd tyle kóz na

świecie i dlaczego nie dają nam spać? Ale to nie była koza, bo jeśli się nie mylę, koza nigdy nie stoi z wędką. Tymczasem to, co nade mną stało, miało piękną bambusową wędkę i do tego okulary. Przetarłem oczy, lecz zanim zdążyłem przetrzeć, usłyszałem głos:

— Co wy tu, chłopcy, robicie?

Dopiero teraz ujrzałem całą postać. Był to rośli, barczysty starzec o pięknej siwej brodzie i ogorzalej twarzy proroka. Byłbym sądził, że to znakomity pisarz amerykański Ernest Hemingway, którego nieraz widziałem na fotografii, ale przypomniałem sobie, że Hemingway zmarł niedawno, a zresztą nie umiał mówić po polsku. Pytanie było nieco dziwne. Rybak widział przecież, co robimy. Powinien raczej zapytać, czego nie robimy. Odparłem jednak bardzo grzecznie:

— Śpimy w lesie.

Rybak roześmiał się. Miał sympatyczną twarz i bardzo mądre, siwe oczy. A gdy się śmiał, to zdawało się, że raduje się całą duszą i sercem.

—A skąd wyście się tu wzięli? — zapytał.

—Z Warszawy — odrzekłem, zadowolony, że nie skłamałem.

Zaczął się dziwić, wypytywać, a ja mu odpowiadałem i, dając słowo, ani razu nie przesadziłem ani nawet nie sfantazjowałem. Ranek był tak piękny, tak uroczy, że grzechem byłoby kłamać.

Duduś miał szczęście, nie musiał odpowiadać. Zamiast tego chrapał jak młody, zdrowy hipopotam. Widocznie świeże powietrze przepojone balsamicznym zapachem lasu bardzo mu służyło.

— No, no — pokiwał rybak głową — zabrneliście w porządną awanturę. — A potem, jakby mu dobra wróżka podszeptała, zapytał: — I macie co jeść?

Nie wypadało odpowiedzieć wprost, więc odrzekłem oglądnie:

—Można by powiedzieć, że mamy, gdyby w drodze nie ograbiła nas pewna banda Meksykańczyków.

—Więc nie macie?

—Można powiedzieć, że nie mamy.

Rybak poklepał mnie szeroką dłonią.

—Nie martwcie się. Zapraszam was na śniadanie. Lubisz zupę rybną?

—Jeżeli nie ma co jeść, to wszystko lubię.

— Rezolutny z ciebie chłopak — powiedział, a potem dodał: — Złapałem pięknego szczupaka. Wystarczy dla nas wszystkich.

Słyszałem, że rybacy ogromnie lubią fantazjować i przesadzać, ale ten nie bujał. W przytroczonej do pasa siatce zobaczyłem bowiem potężnego szczupaka. Miał otwarty pysk i zdawało mi się, że patrzy na mnie.

—Dziękujemy bardzo — powiedziałem w imieniu własnym i Dudusia.

—Nie ma za co. Jesteśmy sąsiadami — zażartował. — Mój namiot tu, o dwa kroki. — Pożegnał mnie uśmiechem i zaczął schodzić z urwiska.

Dopiero teraz zorientowałem się, że leżymy przy samej ścieżce, na wysokim brzegu. Wśród starych pni przeświecała czysta i chłodna tafla jeziora, a nad jeziorem, na małej polance, widać było namiot rybaka.

Zbiegłem ze skarpy. Stałem na brzegu. Trzciny szeleściły cicho, jakby ktoś przesypywał w dłoniach piasek. Woda żarzyła się lekko w ukośnych promieniach słońca. Niebo było bezchmurne, a powietrze rześkie i tak czyste, że na drugim brzegu ujrzałem stado dzikich kaczek. A ja stałem zapatrzony i radość zapierała mi dech w piersiach.

Zrzuciłem szybko ubranie. Padem wbiegłem do wody. Była rozkosznie chłodna. Dałem nurka, otworzyłem oczy i ujrzałem ławicę srebrzystych rybek, umykającą przede mną w popłochu. Potem popłynąłem. Im dłużej płynąłem, tym dalej chciałem dopłynąć. Ale przypomniałem sobie Dudusia. Wyobraziłem sobie, jak się przestraszy, gdy nie zobaczy mnie przy sobie. Gotów narobić wrzasku, a w lesie nie wypada przecież krzyczeć. Zawróciłem więc ku brzegowi.

Duduś chrapał jeszcze, a gdy nim potrząsałem, zamruczał niezadowolony, przewrócił się na drugi bok, a potem chrapnął jeszcze głośniej.

— Wstawaj — zawołałem — ojciec przyjechał! Zerwał się jak wańka-wstańka i zaczął uciekać.

Zatrzymałem go. Miał tak wystraszone oczy, że parsknąłem śmiechem. Myślałem, że boki zerwę, ale na szczęście nie zerwałem.

— Nie bój się — powiedziałem. — Ojciec nas tutaj nie znajdzie. Jesteśmy zaproszeni na śniadanie.

Nie chciał uwierzyć.

Uwierzył dopiero wtedy, gdy poszliśmy z wizytą do naszego brodatego sąsiada. Rybak przywitał nas bardzo serdecznie. Najpierw poczęstował gorącą kawą z termosu, a potem rzekł:

— No, koledzy, rozpalcie ognisko. Będziemy gotowali rybną zupę po węgiersku. Mówią wam, pycha! Palce lizać. No, do roboty, wiara.

Wzięliśmy się do roboty. Przynieśliśmy z lasu chrustu, suchych gałęzi, uprzątnęliśmy palenisko, obłożyliśmy je kamieniami, a potem zwróciłem się do Dudusia:

— Zapal, bracie, niech widzę, jak ty to robisz.

Mój cioteczny brat, pozał się Boże, wiedział, z jakich atomów składa się drewno, mógł dokładnie opisać, na czym polega proces spalania się suchych gałęzi, ile wyzwala się przy tym kalorii, ale — przyznam ze wstydem — nie potrafił rozpalić ogniska. Zepsuł tylko pół pudełka zapalek i poparzył sobie serdeczny palec prawej ręki.

— Jesteś wytworem miejskiej cywilizacji — powiedziałem z przekąsem. — Zanim zostaniesz prawdziwym trampem, będziemy już latali na księżyc.

Rozpaliłem ognisko. Wnet zapachniało mi rozkosznie słodkawym dymem z sośniny. Zaraz przyszedł nasz rybak. Z pogodą i spokojem człowieka natury

zabrał się do gotowania zupy. Zawiesił nad ogniskiem kociołek, a zanim woda się zagotowała, wypatroszył szczupaka i pokrajał go na drobne plasterki. Potem wrzucił do wody sporo cebuli i papryki.

— Po węgiersku ta zupa nazywa się halaszle, czyli zupa rybaka — tłumaczył. — Żeby była dobra, musi się gotować na wolnym ogniu i powinna prześiąknąć dymem. Tak właśnie przyprawiali ją balatońscy rybacy, gdy wracali nad ranem z połowów.

Zupa po węgiersku nazywała się halaszle, ale mnie to zupełnie nie obchodziło, jak się nazywa. Grunt, że była superpyszna, tylko bardzo ostra, bo brodacz wsypał do niej garść papryki. Tak nas piekło w ustach i gardle, że Duduś mimochodem zauważył:

— Jeżeli chodzi o pieprz turecki, czyli paprykę, to czytałem, że w zbyt wielkich dawkach szkodzi na żołądek, system trawienny, a zwłaszcza na trzustkę.

Roześmialiśmy się z brodaczem jak na komendę.

— Ho, ho — zażartował brodacz — spójrz na mnie. Codziennie zjadam pół kilograma papryki i powiedz, czy źle wyglądam?

Brodacz wyglądał wspaniale: twarz miał ogorzałą i czerstwą jak dobrze wypieczony bochenek chleba, ręce i kark muskularne, spojrzenie bystre, a przy tym śmiał się tak młodzieńczo. Jednym słowem, okaz zdrowia. Zastanawiałem się, kto to może być? Gdyby to były czasy Żelaznej Stopy albo Winnetou, mógłbym sądzić, że to wspaniały traper. Ale gdzież dzisiaj znajdziesz porządnego trapera? Może uciekł z więzienia i ukrywa się w lesie? Ale za co mogliby wsadzić człowieka z takimi pięknymi i dobrymi oczami? Nic mi mądrego do głowy nie przyszło, więc zwierzyłem się Dudusiowi, gdy tylko poszliśmy do jeziora szorować kociołek. Duduś powiedział przez nos:

—Mnie on wydaje się podejrzany.

—Dlaczego?

—Bo kto tak samotnie żyje na takim pustkowiu?

—Może ucieka od cywilizacji?

—I widziałeś, jaki obdarty? Może zabił kogoś i ukrywa się tutaj przed władzami.

—Nie wierzę — zaprotestowałem.

—Ja w każdym razie radzę ci być ostrożnym.

Dziwny ten Duduś Faferski, jeżeli widzi, że ktoś ma podarte portki, wymiętą koszulę, poplamiony, stary kapelusz i do tego jest nie ogolony, od razu myśli, że to przestępca, i chętnie wysłałby go za kratki. Najchętniej widziałby świat zaludniony samymi Dudusia-mi i wujkami Waldemarami, którzy mają dobrze wyprasowane spodnie, czyste koszule, a do tego Złote Krzyże Zasługi.

Nie wiem, czy nasz brodacz miał Złoty Krzyż Zasługi. Chciałem go o to zapytać, ale nie wypadało. Za krótko znaliśmy się. W każdym razie był morowym i bardzo go polubiłem. Zauważyłem nawet, że ma podobne do mnie usposobienie,

bo kiedy szorowaliśmy kociołek, a raczej ja szorowałem, a Duduś przypatrywał się, podszedł do nas i powiedział:

— Nie trzeba tak dokładnie, bo i tak jutro będę gotował tę samą zupę. — A potem zapytał, jak nam smakowało, czy najedliśmy się do syta i czy nam czegoś nie brakuje.

Powiedziałem mu, że właściwie niczego nam nie brakuje prócz szczęścia w podróżowaniu autostopem i mapy. Chcieliśmy zobaczyć, gdzie jesteśmy i czy daleko mamy do Międzywodzia. Brodacz zaraz przyniósł z namiotu wielką, samochodową mapę. Okazało się, że jesteśmy o siedemnaście kilometrów od Brodnicy, a Duduś w swoich obliczeniach nie pomylił się nawet o kilometr. Jak on to robił? Geniusz, jak babcię kocham.

Potem wypiliśmy jeszcze po kubku herbaty, zjedliśmy paczkę biszkoptów i czekaliśmy, kiedy sympatyczny brodacz zacznie się wypytywać, co zamierzamy robić. Ale on był tak sympatyczny, że nawet nie wspomniął o tym, tylko zaproponował, że odwiezie nas do Brodnicy. Wydało mi się to nieco podejrzanym. Przede wszystkim, czym miał nas odwieźć? „Może łódką?” — pomyślałem.

Najbardziej martwiłem się, żeby z tego nie było jakiejś wyspy. Duduś też się martwił, więc powiedział:

— Bardzo panu dziękujemy. Nie chcielibyśmy nadużywać pańskiej gościnności i raczej pójdziemy sami.

Miałem wrażenie, że to przemawia jego kochany tatuś, i chciałem go kopnąć w kostkę, niech się nie wygłupia. Siwy brodacz roześmiał się.

— Nie radzę z taką walizką. Ręce ci, kolego, odpadną.

Ja też tak sądziłem, więc wtrąciłem:

— Gdyby pan nas odwiózł, to byłoby wdechowo.

— O! — zawołał. — To mi się podoba. Mówisz jak człowiek. Nie znoszę ceregieli. A więc jedziemy.

— Jedziemy, ale czym?

— Samochodem.

Przyznam się, że mnie lekko zatkało, bo skąd taki brodacz w podartych portkach mógł mieć samochód? Pomyślałem sobie, że nas nabiera. Duduś zapewne pomyślał jeszcze gorzej, bo nie ma zaufania do ludzi i jest bardzo podejrzliwy, taki jak babcia Fąferska. Tymczasem brodacz wrzucił wszystkie rzeczy do namiotu, zapiął klapę i kazał nam iść za sobą.

Poszliśmy więc za nim, ogromnie ciekawi, co teraz nastąpi. Trochę się bałem, a trochę niecierpliwiłem, ale niedługo, gdyż nasz sympatyczny gospodarz wspiął się na urwisko, potem przeciął ścieżkę, przy której spędziliśmy noc, przeszedł kawałek lasem i zatrzymał się na niewielkiej polance.

Nie chciałem uwierzyć własnym oczom. W cieniu opadających nisko gałęzi stał piękny „fiat 1800”. Z miejsca poznałem ten model, bo ostatnio często grałem z chłopcami w odgadywanie marek samochodów. Zawołałem więc zdumiony:

— Ale pan ma wdechowego „fiata”!

Duduś nic nie powiedział, bo go zupełnie zamurowało. Mrugał tylko oczami i zezował na koniec krostowatego nosa. Był bowiem przekonany, że nasz staruszek jest złodziejem samochodów. Poznałem to po jego minie i po sposobie wsiadania do wozu. Właściwie nie wsiadł, tylko wsunął się ukradkiem i usadowił tak delikatnie, jak fakir na desce z gwoździami.

Brodacz tymczasem zachowywał się tak, jakby to naprawdę był jego samochód. Wsiadł zupełnie normalnie i zupełnie normalnie zapuścił motor. Potem ruszył z fantazją. Byliśmy zaskoczeni i do samej Brodnicy nie powiedzieliśmy ani słowa.

Zastanawiałem się, co z nami zrobi. Było kilka możliwości: albo zawiezie nas na posterunek milicji, albo zatelefonuje z poczty do Warszawy, albo... Nie mogłem doliczyć się tych „albo”, więc czekałem z wzrastającym zainteresowaniem. Tymczasem nasz opiekun zaskoczył nas niespodziewanie. Zatrzymał się przed cukiernią i zaprosił na lody.

— Czy to nie wydaje ci się podejrzane? — zapytał blady z przejęcia Duduś.

— Trochę... tak.

— Może to kidnaper. Porwie nas, a potem będzie od rodziców żądał okupu. Widziałem taki film.

— Ja też widziałem, ale to było w Ameryce.

— W takim razie kto to może być?

— Może święty Mikołaj — zażartowałem.

Duduś nie wytrzymał. Przy lodach zapytał mimochodem:

— Bardzo pana przepraszam, ale czym się pan właściwie zajmuje?

— Robaczkami — zaśmiał się głośno.

Dudusiowi opadła szczęka.

— Robaczkami?... — wybąkał. — Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś zajmował się robaczkami.

Nasz staruszek przymrużył łobuzersko oko.

— Jest cała gałąź nauki, która zajmuje się robakami, owadami, motylami...

— Już wiem — jęknął Duduś. - Entomologia! To pan jest entomologiem? Do tatusia przychodzi jeden kolega, który zajmuje się entomologia z amatorstwa.

To

musi być ciekawe. Czy pan jest amatorem, czy zawodowcem?

— Czy ty wszystko musisz wiedzieć, człowieku? — przerwałem mu, bo byłem pewny, że za chwilę zapyta, ile nasz staruszek ma dzieci i jakie przechodził

choroby w dzieciństwie.

Brodacz uśmiechnął się dobrodusznie.

— Nie szkodzi, nie szkodzi... Jeżeli jesteś tak bardzo ciekawy, to ci powiem. Zajmuje się wyszukiwaniem robaków na przynętę, zwłaszcza prosówek i glist. Na nie najlepiej biorą węgorze i okonie.

Parsknęliśmy głośno śmiechem, a Duduś najpierw zbladł, potem zarumienił się jak panienka, a potem wykrzywił usta w płaczliwym grymasie.

—A ty co myślałeś, mój drogi? — starał się go udobruchać nasz święty Mi kołaj.

—On myślał, że pan jest kidnapерem — powiedziałem.

Zdawało się, że brodacz pęknie ze śmiechu. Kładł się na stół, prychał, trząsał, a z oczu płynęły mu łzy.

— A toście mnie ubawili! — zawołał tubalnym głosem. — Dawno się tak nie uśmiełem. Kidnaper! Najlepszy dowcip, jaki w życiu słyszałem. Ja porywaczem dzieci!

Naraz wstał, otarł chusteczką załzawioną twarz, skinął nam przyjaźnie głową i powiedział:

— No, moi drodzy, dziękuję wam za miły poranek i za to, żeście mnie tak serdecznie ubawili. Życzę wam, żebyście szczęśliwie wrócili do domu. — Potem nachylił się i dodał szeptem. — Tylko nie wsypcie mnie, że ja was podwożem, boby się rodzice na mnie pogniewali. Ja was rozumiem, bo też byłem taki jak wy. Trzymajcie się. — Skinął nam ręką i szybko wyszedł z cukierni. Za chwilę jego czarny „fiat” śmignął przed oknami i wnet zniknął za rogiem ulicy.

Długo siedzieliśmy w milczeniu. „Kto to może być? — zapytywaliśmy w myślach. — Dlaczego zaprosił nas na śniadanie? Dlaczego podwoził do miasta i fundnął podwójne lody?” Duduś myślał i ja myślałem i nic nie mogliśmy wymyślić. Zupełnie nas замуrowało. Ocknęliśmy się dopiero, gdy kelnerka podeszła zebrać naczynia. Przyglądała się nam z kłopotliwym zainteresowaniem.

—A co wyście tak rozśmieszyli pana profesora? — zapytała znienacka.

—Profesora? — zdziwiłem się.

—Jakże to, jedliście z nim lody i nie wiecie, że to profesor uniwersytetu z Warszawy. Sławny fizyk atomowy. On tu przyjeżdża co lato. Ogromnie go

wszy
scy lubimy, bo wesoly i z każdym ma ochotę pożartować.

Duduś zbladł jeszcze bardziej.

— Sławny fizyk atomowy! — wybąkał i spojrzał zezem na koniec nosa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

List, który wysłaliśmy z Brodnicy:

Kochana Mamusiu! Kochana Ciociu! A to ci pech! O mały figiel bylibyśmy się spotkali z wujkiem Waldkiem. Niestety, wujaszek przyjechał tam, gdzieśmy byli wtedy, kiedy już nas nie było. Po prostu wyjechaliśmy wcześniej, niż mieliśmy wyjechać. Ale nic się nie stało, bo za to spotkaliśmy nad jeziorem sławnego fizyka atomowego!!! Profesora uniwersytetu. Duduś myślał, że to złodziej samochodów, bo miał podarte portki i brodę, i wspaniałego „fiata”, najnowszy model 1800. Ale on wcale się nie obraził, tylko ugotował nam haldszle {zgadnijcie, co to znaczy?} i potem w Brodnicy fundnął nam jeszcze orzechowe lody. Byczy chłop, co? Jesteśmy w Brodnicy. Zwiedzamy stare zabytki (przyda mi się do nauki historii, jak znalazł) i okolice. Pewien nauczyciel historii (nawiasem mówiąc podobny do siwej czapli) pochwalił nas za to, że zwiedzamy i tak bardzo interesujemy się historią ziemi ojczystej. Bylibyśmy nawet nocowali na kolonii letniej, ale tak się złożyło, że nocowaliśmy trochę dalej. Nie martwcie się o nas. Nie macie pojęcia, jak nam służy świeże powietrze i tlen, którego jest w powietrzu dwadzieścia jeden procent. Szkoda, że nie więcej. Jak tam Basia, Maciuś, Henia i Boguś? Nie podajemy adresu, bo łąda chwila będziemy już gdzie indziej. Przyjeżdżamy niebawem. Zасыłamy pozdrowienia spod Wieży Mazurskiej (XIV w.) i ucałowania prosto z poczty.

Poldek i Duduś

— Tak się powinno pisać listy — powiedziałem z dumą do Dudusia. — Szczyt dyplomacji. Jestem przekonany, że gdy dorosnę, będę ambasadorem tureckim w Pernambuco.

Duduś nic nie powiedział. Gniewał się na mnie i udawał, że mnie nie widzi. Byłem bardzo zadowolony z listu. Nie skłamałem w nim ani krztyny, a to, że pominąłem niektóre fakty, nie miało znaczenia, a raczej miało, bo ciocia Benia cierpiała na nadciśnienie i niepotrzebne fakty mogły jej tylko zaszkodzić.

Pisałem: „przyjeżdżamy niebawem”, lecz to „niebawem” równało się wielkiemu znakowi zapytania. Wciąż byliśmy jeszcze w Brodnicy, chociaż bardzo pragnęliśmy być nieco dalej, i wciąż podziwialiśmy zabytki historyczne. Podziwialiśmy tak do wieczora, gdyby nie olbrzymi wóz meblowy, który zajechał nagle na rynek. Był to wóz bardzo okazały i jeszcze bardziej pakowny. Mógł pomieścić ze stu Dudusiów z walizkami i krostami. Błyszczał w słońcu świeżą farbą, a na bokach budy miał olbrzymie napisy: ZAKŁADY PRZEMYSŁU DRZEWNEGO, TUCHOLA.

„Jeżeli Tuchola, to dobra nasza — pomyślałem. — Wszystko świetnie się składa. Tuchola leży przecież po drodze do Szczecina i Międzywodzia”. W wyobraźni ujrzałem już nas obu z walizką w zacisznym zakamarku wozu meblowego. Widziałem bowiem niejedną taką wózek w Warszawie. Są one obite wewnątrz lub pikowane jak drzwi do naszego dyrektora szkoły. Komfort!

Z radością zaobserwowałem, że kierowca z jakimś drugim mężczyzną — jak gdyby nigdy nic — poszli do gospody na piwo, a wóz zdawał się nas zapraszać do przytulnego wnętrza. Skorzystaliśmy więc z zaproszenia, zwłaszcza że drzwi do budy były otwarte. Wśliznęliśmy się wraz z cud-walizką, torbą i plecakiem. Nie przyszło nam to łatwo, cały bowiem wóz naładowany był jakimiś długimi, nieforemnymi pakami. Początkowo w żaden sposób nie mogłem ustalić, co to za dziwne paki, ale wnet mój cioteczny brat, który znał się przecież na wszystkim, wyjaśnił z olbrzymim przejęciem, że to po prostu zwykłe trumienki. Zrobiło mi się trochę nieswojo i trochę zatrząśłem portkami. Wnet jednak doszedłem do wniosku, że nie mam się czego bać. Trumienki były jeszcze w surowym stanie, zbite z sosnowej tarcicy, nie pomalowane ani przyozdobione — po prostu zwykłe drewniane skrzynie w formie, która mogła przypominać to, co kiedyś miało być.

„Jeżeli mamy dojechać do Tucholi, to nie możemy zwracać uwagi na takie drobiazgi” — pomyślałem, Duduś pomyślał jednak inaczej, gdyż nie zapomniał niebawem zaznaczyć:

— Wybacz, ale ja nie mam zamiaru podróżować w tak makabrycznych okolicznościach.

Wybaczyłem mu bez trudu i powiedziałem, że Jack London w czasie swej włóczęgi po stanie Minnesota spał raz w kostnicy i też mu się nic nie stało. Ba, wyrósł na porządnego człowieka, a jego książki połyka się jednym tchem. Dałem więc do zrozumienia memu ciotecznemu bratu, że jeżeli chce wyrosnąć na porządnego człowieka, to powinien zgodzić się na podróż z trumienkami. Po dłuższym wahaniu zgodził się.

Ulokowaliśmy się w wąskich przesmykach między surowymi deskami i wcale nie było tak źle. Pachniało nam świeżą sośniną, żywicą i jeszcze czymś nieokreślonym. Podłożyłem plecak pod głowę, wyciągnąłem się wygodnie i zacząłem wspominać wczorajszy wieczór z Martą. Nie zdążyłem jednak dojść we wspomnieniach do siwej czapli-samotnicy, gdy na zewnątrz usłyszałem czyjś głos.

— Franek!!! — wołał ktoś spod drzwi wozu. — Dawaj te gęsi. Wpakujemy je do wozu.

„Jesteśmy zgubieni — pomyślałem. — Zaraz otworzą pakę i zobaczą ładne gęsi”. Od czego jednak jest wyobraźnia? W tej samej chwili wpadł mi znakomity pomysł. Odsunąłem wieko pierwszej trumienki i szepnąłem do Dudusia:

— Pakuj się.

— Czyś ty zwariował? — jęknął mój cioteczny.

— Nie, tylko mam świetny pomysł. No, gazem, bo zaraz tu przyjdą.

Duduś już za życia miał minę nieboszczyka, więc było mu „do twarzy” w jasnej trumience. Wyglądał zupełnie tak, jak święty Franciszek, którego widziałem kiedyś w książeczce do nabożeństwa u babci Fąferskiej.

— Ja się tu uduszę — jęknął.

— Nie martw się, to nie komora wysokiego ciśnienia, to ma szpary. — Na sunąłem na Dudusia wieko trumienki i przez moment wydało mi się, że żegnam

go już na wieki. Potem szybko wśliznąłem się do drugiej skrzynki dla niebosz

czyków i — jakby nigdy nic — nakryłem się wiekiem. Dopiero wtedy zacząłem

naprawdę trząść portkami, bo zdawało mi się, że mnie żywcem zakopują w tej

sosnowej skrzynce.

Naraz drzwi się otworzyły i usłyszałem ten sam głos:

— Pakuj, Franuś, tylko ostrożnie, żeby się koszyk nie przewrócił.

Ktoś na wieko mojej skrzynki rzucił ciężki kosz, aż deski zaskrzypiały.

„Umarłem w butach — pomyślałem. — Teraz to już nigdy sam nie wyjdę z tego oryginalnego więzienia”. Przestraszyłem się na dobre, ale bardziej ode mnie przeraziły się moje sąsiadki znad skrzynki. Podniosły taki gęgot, jakby im ukęciano głowy.

Za chwilę zagrał silnik, wóz zatrzęsł się lekko i uczułem, że ruszamy.

Sytuacja nie do pozazdroszczenia: ja w trumience, nade mną smakowite gąski w koszu, a Duduś w drugiej trumience. I wszyscy jedziemy przez prapolskie ziemie, pełne historycznych pamiątek. Miałem nadzieję, że Duduś domyśli się, wylezie z trumny i uratuje mi życie. Ale Duduś nie domyślił się. Widocznie bardzo się przejął rolą żywego nieboszczyka i zasnął snem sprawiedliwych. Ja też postanowiłem zasnąć. Byłem bowiem porządnie wyczerpany przeżyciami dwóch ostatnich dni.

Gdy się ocknąłem, poczułem się jak mumia faraona Tutenchamona na dnie egipskiego grobowca, cały zdrętwiały i obolały. Nie mogłem ruszyć ani ręką, ani

nogą, nie mówiąc o głowie. Byłem przekonany, że nastąpiła jakaś awaria, bo staliśmy w miejscu i otaczała nas zupełna cisza.

Naraz drzwi wozu meblowego zaskrzypiały, a potem usłyszałem znajomy głos:

—No, Franek, jak tam gąski, nie podusiły się?

—Żyją, żyją — powiedział ten drugi.

Słyszałem, jak ktoś ściąga z mojej trumienki kosz. Odróżniałem wyraźnie szurnięcie kosza i odgłos stąpania. Nagle ten drugi zapytał:

—Mietek, czyś ty miał jakąś walizkę?

—Ale skąd — odrzekł ten pierwszy.

—A tu jakaś walizka... z nalepkami, jakby zagranicznego gościa.

W tej chwili usłyszałem dobrze mi znany głos, który wydobywał się jakby z czeluści piekielnej:

— To moja walizka!

To, co potem nastąpiło, przechodzi ludzkie wyobrażenie. Dał się słyszeć przeraźliwy, pełen trwogi głos:

— Duchy, jak pragnę skonać!

A potem usłyszałem rumor upadającego kosza, piekielny wrzask gęsi i trwożliwy bełkot:

— Chryste Panie, wrywajmy!

Pożalowałem biedaków, dzięki którym — trzeba przyznać — ujechaliśmy spory kawał drogi. Zdobyłem się na heroiczny wysiłek. Podważyłem wieko i uniosłem się jak Łazarz z grobu.

Tego tylko brakowało. Wrzasnęli jeszcze głośniejsze, włos im się zjeżył na głowach, oczy stanęły w ślup, a potem rzucili się do panicznej ucieczki.

— Panowie — zawołałem za nimi — nie bójcie się, to my, autostopowicze!

Nie uwierzyli. Tak wrywali, jakby chcieli pogubić buty. Nie pomogły moje zapewnienia, że nie jesteśmy duchami. Znikli w gęstych zaroślach, które w tej chwili ujrzałem przy drodze.

Nie wolno nam było dłużej czekać. Wyobraziłem sobie, co z nami zrobią, gdy wrócą z lasu. Żalną marmoladę, oczywiście. Podniosłem więc wieko trumienki Dudusia. Duduś był pół żywy, pół umarły, jednym słowem, przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy. Nic nie pozostało z jego elegancji ani wyniosłości. Biała koszula przybrała barwę ścierki, spodnie miały wygląd harmonijki, a muszka? Muszki w ogóle nie było. I ten męczeński wyraz twarzy! Należało się rozplakać.

Nie rozplakałem się jednak, tylko krzyknąłem:

— Zwiewamy, bo mogą wrócić!

Duduś uniół się z trudem. Pod wpływem tlenu i balsamicznych zapachów lasu powoli wstępowało w niego życie. Rozejrzał się i zapytał:

—Gdzie moja walizka?

—Jest! — zawołałem.

Chciałem mu pomóc wygrzebać się z legowiska, ale nie zdażyłem. Kierowca z pomocnikiem wracali już z lasu. Byłem pewny, że zaraz padnie sakramentalne pytanie: „Co wy tu robicie?” I rzeczywiście padło. Odrzekłem, z powagą stosowną do sytuacji, że podróżujemy autostopem. Czekałem, kiedy zrobią z nas żalostną marmoladę, ale oni mieli poczucie humoru. Nawet nas nie dotknęli, tylko zaczęli pokładać się ze śmiechu, zwłaszcza na widok Dudusia.

Śmiali się długo, gęsto, aż do łez, a potem uradzili, że jednak muszą nas w jakiś sposób ukarać. Najpierw kazali nam odnieść kosz z gęsiami do leśniczówki, przy której się zatrzymali, a potem podwieźli nas kilka kilometrów, zostawili na szosie, dodali gazu i odjechali.

W ten oto sposób dojechaliśmy do miejsca, którego w żaden sposób nie mogliśmy określić. Było to „gdzieś w Polsce”.

„Gdzieś w Polsce” było bardzo ładne. Wokół stary las. Nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknego lasu. Jodły i dęby, jawory i graby — rozłożyste, bujne, W takim lesie dopiero można bawić się w Indian i być naprawdę tropicielem zwierząt. Słońce stało w zenicie, korony drzew płonęły w blasku, a dołem panował cudowny cień i chłód. I było zupełnie tak, jak w książkach Curwooda — tajemniczo i wspaniale. Oczekiwałem, kiedy z matecznika wyjdzie szara niedźwiedzica albo łoś swymi pięknymi rogami rozgarnie gęstwinę. Ale nic takiego nie wyszło ani nie rozgarnęło. Zamiast potężnej niedźwiedzicy z gatunku grizli zobaczyłem wesołą wiewiórkę uczeponą pnia jodły i przyglądającą się nam swymi błyszczącymi jak paciorki oczkami.

Na widok ponurej gęby Dudusia wiewiórka zwiąła, gdzie pieprz rośnie, a my zostaliśmy sami, jak zbłąkani rozbitkowie.

Duduś zupełnie upadł na duchu. Gotów był usiąść na szosie i rozplakać się. Ja natomiast pomyślałem: „Robinson Kruzoe był w gorszej sytuacji, a jednak nie załamał się. Ba, znalazł sobie Piętaszka, a potem nawet doczekał się statku. Jeżeli Robinson na bezludnej wyspie potrafił się doczekać, to dlaczego my byśmy nie potrafili”. Powiedziałem więc Dudusiowi, że spróbujemy zatrzymać jakiś wóz. Wtedy zapewne dowiemy się, gdzie jesteśmy i dokąd powinniśmy jechać.

Usiedliśmy na skraju szosy w cieniu stuletniej jodły i czekaliśmy. Gdy się tak czeka, przychodzą człowiekowi najrozmaitsze myśli. I mnie też przychodziły. Przede wszystkim przypomniałem sobie, że od śniadania u słynnego fizyka atomowego nic nie jadłem. I zaraz zaczęło mi burczeć w brzuchu. Tak mi okropnie burczało, że Duduś się zgorszył.

— Nie wypada — powiedział. — Przełknij ślinę, to ci przejdzie.

Przełknąłem, ale wcale nie przeszło, tylko zaczęło jeszcze bardziej. Wtedy Duduś poradził mi, żebym pomyślał o czymś smakowitym. Zaraz przypomniałem sobie, jak Indianie nad Potomakiem urządzili ucztę i piekli na ruszcie udziec niedźwiedzi. Pycha! Zapytałem więc Dudusia, czy lubi pieczony udziec niedźwiedzi.

—Masz pomysły — prychnął. — Jak mogę lubić, skoro nigdy nie jadłem?

—Można sobie wyobrazić.

—Nie. Nie potrafię sobie wyobrazić smaku udźca niedźwiedziego, natomiast przypomniały mi się ostatnie imieniny babci. — Zaczął szczegółowo opowiadać

o tym, co było na imieninach babci Faferskiej. — Najpierw przekąski.

Przypo

minasz sobie? Fantastyczna szynka z konserw i polędwica gotowana. A do tego

groszek zielony w tatarskim sosie i sałatka z selera... Mówię ci, palce lizać. A po

tem duszone pieczarki... — wciągnął przez nos powietrze, jak gdyby delectował

się ich zapachem, i cmoknął rozkosznie:

— A potem młode kurczaki, pamiętasz? Takie chrupiące, kruche, aż się w ustach rozpływały...

—Przestań — wrzasnąłem. — Dlaczego się nade mną znęcasz?

Duduś przymrużył jamnikowatę oczy i dorzucił z tajoną rozkoszą:

—A potem tort orzechowy. Jeszcze nigdy nie jadłem takiego tortu...

—Miej litość nade mną — jęknąłem.

Ale Duduś nie miał nade mną litości. Mlasnął, oblizał wargi i dodał:

— A przypominasz sobie te kuropatwy, które babcia upiekła z okazji dekoracji tatusia Złotym Krzyżem Zasługi?

Tego było już za wiele. Czułem, że kiszki mi się skręcają, a żołądek kurczy boleśnie, domagając się kilku upieczonych kuropatw. Postanowiłem wyciąć leszczynowy kij na łuk i iść zapolować do lasu. Byłbym to zapewne uczynił, ale tymczasem usłyszeliśmy zbliżający się warkot jakiegoś pojazdu mechanicznego i zza zakrętu wyłoniła się furgonetka typu „żuk”.

Wybiegliśmy na środek szosy, jak straceńcy zaczęliśmy wymachiwać rękami. O dziwo, furgonetka zatrzymała się, a z szoferki wychylił się kierowca.

— Wsiadajcie — powiedział bez ceregieli.

To rozumiem, proste załatwienie sprawy, żadnych zapytań: a dokąd? a karta jest? jak na imię tatusiowi? Jedno zwięzłe „wsiadajcie!” i po krzyku.

Byliśmy tak zachwyceni, że zapomnieliśmy podziękować. Duduś w ogóle zapomniałby wsiąść, gdybym go nie pchnął do środka. A w środku, pod brezentowym daszkiem, czekała nas nowa niespodzianka. Na worku, który leżał w poprzek wozu, siedziało dwóch autostopowiczów. Na ich widok zrobiło mi się mdło. Byli tak brudni i obszarpani, jakby przez ostatni tydzień nic nie robili, tylko czołgali się w kanałach i śmietnikach. Myny za to mieli ho! ho! —jak piraci z pamiętnego filmu „Tajemnicza Wyspa”, a może jak zdobywcy Mount Everestu, w każdym razie super-zuchwałe. I do tego jeszcze niemal zbójcekie spojrzenia.

Jeden z nich miał na głowie stary, płócienny kapelusz, który opadał mu na oczy i tylko dzięki odstającym uszom właściciela nie zakrywał całej twarzy. A twarz? Jakby wrócił z wojny trzydziestoletniej — podrapana i cała w strupach. Drugi nie miał wprawdzie kapelusza, ale taką szopę na głowie, jakby od roku. nie widział fryzjera. A w tej szopie cały ogród botaniczny: kilka gatunków mchów, jakieś przylaszczki i zawilce, szpilki jodły i sosny oraz zeschnięte liście szypułkowego dębu. Odznaczał się fantazyjnie zadartym nosem i brakiem dwóch siekaczy.

Na nasz widok zamienili kpiące spojrzenia, ale nic nie powiedzieli, tylko parsknęli śmiechem. Duduś, który zawsze był ciekawy, zagadnął z wyszukaną uprzejmością:

— Przepraszam was, koledzy, gdzie my właściwie jesteście?

Ten w płóciennym kapeluszu zmrużył swe kocie oczy i przedrzeźniając go odparł:

— Na ziemi, szanowny kolego, na ziemi.

— O tym nie musicie mnie przekonywać — rzekł Duduś. — Ale moglibyście być nieco uprzejmiejsi i poinformować nas, dokąd właściwie jedziemy?

— Z nieba spadł — zaśmiał się ten drugi, z fryzurą Papuasa.

— Nie mówi się „s z p a d ł”, tylko spadł — poprawił go Duduś.

— Ja ciebie się nie pytam, jak się mówi, tylko ci mówię, żeś chyba spadł z nieba — powiedział zaczepnie Papuas.

Myślałem, że za chwilę trzepnie Dudusia w ucho, ale go nie trzepnął, bo wtrąciłem się do rozmowy. Wiedziałem, że z takimi inaczej się gada. Zacząłem więc z innej beczki:

— Jak się macie?

— Się mamy — powiedzieli i spojrzeli na mnie przychylniej.

— Może macie coś do wtrojenia?

Ten w kapeluszu mrugnął na koleżkę. Papuas wyciągnął z kieszeni pół paryskiej bułki i kawałek kielbasy. Bułka była zgnieciona i cała obsypana tytoniem, a kielbasa zalatywała troszeczkę poprzednim tygodniem, jednym słowem, wiktuały nie pierwszej świeżości. Papuas częstował mnie jednak tak szczerze i serdecznie, że nie mogłem odmówić. Ułamałem kawałek bułki i kawałek kielbasy, a potem chciałem się podzielić z Dudusiem.

Mój cioteczny skrzywił się z niesmakiem.

— Pies by tego nie zjadł. Gdybyś wziął tę kielbasę pod mikroskop — rzekł przez nos — to umarłbyś z przerażenia.

Nasi przygodni, towarzysze ryknęli śmiechem.

— Skąd wytrzasnąłeś tego bubka? — zapytał właściciel kapelusza.

— Tak się złożyło — odrzekłem — że to mój cioteczny brat.

— Jego pewno w domu szpakami karmili — dodał Papuas. — Sztrasznie de likatny.

— To nie jego wina, tak go babcia wychowała.

—Szlaby w uszach.

—Słaby — potwierdziłem — ale może z niego coś wyrośnie. — Zacząłem skubać bułkę i zagryzać kielbasą. Nie była wcale taka zła, tylko załatywała trochę

tytoniem i jeszcze czymś, czego nie mogłem określić.

— Fantastyczna — powiedziałem. — Jeszcze takiej w życiu nie jadłem.

Uśmiechnęli się pojednawczo. Potem zaczęli mnie wypytywać, co? gdzie? jak? Powiedziałem wszystko, jak było, trochę tylko zbujałem. W moim opowiadaniu ciotka zamiast pięciuset złotych dała nam równy tysiąc; z Warszawy zamiast „starem” jechaliśmy „mercedesem”, pod Płońskiem mieliśmy prawdziwą krakę, w której zginął koń, a kierowca złamał sobie obojczyk, potem do Płońska zabrał nas ambasador Abisynii (żeby było barwniej), a w Brodnicy spotkaliśmy wycieczkę zagraniczną i spaliśmy w hotelu nad jeziorem, gdzie widziałem półtorametrowego szczupaka... Z fizyka atomowego zrobiłem konstruktora raket międzyplanetarnych, a wujaszкови Waldemarowi do Złotego Krzyża Zasługi dodałem Order „Sztandar Pracy” pierwszej klasy. Wspomniałem również, że dojechaliśmy tutaj zmotoryzowanym katafalkiem wraz z nieboszczykiem, którym okazał się biskup Warmii. Skąd mi to przyszło do głowy, nie mam pojęcia. Jedno jest pewne, że zrobiłem na nich olbrzymie wrażenie i już zupełnie inaczej na nas patrzyli.

Zacząli opowiadać o sobie — skąd? gdzie? jak? Obaj ulotnili się z domu. Początkowo myślałem, że są synami alkoholików, a macochy znęcały się nad nimi i nic nie robiły, tylko posyłały ich po wódkę, ale z ich opowiadania wynikało zupełnie co innego. Rodzice byli najporządniejszymi ludźmi pod słońcem. Nie pili ani nie chodzili na wyścigi konne.

Ten w płóciennym kapeluszu miał na imię Stefek. Ojciec jego pracował w Nowej Hucie i był przodującym garowym przy piecach martenowskich. Antek Pappas zaś pochodził z rodziny urzędniczej: ojciec był planistą (ładnego synalka zaplanował!), a matka nauczycielką. Ale czy to miało jakieś znaczenie? Obaj bowiem rozporządzali tak bujną wyobraźnią, że z powodzeniem mogli być synami maharadży Hajderabadu.

Wreszcie dojechaliśmy do miejscowości, która nazywała się Wieżyca Kartuska.

Łatwo powiedzieć — Wieżyca Kartuska, ale trudniej zrozumieć, skąd myśmy się tutaj wzięli. Przecież mieliśmy dojechać do Tucholi. Wskazywał na to napis na wozie meblowym. Ale trudno, jeżeli jesteśmy w Wieżycy Kartuskiej, to nie możemy być w Tucholi. Trzeba się z tym zgodzić.

Nie wiem, jak jest w Tucholi, ale tutaj było naprawdę uroczo. Lasy, wzgórza, ruiny zamku, a przede wszystkim jezioro. Jak się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że u nas nic nie ma, tylko zabytki historyczne, lasy i jeziora. Dzisiaj rano byliśmy nad jednym, a po południu już nad drugim. A jedno piękniejsze od drugiego.

Chwilowo podziwialiśmy piękno krajobrazu Szwajcarii Kaszubskiej. Bardzo przyjemne zajęcie, tylko z tego nie można żyć. Gdyśmy tak podziwiali, podszedł do mnie Stefek i zapytał:

—Macie forszę?

—Dziewiętnaście złotych i czterdzieści groszy — odpowiedziałem. Spostrzegłem, że zmartwił się szczerze.

—A czyja to walizka? — wskazał na przedmiot z cielejącej skóry, oblepiony zagranicznymi nalepkami.

Moje największe nieszczęście na tle kartuskich jezior, prastarych lasów i góry z ruinami zamku wyglądało imponująco. Odpowiedziałem więc bez czarowania, że to walizka wujka Waldemara, a wujek dał ją na drogę Dudusiowi. Stefkowi błysnęły oczy.

—Solidna. Jak myślisz, ile można by za nią dostać?

—Czy ja wiem? To zależy od okoliczności.

—Pięć patyków?

—Chyba sześć. To walizka z cielejącej skóry i zabytkowa. Zjechała już pół świata.

—No to nad czym się zastanawiamy?

Przyznam, nie wiedziałem w tej chwili, nad czym, bo wciąż jeszcze byłem pod urokiem niepowtarzalnego piękna Szwajcarii Kaszubskiej. Powiedziałem więc mimo woli, że nad niczym. Stefek mrugnął do mnie porozumiewawczo.

— Opylimy, a potem podzielimy się forszą.

Gotów byłem zgodzić się, bo walizka w naszej podróży autostopem nie miała żadnego praktycznego znaczenia, była po prostu ołowianą kulą u nogi, jednak zwyciężyła we mnie solidarność rodowa, więc rzekłem:

—To jest zabytkowa walizka Fąferskich. Zjechała już pół świata z naszym wujaszkiem, więc nie wypada jej opylać.

—To co będziesz robił, jeżeli nie masz forsy?

—To samo, co Jack London.

—Mięczak z ciebie — prychnął Stefek.

—A z ciebie cwaniak.

—Cwaniak toś ty.

—No, zobaczmy.

—Nie szarp się, bo ci wstawię bańki.

—Spróbuj, zdechlaku...

Dość długo wymienialiśmy zdania na temat naszych cech fizycznych i moralnych. Byłem pewny, że Stefek spróbuje, ale jednak rozmyślił się. Widocznie miał respekt przede mną. Splunął tylko z obrzydzeniem i powiedział do Papuasa:

— Nie chcę się z nim babrać, boby go mamusia w domu nie poznała. Chodź, Antoś.

A Papuas dodał od siebie:

— Jak na ciebie patrzę, to mi się zdaje, że mam robaki w brzuchu — splunął z pogardą i odeszli.

Posłałem za nimi jeszcze kilka życzeń, żeby nie myśleli, że się ich boję. Duduś się nie odzywał, gdyż znowu zupełnie upadł na duchu i był w stanie kompletnego wyczerpania. Zaproponowałem więc, żebyśmy zjedli obiad w pobliskiej gospodzie. Pierwszy raz zgodził się ze mną bez protestu.

Mieliśmy dziewiętnaście złotych i czterdzieści groszy, trzeba było oszczędnie gospodarować gotówką. Zjedliśmy więc nie to, na co mieliśmy ochotę, ale to, na co nas było stać. A stać nas było na pomidorową zupę (dwa czterdzieści) i na gulasz z ziemniakami (siedem złotych). Po zapłaceniu za obiad zostało więc w kasie sześćdziesiąt groszy i wspaniałe perspektywy dalszego podróżowania autostopem.

Po zupie pomidorowej i gulaszu Duduś odzyskał mowę.

—W ogóle... jak ty sobie wyobrażasz? — zapytał. — Czy za sześćdziesiąt groszy można dojechać do Międzywodzia?

—Przecież masz jeszcze dwieście czterdzieści złotych na książeczce PKO.

—Tak, ale zapomniałem ci powiedzieć, pieniądze podjąć może tylko mama.

Niestety, jesteśmy jeszcze niepełnoletni.

Zrzedła mi mina i musiałem bardzo głupio wyglądać z tą „zrzedniętą miną”, bo Duduś dodał ni stąd, ni zowąd:

— Z tobą to tak zawsze.

Dobrze wiedziałem, co chciał przez to wyrazić. Niby przeze mnie wszystkie nieszczęścia. Przeze mnie jesteśmy niepełnoletni i nie możemy podjąć pieniędzy. Powinienem ukorzyć się, przyznać do wszystkiego, a ja tymczasem postanowiłem wykapać się w „perle Kaszubskiej Szwajcarii”.

— Po obiedzie nie można się kąpać — zauważył Duduś. — Żołądek jest przeciążony, a wszelki ruch źle wpływa na trawienie.

Przyznałem mu rację i poszedłem nad jezioro. Duduś został nad brzegiem. Ułożył się wygodnie na trawie w cieniu stuletniej sosny. Pozwolił wspaniałomyślnie sokom żołądkowym trawić gulasz i zupę. Ja tymczasem rozebrałem się i pozwoliłem przejrzystym wodom jeziora unosić się na powierzchni.

Gdy pokrzepiony i orzeźwiony wyszedłem na brzeg, Duduś już drzemał rozkosznie. Śnił zapewne o pieczonych kuropatwach, które babcia Fąferska upiekła z okazji dekoracji wuja Waldemara Złotym Krzyżem Zasługi.

Położyłem się w słońcu. Było ciepło, sennie. W trzcinach brzęczały owady, a w zaroślach śpiewały ptaki i wszystko dokoła wydawało się syte i pełne.

Gdy tak leżałem, zbliżył się do nas jakiś pan z turystycznym odbiornikiem radiowym. Podawali właśnie dziennik popołudniowy. Paryż, Londyn, Nowy Jork, Kair, Bagdad — wszędzie coś się dzieje, ale najważniejsze sprawy rozgrywają się nad jeziorem w Wieżycy Kartuskiej. Oto ja, Poldek Wanatowicz, mam w kieszeni na spółkę z Dudusiem Fąferskim sześćdziesiąt groszy, a czeka nas jeszcze daleka podróż. Czy to nie najważniejsze?

Okazało się, że najważniejsze, bo gdy tylko zakończono dziennik, spiker przemówił bardzo poważnym głosem:

— Uwaga, podajemy komunikat specjalny.

Coś mnie tknęło, więc natężyłem słuch, jak tylko mogłem. Spodziewałem się, że będą mówić o nowym locie radzieckich kosmonautów, ale to, co usłyszałem, było stokroć bardziej wstrząsające.

Spiker ciągnął:

— Dwaj chłopcy, Leopold Wanatowicz i Janusz Fąferski, wyjechali z Warszawy i do tej pory nie wrócili do domu. Ostatnio nocowali na kolonii letniej w miejscowości Mieliwo, powiat Brodnica.

Zerwałem się, jakby mnie raził prąd elektryczny. Nie chciałem wierzyć własnym uszom. Ale jak tu nie wierzyć, skoro mówią wyraźnie: kto, skąd, gdzie i kiedy. I wszystko zgadza się co do joty. A potem jeszcze podają rysopis i ubiór i wspominają nawet o błękitnej muszce w białe grochy. A na końcu dodają:

— Ktokolwiek ma wiadomości o zaginionych, proszony jest zwrócić się do obywatelki Magdaleny Fąferskiej: adres — Warszawa, ulica Rozbrat dwadzieścia trzy, telefon dwadzieścia osiem, szesnaście, czterdzieści osiem, albo do najbliższego posterunku Milicji Obywatelskiej.

Nareszcie jakaś przyzwoita wiadomość. Tak przyzwoita, że aż mnie zamurowało. Trzeba przyznać, że wujaszek miał pomysł; łaps za słuchawkę i od razu do radia. Niech cała Polska wie, że dba o pierworodnego syna. Proszę, ale umie robić sobie reklamę. Przy tym ani pomyśli o swojej nerwicy, o nadciśnieniu cioci Beni, o kamieniach żółciowych babci Fąferskiej.

Byłem tak przejęty tą nagłą wiadomością, że chwilowo nie wiedziałem, co z sobą zrobić, i nic nie robiłem. Dopiero po chwili zrozumiałem, że cała Polska nas szuka, a my sobie, jakby nigdy nic, ucinamy drzemkę i moczymy nogi w perle Kaszubskiej Szwajcarii.

Nigdy nie byłem egoistą, więc z góry całą winę wziąłem na siebie. Postanowiłem również, że o niczym nie powiem Dudusiowi, bo mogłoby mu to zaszkodzić, zwłaszcza jego delikatnemu systemowi nerwowemu. Przełknąłem więc po bohatersku gorzką pigułkę i naraz wydało mi się, że sympatyczny wczasowicz z aparatem radiowym poznał we mnie uciekiniera, bo zaczął się bacznie przypatrywać. Mnie i walizce, która odpoczywała razem z Dudusiem pod drzewem.

Początkowo chciałem uciekać, ale wnet zrozumiałem, że to wydałoby się jeszcze bardziej podejrzane. Zacząłem więc udawać, że jestem zupełnie kim innym, a nie Poldkiem Wanatowiczem. Udawałem tak znakomicie, że sympatyczny wczasowicz zamiast mnie podejrzewać, zwrócił uwagę na żaglówkę płynącą wzdłuż brzegu.

Duduś obudził się niebawem. Ziewnął rozkosznie i beztrosko i zapytał, co nowego. Powiedziałem mu, że nic ciekawego, tylko lepiej by było, gdybyśmy jednak wyjechali jak najprędzej z Wieżycy. Może nadarzy się okazja. Miejscowość jest ruchliwa i — mam nadzieję — złapiemy jakiś środek lokomocji zmierzający w odpowiednim kierunku.

Duduś zgodziłby się na wszystko, byle jak najprędzej znaleźć się w Międzywodziu, pod skrzydłami matki. A mnie, przyznam się szczerze, coraz bardziej podobała się ta podróż w nieznane.

Poszliśmy więc na szosę polować na okazję.

Od chwili kiedy z „kolibra” usłyszałem sensacyjną wiadomość o zniknięciu dwóch chłopców, świat nagle się odmienił. Wieżycyca nie była już perłą Szwajcarii Kaszubskiej, las przestał być wspaniałym prasłowiańskim borem, jeziora nie były już tak urocze, jak poprzednio. I ja nie byłem beztroskim Poldkiem. Stałem się czujny i przewidujący. Zdawało mi się, że za każdym krzakiem czyha na nas milicjant, a każdy przechodzień z góry wie, kim właściwie jesteśmy. Tylko Duduś nie wiedział, bo gdy ruszyliśmy z miejsca, zapytał:

— Właściwie dlaczego chcesz tak szybko opuścić tę uroczą miejscowość?

Wytoczyłem więc wszystkie argumenty: po pierwsze, nasze mamy oczekują nas z niecierpliwością; po drugie, wujaszek Waldemar denerwuje się w Płocku i zapewne nie może z tego powodu spokojnie budować kombinatu; po trzecie, okolica wydaje się być wilgotna i można łatwo nabawić się reumatyzmu. Po czwarte i po piąte też było, ale już zapomniałem, co mu wyluszczyłem.

Tymczasem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, w Dudusiu też się coś zmieniło. Oświadczył, że jeżeli już tutaj jesteśmy, to przynajmniej powinniśmy zwiedzić ruiny słowiańskiego zamczyska z dwunastego wieku. Gdyby wiedział, jakie nad nami zawisło niebezpieczeństwo, na pewno odechciałoby mu się zwiedzać.

— Słuchaj, Duduś — powiedziałem. — Jeżeli chcesz zwiedzać, to musimy zostawić walizkę, bo mnie już ręce odpadają.

Trafiłem w dziesiątkę! Duduś wolałby zrezygnować z wszystkich zabytków aniżeli rozstać się z cud-walizką.

— Ostatecznie — westchnął — możemy zrezygnować z tej wycieczki. Ruiny widzieliśmy przecież z daleka.

Zrezygnowaliśmy. Zacząłem kluczyć leśnymi ścieżkami, omijając wszelkie zabudowania i miejsca uczęszczane przez wczasowiczów i turystów. Dudusiowi wydało się to podejrzane. Nie omieszkał zapytać, dlaczego wybieram okrężną drogę. Wy tłumaczyłem mu, że idziemy wprost na szosę. Istotnie, wnet wyszliśmy na asfaltową szosę. A w dali, pod brzoszowym zagajnikiem, zobaczyliśmy dwa rozbite namioty. Przed namiotami płonęło wesoło ognisko, a przy ognisku siedziało kilka postaci w sombrerach. „Meksykańczycy” — pomyślałem i już chciałem się wycofać, gdy nagle za sobą usłyszałem wesoły śmiech.

— A, uciekinierzy! Tośmy się znowu spotkali.

Myślałem, że jesteśmy zgubieni. Ktoś nas wyśledził, a teraz złapie i zaprowadzi na najbliższy posterunek milicji. Obejrzałem się, choć wcale nie miałem na to ochoty, i ze zdumieniem ujrzałem roześmianą gębę rudzielca. Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Skąd on się tutaj wziął? Chyba z nieba spadł? Byłem tak zaskoczony, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Na szczęście Duduś wiedział.

— To pan nam ukradł z torby wszystkie nasze zapasy! — zawołał oburzony.

Rudzielec zaryczał jeszcze głośniejsze. Potem zaczął wychwalać pieczoną cielęcinę, pasztet z gęsich wątróbek, udko kurczaka, a nad plackiem z wiśniami tak się rozczulił, że był bliski płaczu. Wreszcie powiedział:

— Myślałem, że chcieliście nas poczęstować. Zresztą co to dla was znaczy trochę żarcia, jeśli macie pełną walizkę rodzinnego srebra i do tego futro z astra chańskich karakułów.

Musiałem wyprowadzić go z błędu. Powiedziałem, że wszystko zmyśliłem. Wcale nie jestem synem alkoholika, a rodzice Dudusia nie chodzą ani na wyścigi konne, ani do nocnych lokali, a jeżeli chodzi o walizkę, to nie ma w niej srebra, karakułowego futra ani kryształów. A potem wyznałem całą prawdę.

Rudzielec kręcił tylko głową, a gdy skończyłem spowiedź, powiedział:

— W takim razie bardzo przepraszam. Dla wyrównania krzywd zapraszam was na kolację. Będą duszone grzyby.

Początkowo nie miałem ochoty przyjąć zaproszenia, ale wnet doszedłem do wniosku, że to będzie jedyne wyjście z tej przykłej sytuacji. W komunikacie była mowa o dwóch uciekinierach. Jeśli dołączymy do Meksykańczyków, to nas nie będzie już dwóch, ale siedmiu, i nikomu nie przyjdzie do głowy, że jest nas dwóch. Prócz tego kolacja też się przecież liczyła. Przyjąłem więc zaproszenie.

Rudzielec, który zbierał w lesie drzewo na ognisko, zaprowadził nas do obozu. Było tam huczno i wesoło. Jedni grali na gitarach i śpiewali najnowsze szlagiery, drudzy śpiewali i grali, a dziewczęta obierały i krajały grzyby. Przywitali nas serdecznie, jak dobrych znajomych, i okazało się, że to zupełnie porządna banda, sami studenci Akademii Sztuk Pięknych z Warszawy. Bardzo sobie chwalili zdolności kucharskie babci Fąferskiej i jej smakołyki, zwłaszcza placek z wiśniami. Zaraz zrobił się miły nastrój i familijna atmosfera. Czuliśmy się tak, jakbyśmy jechali z nimi od samej Warszawy. Może nawet lepiej.

Na kocherach dusiły się grzyby, a Meksykańczycy wypytywali się — co? gdzie? jak? A gdy się już dowiedzieli, podzielili się na dwa obozy i zaczęli się kłócić. Studentki twierdziły, że powinniśmy wracać do domu, a studenci byli zdania, że wprost przeciwnie. Nie miałem pojęcia, co to miało znaczyć „wprost przeciwnie”, ale byłem oczywiście po ich stronie. Mówili coś takiego:

„To dobra szkoła dla takich maminsynków” — i spoglądali na Dudusia... „Jak dostaną porządnie w kość, to nie będą mieli takich pomysłów” — i spoglądali na mnie. „I w ogóle z chłopcami nie należy się cackać, bo wtedy wyrosną z nich same malowane Musie, a nie mężczyźni. Niech się uczą, jak trzeba w życiu przezwycięzać, łamać, torować sobie, hartować się...”

Pokłóciliby się na dobre, ale tymczasem grzyby doszły do stanu jadalnego, więc wszyscy rzucili się na nie. Apetyty mieli ho, ho! — wilcze po prostu. Ja też miałem wilczy apetyt. Zjadłem pół menażki borowików, a do tego pięć kromek chleba z margaryną. Tylko Duduś kręcił nosem. Mówił, że za twarde, nie dogotowane i nie ma w nich śmietany. Trąciłem go łokciem, żeby się nie wymądrzał, ale on nie zrozumiał, o co chodzi, i jak na złość zaczął opowiadać o kuropatwach, które babcia Fąferska upiekła z okazji... (wiadomo jakiej). A potem jeszcze dodał, że nie przywykł jadać chleba z margaryną, tylko z masłem.

Jestem pewny, że Meksykańczycy dobrze się na nim poznali, bo dryblas w wellingtonkach zażartował:

— Zjadłbyś może płetwę rekina w konwaliowym sosie albo ostrygi a la Brigitte Bardot?

Duduś oczywiście nie zrozumiał żartu.

— Jeszcze nigdy nie jadłem takich potraw — odparł z cmentarną powagą. — A jeżeli chodzi o Brigitte Bardot, to tatuś powiedział, że mu się nie podoba, bo wygląda jak tresowana małpka.

Tym powiedzeniem wszystkich wprowadził w znakomity humor. Potem rudzielec zapytał nas, jakie mamy dalsze plany. Odpowiedziałem, że owszem chcemy jechać do Międzywodzia, ale żadnych planów nie mamy, bo trudno mieć, gdy w kasie zostało sześćdziesiąt groszy. Okazało się, że wszystko dobrze się składa, bo oni też są goli jak święci tureccy, więc jutro postanowili zgłosić się do pobliskiej leśniczówki, gdzie przedsiębiorstwo „Las” organizuje zbieranie grzybów. Za kilogram borowików płacą dwadzieścia cztery złote, a za kurki — szesnaście. Jeżeli się poszczęści, to można przez dzień zebrać dziesięć kilogramów i dobrze zarobić. „Chodźcie z nami — powiedzieli — to zarobicie na dalszą drogę”.

Obliczyłem w myśli, że gdybyśmy zebrali po dziesięć kilogramów, to zarobiliśmy czterysta osiemdziesiąt złotych, a za taką forszę można dojechać na koniec świata. Podziękowałem więc za zaproszenie i bardzo się ucieszyłem, bo to przecież zaszczyt zbierać ze studentami grzyby i jeszcze dostać za to forszę. I pomyślałem: „Jak to dobrze, że spotkaliśmy Meksykańczyków. Jednak wśród ludzi człowiek nigdy nie zginie”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wstaliśmy o świcie...

Przepraszam, zanim wstaliśmy, musieliśmy się przecież położyć. Ale w książkach zwykle tak bywa, że autor zapomina. Czasem nawet tak się zdarzy, że kładzie swojego bohatera do łóżka w Nowym Jorku, a budzi go za pięć lat w Rio de Janeiro. Bohater przez pięć lat jak duch podróżuje w zaświatach. Raz nawet przeczytałem w pewnej książce o kowbojach ze stanu Arizona na stronie dwudziestej szóstej, że szeryf miał trzydzieści sześć lat, a o trzy strony dalej już czterdzieści siedem. Na trzech stronach postarzał się o jedenaście lat. Ale to jeszcze głupstwo. W tej samej książce zdarzył się jeszcze większy cud. Pewna staruszka, która gotowała u szeryfa soczewicę, w rozdziale piątym miała lat siedemdziesiąt dwa, a w szóstym już tylko sześćdziesiąt dziewięć. Autor zlitował się nad jej siwymi włosami i odmłodził ją w cudowny sposób.

... Więc położyliśmy się zaraz po tych grzybach. Rudzielec i dryblas odstąpili nam swój namiot, a studentki dały nam koc. I było naprawdę komfortowo, bo spaliliśmy na pneumatycznych materacach, które sami musieliśmy nadmuchać. Ja dmuchałem siedem minut, a Duduś dziewięć i co chwila mówił, że to niehygienicznie, bo można dostać rozedmy płuc.

Tak więc po dwóch nocach przespanych pod gwiazdami i opieką przychylnych wiatrów zasnęliśmy wreszcie pod dachem. Pierwszy raz w życiu spałem w namiocie, ale mówię wam, nigdzie nie śpi się tak smacznie i komfortowo.

Przed snem pomarzyłem jeszcze chwilę. Marzyłem o tym, żeby nasi Meksykańczycy malowali tak pięknie, jak Matejko, i mieli tyle forsy, co Rockefeller. A zresztą, czy forsa najważniejsza? Jestem pewny, że tego wieczora cieszyłem się bardziej jutrzejszym zarobkiem aniżeli Rockefeller albo inny Ford pierwszym swym milionem.

Rano, jak już wspomniałem, zerwaliśmy się o świcie, a raczej ja się zerwałem, bo Duduś zapomniał się zerwać. Budziłem go ja, budzili i Rudzielec, i Dryblas, ale w żaden sposób nie można go było dobudzić. Spał tak mocno, że nawet trąby jerychońskie nie wyrwałyby go ze snu.

Rudzielec z Dryblasem postanowili zrobić mu kawał. Rozebrali cichutko namiot. .. Duduś ani drgnął, ziewnął tylko przeciągle i przewalił się na drugi bok. Zerwali z niego koc, ale i to nie pomogło. Wtedy wpadli na fantastyczny pomysł: wzięli materac za dwa końce, unieśli go wraz z śpiącym Dudusiem i zataszczyli nad jezioro. Tam opuścili na wodę. Duduś płynął jak śmiertelnie znużony rozbitek na ostatniej desce ratunku.

Zaczęliśmy krzyczeć: „SOS! SOS! Statek tonie!” Ale Duduś śnił dalej — zda-
je się, że o pieczonych kuropatwach...

Wtedy dwaj Meksykańczycy wskoczyli do wody, podpłynęli do materaca i zaczęli go wolno zatapiać.

Trzeba było zobaczyć minę naszego rozbitka. Ocknął się nareszcie, przetarł oczy, a gdy zrozumiał, że jest na łasce żywiołu, zawołał:

— Babciu, ratunku!

Nie ujrzał jednak babci, tylko nasze roześmiane gęby, więc odął się jak obrażony królewicz, zrobił obrażoną gębę i rzekł:

— Niesmaczne żarty.

Gniewał się do śniadania i miał nam za złe, ale jestem pewny, że gdy będzie już dorosłym historykiem sztuki, panem profesorem Januszem Faferskim, pęknie ze śmiechu na wspomnienie dzisiejszej przygody.

Meksykańczycy to naród niezwykle wesoły. Mieli swoje oryginalne obyczaje i obrzędy. I wszystko potrafili zamienić w żart, nawet przykrość. Do takich obrzędów zaliczali poranną toaletę w jeziorze. Wyglądało to bardzo oryginalnie. Rudzielec wystąpił naprzód i tubalnym głosem zawołał:

— Myjemy uszy!

— Dla spokoju duszy! — odpowiedzieli Meksykańczycy.

— Myjemy szyje!

— Niech zdechnie, kto nie umyje!

— Myjemy nos!

— Z włosami i pod włos!

— Myjemy ręce!

— Ręce i nic więcej! — zabrzmiał chór. A potem przy myciu zębów zaśpiewali w tempie walczyka:

*Kiedy wstają ranne zorze,
Proszę bardzo, proszę bardzo.
Każdy orze tam, gdzie może,
Proszę bardzo, proszę bardzo.
Może również kopać grządki,
A my nic, A my nic, Tylko
myjmy ząbki.*

Bardzo mi się spodobała ta piosenka, więc nie namyślając się umyłem również zęby, bo inaczej nie wypadalo. Wyobrażam sobie, ile przy tej okazji uśmierciłem rozmaitych bakterii, jednokomórkowców i pierwotniaków. Po prostu urządziłem rzeź niewiniątek.

Niezwykle dumny, że pierwszy raz od trzech dni umyłem zęby, wróciłem do obozu, a w obozie Meksykanczyki urządzili nowe przedstawienie. Rudzielec grał na gitarze „taniec słoni”, a reszta Meksykańczyków tańczyła wokół gotującej się owsianki. Zdawało mi się, że to Murzyni z plemienia Bantu tańczą nad gotującym się w kociołku Dudusiem, ale to było tylko złudzenie. Duduś stał bowiem nad otwartą walizką i wyjmował nową muszkę. Tymczasem wszyscy tańczyliśmy rytualny taniec wokół owsianki.

Rudzielec nagle zawołał:

—Co by było, gdyby.....śmy poszli na grzyby?

—Dobrze by było — zaryczał Rudzielec, a wtedy Meksykanczyki zaśpiewali jak czarni wojownicy:

*Na grzyby idziemy, na grzyby,
Bo grzyby są dobre do ryby.
Hej, ho!
Gdy znajdziesz grzybek trujący,
Do zupy go podrzuć niechący.
Hej, ho!
A wtedy amator grzybka
Niechący wyciągnie kopytka.
Hej! ho!*

Można powiedzieć balet z chórem dzikusów i orkiestrą. Co chwila — hej, ho! i wesoły uśmiech. A w kociołku wspaniała owsianka na przypalonym mleku i zjełczalej margarynie. Zjedliśmy więc owsiankę, a potem zwinęliśmy obóz i z pieśnią na ustach ruszyliśmy do leśniczówki.

Tylko Duduś nie śpiewał, bo wciąż był obrażony.

Do zbierania grzybów potrzebny jest las, zbieracze i grzyby. O las nietrudno, o zbieraczy też, najtrudniej jednak o grzyby. Zbieracz zawsze myśli, że grzyb to istota niezwykle układna, czeka tylko na to, żeby zbieracz przyszedł do lasu. Na jego widok uchyla kapelusza i z daleka woła: „A kuku, zbierz mnie: tutaj jestem”.

Tymczasem żaden grzyb nie cierpi, by go zbierano, kryje się w najgęstszych zaroślach i dlatego zbieranie grzybów wygląda jak zabawa w chowanego.

Jestem z zasady optymistą (zapytajcie Dudusia, co znaczy to słowo, a zaraz odpowie wam, jakby miał w głowie słownik obcych wyrazów). Optymista zawsze jasno patrzy w przyszłość i świat widzi w barwach różowych. Ja też widziałem, a przede wszystkim myślałem, że grzyby same wleżą do łubianki.

Duduś był innego zdania. Spostrzegłem to po jego minie i po małej książeczce, którą wyciągnął z walizki, gdy na chwilę zatrzymaliśmy się w leśniczówce.

—Co to za książeczka? — zapytałem.

—Hm, nie widzisz — odparł wciąż jeszcze obrażony. — Atlas grzybów.

—Co chcesz z tym atlasem robić?

—Jak to co, zbierać grzyby.

—Grzyby, o ile mi wiadomo, zbiera się rękami.

—Tak, ale trzeba być do tego przygotowanym. Czy wiesz na przykład, jak się rozmnażają?

Przyznam ze wstydem, że nie wiedziałem.

—Czy to ważne? — zapytałem wykrętnie.

—A widzisz! — uśmiechnął się Duduś kpiąco. — Nie wiesz, jak się rozmnażają, a chcesz zbierać.

—Człowieku — zawołałem — przecież grzybowi wszystko jedno, czy wiem, jak się rozmnaża, czy nie.

—To tylko tobie tak się zdaje. Grzyb rozmnaża się przez zarodniki, które znajdują się w owocniku. A owocnik to właśnie ta część grzyba, którą my zbieramy,

mianowicie kapelusz! Ściśle więc powinno się mówić, zbieramy owocniki.

I w ogóle...

—Co w ogóle?

—W ogóle grzyby należą do roślin cudzożywnych.

—Pierwszy raz słyszę.

—A widzisz, zbierałbyś nie wiedząc o tym. Cudzożywne to znaczy nie mają ciała zieleni i nie mogą przyswajać dwutlenku węgla z powietrza. Dlatego należą

do grupy s y m b i o n t ó w .

— Co ty, człowieku, wygadujesz? Ja myślałem, że grzyby należą do grzybów.

Duduś zmarszczył brwi i spojrzął na mnie z odrazą. — Nie wiesz, a chcesz zebrać dziesięć kilogramów.

— Tak, ale nie symbiontów, tylko borowików.

— Borowik też jest symbiontem, czyli współżyje z drzewami leśnymi, najchętniej z sosną, dębem, grabem i osiną. I wyobraź sobie, najważniejszą częścią grzyba jest grzybnia, której w ogóle nie widać, bo znajduje się pod ziemią.

Staralem się sobie to wyobrazić, ale mimo bujnej wyobraźni nie mogłem. Dla mnie najważniejsze w grzybie było to, co widać i co można zjeść. Powiedziałem więc ciotecznemu, niech sobie zbiera grzybnie, ja wolę to, co na wierzchu.

Duduś patrzył na mnie jak na nieuka i analfabetę. Wyraźnie mną gardził. Żeby mnie jeszcze bardziej pogryźć, rzekł tym swoim fąferskim tonem:

— O tym, że grzyby dzielą się na jadalne i niejadalne, to chyba już wiesz. Uważaj, żebyś nie zebrał grzyba szatana, bo to najbardziej trujący ze wszystkich, a jednocześnie najpodobniejszy do borowika szlachetnego, czyli prawdziwka. I wystrzegaj się również twardzioszka czosnaczka, tęgoskóra cuchnącego, świnki, świniaka kasztanowatego, zwiędłaka tańcówki, syrojeżki cuchnącej, a przede wszystkim sromotnika bezwstydnego.

Złapałem się za głowę.

— Człowieku, czy grzyb może się tak nazywać? Spróbuj powiedzieć komuś: „ty sromotniku bezwstydnym”, a zobaczysz, jakie wstawi ci bańki.

— Przepraszam cię bardzo — zawstydził się Duduś za sromotnika bezwstydnego. — To bardzo oryginalny grzyb. Występuje w cienistych i wilgotnych lasach

liściastych, a jako gatunek bardzo rzadki zasługuje na ochronę.

— Niech zasługuje — zezłościłem się. — Ale ja nie chcę mieć z nim nic wspólnego. — I na szczęście nie miałem, bo nie spotkałem ani jednego sromotni

ka bezwstydnego.

W leśniczówce dali nam łubianki, noże do ścinania grzybów i życzyli szczęśliwego grzybobrania. Podzieliliśmy się na kilka grup, wyznacziliśmy sobie godzinę powrotu i z okrzykiem „drzyjcie, grzyby!” wyruszyliśmy w las.

W lesie — daję słowo — było zupełnie jak w lesie, a może jeszcze ładniej. Przysadkowate dęby, strzeliste jodły, wesołe, koronkowe modrzewie, smukłe wiązki. Pnie szare, brunatne, gołębiosine, gładkie i popękane. A nad pniami zbity dach z liści i igliwia, pełen tajemnych szmerów i wesołych pogwizdywań. Dołem cień wilgotny, przetykany złotymi plamami słońca; jafery jagód i pióropusze paproci. I mchy, miękkie, soczyste, uginające się pod stopami.

Grzybów chwilowo nie było widać. Może się pochowały. Zobaczyłem jedynie wielkiego muchomora z białą kryzą i wspaniałym czerwonym parasolem. Wyglądał jak dom dla krasnoludków z bajki. Zachwycał i denerwował, bo to przecież nie borowik, za którego płacą.

Rudzielec przydzielił mnie do studentki w przeciwsłonecznych okularach. Początkowo byłem onieśmielony i czułem się trochę jak przedszkolak, a trochę jak młodszy brat. Ale wnet okazało się, że to bardzo miła studentka, bo oprócz tego, że malowała w Akademii Sztuk Pięknych, grała w siatkówkę w pierwszoligowej drużynie AWF-u i dobrze знаła Franka Szajbę. Gdy się tylko dowiedziała, że Szajba jest narzeczonym mojej cioci, zaraz spojrzała na mnie zupełnie inaczej, jakbym nagle urósł i wydoroślał.

— On ma fantastyczną „jawę” — powiedziałem. — Na prostej wyciąga sto dwadzieścia na godzinę. A pruje jak brzytwa.

—To ciocia pewno chodzi na mecze? — zapytała.

—Jeszcze jak. Na mecze i na treningi. Nic, tylko chodzi na te mecze i puszcza „Gdy mi ciebie zabraknie”.

Roześmiała się, nie wiedzieć z czego. Bo to wcale nie było wesołe, gdy ciocia puszczała płytę i wzdychała. A potem zapytała ni stąd, ni zowąd:

—Ciocia pewno się martwi, że was nie ma w domu?

—Ale skąd — odparłem. — Ciocia jest zadowolona, bo nie musi po mnie sprzątać ani rano chodzić po bułki.

—Myślę jednak, że twój wuj zawiadomił mamę o waszym zniknięciu.

—Ja też tak myślę, ale wcześniej wysłaliśmy list, w którym wszystko było dyplomatycznie. Szkoda, że pani go nie czytała.

—Ej, ty, ty! — pogroziła mi żartobliwie palcem. — Zawsze znajdziesz usprawiedliwienie.

—Jak mamę kocham, napisałem nawet, żeby się nie martwili.

—To zawsze tak się pisze. Nie masz serca.

—To się pani myli — rzekłem urażony. — Właśnie że mam i dlatego, jak zgubiliśmy te pięćset złotych, od razu zdecydowałem się jechać autostopem, a nie

narażać mamę na nowe wydatki...

Miałem jeszcze coś powiedzieć, coś dorzucić, ale nie dorzuciłem, gdyż w tej samej chwili pod paprocią, tuż przy pniu wielkiej jodły, zobaczyłem wspaniałego borowika. Był przysadzisty, pękaty, miał wspaniałą brunatną kapelusz i wstydliwie ukrywał opasty biały brzuch w pierzynie z mchów. Z radosnym okrzykiem rzuciłem się ku niemu. To, co zobaczyłem, przechodziło granice prawdopodobieństwa. W sąsiedztwie, pod paprociami, ukrywała się cała rodzina fantastycznych borowików: dwa olbrzymy — niby rodzice — i pięćdziesiąt mniejszych wyrostków. Aż żal było zrywać.

—Masz szczęście — powiedziała studentka. — Piękne okazy.

—To tak, jakbym na jednej lekcji dostał dwie piątki i pięć czwórek.

Wolno ucinalem grzyby przy samej nasadzie, z rozkoszą ważyłem je w dłoniach i ostrożnie układałem na dnie łubianki. Nie można opisać mojego szczęścia, a to, czego nie można opisać, wydaje się najpiękniejsze.

Teraz z płonącymi oczyma, z rozpalonymi policzkami rzuciłem się na dalsze poszukiwania, I trzeba przyznać, oboje mieliśmy szczęście. Natrafiliśmy na grzybny las. Nic więc dziwnego, że przerwaliśmy nieco przykrą dla mnie rozmowę i nie myśleliśmy już o niczym, tylko o borowikach i kurkach.

Kurki to najprzejmniejsze z grzybów. Nie trzeba ich nawet szukać, same rzucają się w oczy jaskrawożółtą barwą. Z daleka, wśród mchów i traw, wyglądają jak kwiaty mleczu albo kaczeńce. I mają tę zaletę, że są bardzo towarzyskie, rosną całymi koloniami. Gdy się natrafi na taką kolonię, w mig można nazbierać z pół łubianki, a nawet całą. Wtedy trzeba wracać do bazy i zmieniać koszyk.

Podczas jednego takiego rejsu natknąłem się na coś, co mnie ogromnie rozśmieszyło. Początkowo myślałem, że to może borsuk lub odyniec. Ale to nie był ani borsuk, ani odyniec, tylko mój cioteczny brat we własnej osobie. Klęczał pod wyniosłą jodłą, przypatrując się czemuś z olbrzymim zaciekawieniem. W rękę trzymał atlas grzybów, a nos miał w pachnących rosą paprociach.

—Co ty tu robisz? — zapytałem.

—Cicho, nie przeszkadzaj.

Kiedy zbliżyłem się, pośród paproci i traw ujrzałem, maleńki grzybek na cienutkiej rachitycznej nóżce, z kapelusikiem tak mikroskopijnym, że na jego widok litość brała.

—Cóż to! — wydałem okrzyk zdumienia.

Duduś spojrzał na mnie jak na profana.

—Nie rozróżniasz?

Niestety, nie rozróżniałem, gdyż właściwie nie było czego rozróżniać. Duduś natomiast z takim zachwytem przypatrywał się grzybkowi, jakby to był pierścień zgubiony przez królową z baśni.

—Twardzioszek czosnaczek — wyszeptał z namaszczeniem. — *Marsm i u s s c o r o d o n i u s*.

—Co ty, człowieku, bredzisz?

—To jego łacińska nazwa. Z rodziny bedłkowatych. Owocniki twardzioszka mają bardzo silny zapach czosnku. Czujesz?

Nie czułem ani nie miałem ochoty czuć. Roześmiałem się, bo twardzioszek z Dudusiem wydał mi się bardzo zabawny.

—Jeżeli znajdziesz sromotnika bezwstydnego, na pewno poczuje — powiedziałem wesoło, a potem zapytałem: — Dużo nazbierałeś?

Duduś wzruszył ramionami.

—Dopiero zaczynam rozróżniać gatunki. Wyobraź sobie, że znalazłem rów niez zwiędłaka tańcówkę i zmarszczą.

Próbowałem wyobrazić sobie, ale to przechodziło moją wyobraźnię. Powiedziałem więc, żeby sobie nie zawracał głowy twardzioszkami, tylko zabrał się do borowików i kurek, bo czas ucieka. Na to on się obraził i zaznaczył mimochodem, że teoria zbierania grzybów jest nie mniej ważna od praktyki. Wiedziałem już, że muszę pracować za siebie i za niego.

Wracałem z pustą łubianką. Po drodze zebrałem kilka drobnych prawdziwków i tak byłem zajęty zbieraniem, że nie wiedziałem, gdzie jestem i dokąd idę. Jeżeli człowiek nie wie, gdzie jest, to wydaje mu się, że złądził. I mnie się tak zdawało.

Zacząłem pohukiwać, myśląc, że moja studentka odhuknie mi albo odhopnie, ale odpowiedziało mi tylko echo.

Zacząłem się denerwować, bo trochę dziwnie jest samemu chodzić po starym lesie. Spojrzałem na słońce. Wisiało jeszcze wysoko nad lasem. Poszedłem więc w kierunku słońca. Wydawało mi się, że tam właśnie będzie moja towarzysząca grzybobraniu. Ale jej tam nie było. Był natomiast coraz gęstszy las sosnowy, a potem wyrastało strome wzniesienie, okryte świerkowym młodnikiem.

Zawróciłem więc i szedłem teraz od słońca, pohukując i pohopując coraz gęściej. I znowu nic, tylko echo, tak jakbym gadał sam z sobą. Szedłem szeroką przesieką, jak tunelem wyciętym w żywej zieleni. Nade mną wisiało czyste niebo, wokół szumiały drzewa, a trawy kołysały się łagodnie na wietrze. I było jasno, przejrzyste, szumnie. A ja wciąż nie wiedziałem, gdzie jestem.

Naraz stanąłem jak urzeczony. Dwie sarny wyszły na przesiekę. Na mój widok zatrzymały się gwałtownie. Chwilę patrzyły w moją stronę, unosząc wysoko łby, a potem mignęły jak dwie rude smugi i zniknęły po drugiej stronie przesieki.

Byłem oczarowany tym widokiem. Pierwszy raz ujrzałem sarny na wolności. .. I zaraz odezwała się we mnie żyłka trapera. Postanowiłem iść ich śladami, tropić dziką zwierzynę. Zaszyłem się w las, ale jak tu iść śladami sarn, skoro takich śladów w ogóle nie widać. Żelazna Stopa albo ostatni Mohikanin to co innego, potrafili poznać trop po przydeptanej trawce, po złamanej gałązce, po kępce sierści pozostawionej na sęczku, a ja tymczasem szukałem tropu, szukałem. .. i znalazłem jeszcze jednego twardzioszka czosnaczka, a prócz tego tęgoskóra cuchnącego.

Mimo to poszedłem jeszcze głębiej w puszcę. I naraz ujrzałem przed sobą polankę, a na polance samochód. Wprawnym okiem znawcy stwierdziłem, że jest to piękny „p e u g e o t 40 4”. Bardziej aniżeli samochód zaciekawili mnie ludzie, którzy rozsiedli się na kocu w cieniu dziewięćdziesięciodziewięcioletniej jodły. Od razu wydali mi się podejrzani, bo mieli niespokojne spojrzenia i zupełnie nie interesowali się sarnami.

Było ich troje, dwaj mężczyźni i kobieta. Jeden z nich, młody, w zamszowej kurteczce, siedział, opierając się o samochód, a na kolanach trzymał maszynę do pisania. Drugi, starszy, w koszuli w kratę, leżał na kocu i palił fajkę. Obok niego siedziała kobieta, młoda, z fryzurą rudą jak sierść wiewiórki i spiętrzoną na wysokość młodych świerzków. Kobieta ziewała. Od razu spostrzegłem, że jest bardzo rozpieszczona i nic nie chce się jej robić.

Ogromnie zaciekawilo mnie to podejrzane towarzystwo, więc z trapera zmieniłem się momentalnie w Sherlocka Holmesa i pod osłoną gęstych zarośli podkradłem się niemal pod sam wóz. Potem położyłem się na ziemi i podczołgałem tak blisko, że mógłbym z łatwością połechtać w piętę tego starszego w kraciastej koszuli.

Nie polechtałem jednak, tylko nastawiłem aparat podsłuchowy (uszy) i czekałem, co z tego wyniknie. Chwilowo nic nie wynikało, bo młody stuknął coś na maszynie. Dopiero gdy przestał, zaczęło wynikać.

Ten starszy wyjął fajkę z ust i powiedział:

— Mam pomysł. Trzeba będzie go ukatrupić, zanim Monika wsiądzie do samochodu.

Zimne ciarki przebiegły mi po plecach, skóra ścierpła, tam gdzie powinna, ale nawet nie drgnąłem, bo byłem przekonany, że gdyby mnie ujrzeni, ukatrupiliby mnie zamiast tego, którego mieli ukatrupić.

— Czy to nam nie popsuje głównego wątku? — odezwał się młodszy.

Kobieta z rudą piramidą na głowie zachichotała. Człowiek z fajką skinął głową.

— Wyobrażasz sobie, Monika myśli, że wiezie ukradziony kufer, otwiera bagażnik, a tu trup w smokingu.

Zaśmiali się grubo i dziwnie podejrzenie. Ohyda. Tu trup w bagażniku, a oni się śmieją. Chcą z zimną krwią zamordować człowieka i jeszcze sobie stroją figle. Czuję, że biją na mnie siódme poty i nie mogę powstrzymać straszliwej drżaczki.

Młody znowu wystukiwał coś na maszynie, a potem powiedział:

— Czy to nie będzie zbyt uproszczone? Bo pomyślcie, kiedy my zdążymy sprzątnąć faceta?

Fajczarz odparł z cynicznym uśmiechem:

— Wtedy, kiedy Monika będzie w barze z tym sekretarzem z ambasady meksykańskiej, kapujesz?

— Nie bardzo, ale możemy spróbować.

Ruda machnęła ręką, jakby to chodziło o zabicie komara.

— Nie ma się nad czym zastanawiać. Zobaczycie, jaki będzie ubaw.

— A co zrobimy z tym facetem z ambasady? — zapytał młody człowiek. — Przecież mieliśmy go sprzątnąć w hotelu.

— Drobnostka — zaśmiał się fajczarz. — Możemy go zahaczyć samochodem na szosie. Będzie nawet oryginalniej.

— Doskonały pomysł — rzekła ruda. — Zahaczymy go delikatnie, żeby mógł na upozorować wypadek.

— Świetnie! — fajczarz zatarł ręce. Wstał. — A więc do roboty, bo szkoda czasu.

W tej chwili życie dwóch ludzi — faceta i sekretarza ambasady meksykańskiej — zawisło na włosku. Nie mogłem na to pozwolić, by wisiało na czymś tak nikłym i kruchym. Postanowiłem uratować obu. Ale jak? Przez chwilę w moim mózgu zapanowała zupełna pustka. Wnet wyobraźnia ocknęła się i zacząłem myśleć. Sam nie dałbym im rady. Musiałem więc zawołać na pomoc Meksykanczyków, by udaremnić tak ohydnie i nikczemnie zaplanowaną zbrodnię.

Wycofałem się z kryjówki, potem, gdy już byłem w odpowiedniej odległości od szajki gangsterów, zerwałem się i zacząłem biec w stronę leśniczówki. Jestem pewny, że w tej chwili nie dogoniłby mnie nawet mistrz świata w sprincie. Zdawało mi się, że mam wmontowany silnik odrzutowy i biegnę z szybkością ponaddźwiękową. Nie wiedziałem jedynie dokąd.

Na szczęście, tuż za sosnowym lasem zobaczyłem dwa sombrera, pod którymi kryli się Rudzielec i Dryblas.

— Na pomoc! — zawołałem. — Mordują!

Myślałem, że zbledną i włos im się zjeży, a oni na mój widok roześmiali się.

— Panowie—jęknąłem — to nie żarty. Banda gangsterów chce schować trupa do bagażnika, a sekretarza ambasady, który siedzi z Moniką w barze, przejechać „peugeotem” na szosie.

Rudzielec spojrział na Dryblasa.

—Słuchaj — zapytał — czy on nie dostał porażenia słonecznego?

—Nie! — wrzasnąłem bliski płaczu. — Słyszałem na własne uszy, jak się zrywali. Prędkiej, bo może być za późno.

—Na co za późno? — zapytał Dryblas.

—Oni tu niedaleko — błagałem. — Są „peugeotem”, mogą odjechać. Życie dwóch ludzi zależy tylko od nas.

Musiałem wyglądać rozpaczliwie, bo wreszcie uwierzyli.

—Gdzie? — zapytał Rudzielec.

—Chodźcie, to was zaprowadzę.

Ruszyliśmy biegiem. Po drodze spotkaliśmy jeszcze dwóch Meksykańczyków i jedną Meksykankę. Przyłączyli się do nas. Teraz w szóstkę biegliśmy w stronę polany. W biegu wyłamywaliśmy tęgie kije, maczugi, wyjmowaliśmy finki, noże i scyzoryki. Uzbrojeni po same zęby, zjawiliśmy się na polanie.

„Peugeot” stał jeszcze w cieniu dziewięćdziesięciodziewięcioletniej sosny, a cała szajka zbierała się właśnie do odjazdu. Odsapnąłem z ulgą. Wymachując maczugą, zagroziłem im drogę odwrotu.

— To oni! — zawołałem dzikim głosem. — Nie uciekniecie, mordercy! To banda gangsterów!

Na mój widok i widok uzbrojonych w maczugi Meksykańczyków gangsterzy zbledli jak zgrzebne prześcieradła, oczy stanęły im w ślup i — daję słowo — słyszałem, jak im się włosy jeżą na głowie, a najbardziej to tej rudej gangsterce. Zaskoczenie było tak nagłe, że stracili mowę i byłiby jej nie odzyskali, gdyby nie Ruda, która zdjęła z ręki złotą bransoletkę i rzuciła Dryblasowi pod nogi.

—Bierzcie — wybełkotała — tylko zostawcie nas w spokoju.

—A nie zamordujecie tego sekretarza meksykańskiej ambasady? — rzuciłem im celnie, prosto w twarz.

Spojrzeli po sobie porozumiewawczo i nagle zaczęli się śmiać. A ten z fajką zapytał:

—Przepraszam, ale to chyba pomyłka?

—Ładna pomyłka — zawołałem oburzony. — A ten facet, którego chcecie schować w bagażniku, to się nie liczy? To pies?

Zdemaskowałem ich. Myślałem, że teraz rzucą się do ucieczki albo wyciągną spluwy i zaczną pluć ogniem, ale oni zamiast tego roześmiali się jeszcze głośniejsze.

— Panowie! — zawołał gangster z fajką. — Zrozumcie, że my piszemy scenariusz kryminalnego filmu.

Meksykańscy zrozumieli, ale ja myślałem, że chcą nas okpić, zmylić naszą uwagę, a potem poczęstować nas ołowiem. Zawołałem więc do Rudzielca:

— Nie dajcie się zwieść, to chytne bestie.

Myślałem, że nie dadzą się okpić. Tymczasem Rudzielec parsknął jak koń, a za nim roześmiali się wszyscy Meksykańscy. Wyglądało na to, że śmieją się ze mnie. Nie wiedziałem tylko dlaczego. Dopiero gdy spojrzałem na maszynę do pisania, rozjaśniło mi się w głowie. Cóż miałem robić? Roześmiałem się sam z siebie. Ale, wierzcie mi, w tej chwili wolałbym być najsmrodliwszym sromotnikiem bezwstydnym anizeli Poldkiem Wanatowiczem.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło...

Kiedy już wszyscy wychachali się i wychichali, a ja zrozumiałem, że z tego wyszła dobra heca, zaczęła się przyjacielska rozmowa. Filmowcy wypytywali, czy jest dużo borowików w lesie, a Meksykańscy — jaki to będzie film i kiedy zaczynają kręcić? Jednym słowem, jak na froncie po zawieszeniu broni; częstowali się nawzajem papierosami, wymieniali uśmiechy, uściski dłoni. Mało brakowało, a padliby sobie w ramiona. I wszystko było inaczej, niż sobie wyobrażałem. Rudowłosa piękność wcale nie była tą, która miała siedzieć w barze z sekretarzem ambasady, tylko aktorką, fajczarz — reżyserem, a ten młody — literatem. Oni natomiast myśleli, że jesteśmy bandą, która w celach rabunkowych napada w lesie na turystów. Nie dziwiłem się. Ba, gdybym ujrzał przed sobą Dryblasa z maczugą w ręku, to też bym mu rzucił pod stopy złotą bransoletkę — gdybym miał, oczywiście.

Gwarzyliśmy przyjemnie, palili papierosy, zagryzali najlepszymi czekoladkami firmy „22 Lipca”, a czas, który powinniśmy spędzić na zbieraniu grzybów, mijał bezpowrotnie. My gawędziliśmy, a grzyby rosły sobie spokojnie. I wszyscy byli zadowoleni.

Zauważyłem, że reżyser przygląda mi się uważnie, jakbym miał brudne uszy albo namalowane wąsy. Po chwili zwrócił się do mnie:

—Słuchaj, kawalerze, chciałbyś zagrać w moim filmie?

—Ja? W filmie? — zdumiałem się.

— Podobasz mi się. Masz dużo fantazji i nadawałbyś się do mojego nowego filmu.

To, co usłyszałem, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Przed chwilą jeszcze myślałem, że mnie oddadzą w ręce milicji za wywołanie najazdu na Bogu ducha winnych i posądzenie ich o Bóg wie co, a tu nagle taka propozycja. Zamurowało mnie, więc stałem z głupią gębą otwartą jak wrota i ani pary z ust.

—Zastanów się — powiedział łagodnie reżyser.

Wtedy ruda gwiazda filmowa zaznaczyła:

—Rzeczywiście, byłby świetny. Właśnie takiego szukamy.

— W porządku — powiedziałem. — Ciekaw jestem, czy zagrałbym sekretarza ambasady, czy tego faceta w charakterze trupa w bagażniku?

—Dowcipny — zauważył literat.

Reżyser poklepał mnie po ramieniu.

—Zagrałbyś po prostu siebie. Potrzebny nam właśnie taki chłopiec jak ty.

—Siebie to nie muszę grać.

—Rozsądny — wtrąciła aktorka.

—I ma poczucie humoru — dodał literat.

Reżyser położył mi dłoń na karku.

—Więc zastanów się.

— Nie ma się nad czym zastanawiać — powiedziałem. — Tylko trzeba pod pisać kontrakt i po krzyku.

Wywołałem nowy wybuch humoru i śmiechu. Reżyser wyciągnął notes i długopis. Byłem przekonany, że za chwilę podpisze ze mną kontrakt na kilkaset tysięcy dolarów. Czytałem bowiem kiedyś w gazecie, że pewien pies, który grał główną rolę w filmie amerykańskim, dostał sto tysięcy. Nie wiem tylko, co robił z taką forszą? Ja bym wiedział, co robić. Po pierwsze, kupiłbym ojcu samochód, a mamie sprawiłbym cały zakład kosmetyczny, żeby nie musiała stale siedzieć poza domem. Sobie skuter „lambrettę”, Dudusiowi nowy atlas grzybów i oddałbym mu z tysiąc dolarów, żeby się ode mnie odczepił... Wszystkim bym coś kupił, bo bardzo lubię kupować prezenty. Tymczasem reżyser zamiast podpisać ze mną kontrakt, zanotował jedynie mój warszawski adres i powiedział, że skontaktuje się z moimi rodzicami w Warszawie.

Od razu wszystko się rozwiało: samochód i zakład kosmetyczny, atlas grzybów i moja „lambretta”, a przede wszystkim kariera filmowa, bo Duduś naopowiada takich rzeczy w Warszawie, że ojciec nie da mi grać w filmie.

Tymczasem filmowcy zbierali się do odjazdu. Spakowali manatki i umieścili je w bagażniku zamiast trupa. Sam chętnie przejechałbym się w bagażniku takiego supernowoczesnego „peugeota”, ale nikomu do głowy nie przyszło, żeby mi zaproponować, a ja nie lubiłem narzucać się.

Dopiero gdy mieli już odjeżdżać, Rudzielec ni stąd, ni zowąd, a właściwie tak sobie zapytał, dokąd jadą i czy nie mogliby zabrać ze sobą dwóch młodych

autostopowiczów, to znaczy Dudusia i mnie. Byliśmy już w tak przyjaznych stosunkach, że chętnie zgodzili się podrzucić nas do Gdańska.

— Wsiadaj — zawołał reżyser.

Ba, jak tu wsiadać, kiedy nie ma ani plecaka, ani walizki, ani Dudusia. Wy tłumaczyłem mu to w sposób oględny. Na to on powiedział, że podwiezie mnie do leśniczówki, a tam weźmiemy bagaż i drugiego pasażera.

„Dobra nasza — pomyślałem. — Jednak przydała się ta przypadkowa znajomość. Gdybym nie miał bujnej wyobraźni, na pewno nie zaproponowałby mi tego”.

Pożegnałem się więc z Meksykańczykami, podziękowałem im za gościnę i pojechaliśmy do leśniczówki.

Po drodze myślami byłem już w Gdańsku, ba, w Międzywodziu, i opowiadałem mamie, jak spodobałem się reżyserowi, a on chciał mnie zaangażować do filmu.

„Jeżeli dowiedzą się o tym — snułem myśl — to nie dadzą mi wciry ani nie będą robić wymówek. Bądź co bądź z aktorem filmowym rozmawia się nieco inaczej aniżeli ze zwykłym Poldkiem...”

Skończyło się na marzeniach.

Zapomniałem, że Duduś miał pewną właściwość: nie było go nigdy wtedy, kiedy powinien być. Tym razem nie znalazłem nawet śladu po nim. Pobiegłem więc do lasu i wołałem go tak głośno, że wypłoszyłem wszystkie ptaki. Zamiast Dudusia odpowiadało tylko echo, a z echem nie miałem zamiaru podróżować, bo i jak? Było mi przykro i filmowcom było przykro. Ja chciałem jechać, oni chcieli mnie zabrać i nic z tego nie wyszło.

— Przepraszam bardzo — powiedziałem. — Nie mogę zostawić mojego ciotecznego brata, bo on bardzo nieżyciowy, a moja ciocia prosiła mnie, żebym się nim opiekował. Jeszcze raz przepraszam, że zwracałem państwu głowę.

Nawet się na mnie nie obrazili, tylko pochwalili mnie, że nie opuszczam towarzysza podróży, a potem dodali gazu i odjechali.

Po ich odjeździe zrobiło mi się głupio. Pożegnałem się z Meksykańczykami, a teraz znowu będę musiał się witać. A wszystko przez Dudusia. Zrobiło mi się jeszcze bardziej głupio i byłem zły, że straciliśmy tak wspaniałą okazję. Nie potrafiłem jednak długo się złościć. Pal sześć. Przepadła kariera filmowa, przepadł Gdańsk, ale został przepiękny wieczór letni, który osnuwał z wolna las i liliową mgiełką otulał drzewa. Jeżeli to wszystko przepadło, to na pociechę zostały jeszcze grzyby. Zostawiłem wiadomość dla Meksykańczyków, wziąłem pustą łubiankę, zagwizdałem cicho ulubioną piosenkę „Parasolki” i ruszyłem na ostatni rejs do lasu.

Jeżeli Dudusia nie było w pobliżu, to powinien być gdzie indziej. Poszedłem więc do „gdzie indziej”, ale tego „gdzie indziej” jest tak dużo, że nie wiedziałem, dokąd iść. Ruszyłem na chybił trafił przed siebie, a zamiast ciotecznego brata znalazłem wspaniały teren „grzybodajny”. To było fantastyczne, jakby wszystkie borowiki z okolicy wyznaczyły sobie tutaj spotkanie albo chciały wpaść do mojej łubianki i wynagrodzić mi poprzednie niepowodzenie.

Zapomniałem więc o filmowcach, Gdańsku, o Dudusiu. Rozkoszowałem się samym zbieraniem.

„To dziwne — myślałem. — Wszystko ma swój cel i przeznaczenie. Takie-
mu prawdziwowski na przykład nie śniło się, że kiedyś wywędruje jak turysta do Anglii albo do Ameryki, albo licho wie dokąd. Wrzucą go do łubianki, z łubianki zawędruje do przedsiębiorstwa «Las», z leśniczówki pojedzie sobie samochodem do suszarni, tam go pięknie wysuszą, opakują i wyślą do Gdańska, a z Gdańska okrętem w szeroki świat. I nikt nie wie, kto go kupi, kto udusi w śmietanie i zje na obiad. Oto zagadka”.

Tak sobie rozmyślając i filozofując nie spostrzegłem, kiedy zapadł mrok. Las zgęstniał, jak gdyby pnie przybliżyły się do siebie i osaczyły mnie dokoła, a korony przygięły się do ziemi i nastąpiła cisza.

Miałem już dwie łubianki pełne borowików pierwszej klasy. Mogłem śmiało wracać do leśniczówki. Szedłem szybko, nie zwracając na nic uwagi, aż tu nagle głuchą ciszę leśną rozdarł przeraźliwy krzyk. Ktoś wzywał na ratunek. Byłem pewny, że w leśnych ostępach rozgrywa się tragedia. Krzyk był bowiem tak przejmujący, jak gdyby wojownicy indiańscy palili kogoś na stosie.

Nogi ugięły się pode mną, bo w takich wypadkach zwykle się uginają, i włos mi się zjeżył, a portki same zaczęły się trząść.

Ale nie byłbym Poldkiem, gdybym nie przełamał tej słabości. Przełamałem. Zaczęłem biec w tym kierunku, skąd dochodziły jęki palonego żywca wroga.

Okazało się jednak, że to nie był wróg palony na wolnym ogniu, ale mój najmilszy Duduś. Siedział na stuletnim dębie i darł się wniebogłosy.

—Co ci jest? — zapytałem, gdy go poznałem.

—Uważaj, odynieć! — wystękał trzęsącym się głosem.

Rozejrzałem się dokoła, ale prócz leśnej pustki i śpiewu usypiających ptaków niczego nie zobaczyłem ani nie usłyszałem.

— Zwariowałaś chyba! — zawołałem zadzierając głowę.

Duduś siedział ukryty wśród konarów, na samym wierzchołku potężnego drzewa. Drżał i dygotał ze strachu. Zbladł zapewne jak zgrzebne płótno, lecz tego nie mogłem stwierdzić z powodu zapadającego mroku. Zastanowiło mnie, w jaki sposób Duduś wdrapał się na stuletnie drzewo, skoro do tej pory nie potrafił pokonać nawet kilkunastoletniej drzewiny.

—Złaż, czego się drzesz? — zawołałem ostro.

Duduś jęknął:

—Daję ci słowo, że był dzik, i to odynieć.

—Był, ale go nie ma.

— Poldeczku — zawołał błagalnie — bądź tak dobry i sprawdź, bo ja się strasznie boję.

Sprawdziłem. Dzika nie było. Dałem więc słowo honoru, zaklinałem się na babcię Fąferską, że nie ma. To wreszcie przekonało Dudusia. Zaczął schodzić, lecz po drodze okazało się, że nie potrafi.

—Jak to? — zaśmiałem się szyderczo. — Wleźć to umiałeś, a zejść nie po trafisz?

—Widzisz — powiedział już po swoim — to zupełnie inna sprawa. Wdra pywałem się pod wpływem niezwykle silnych bodźców emocjonalnych. A teraz,

gdy we mnie nastąpiło odprężenie, bodźce te znikły. Przeżywam nowy okres za

łamania i kryzysu woli.

—To przełam.

—Kiedy się boję.

—To siedź tam całą noc — powiedziałem i udałem, że odchodzę.

—Poldek, zlituj się nade mną! — zaryczał Duduś. — Mimo wszystko jesteś moim ciotecznym bratem.

— Złaż, łamago, bo mi tylko wstyd przynosisz.

Westchnął tak boleśnie, że echo rozległo się po lesie.

Zaczął schodzić. Jestem przekonany, że wiedział dokładnie, jakie mięśnie pracują przy opuszczaniu się z drzewa i ile przy tym traci energii, jednak czynił to, pozał się Boże. Nikt by nie uwierzył, że jego przodkowie byli kiedyś małpami człekokształtnymi i bez trudu chodzili po drzewach. Miałem dziesięć minut wybornej zabawy. A gdy stanął przede mną, wybuchnąłem śmiechem. Niczym nie przypominał elegancika od babci Fąferskiej. Twarz podrapana, włosy pełne kory i mchu, ubranie w strzępach. Gdzie się podziała śnieżnobiała koszula z popeliny i elanowe spodnie? Gdzie zaprasowane kanty i muszka? Gdzie spojrzanie mędrca? Nic nie zostało z dawnej świetności.

—Czego się śmiejesz? — zapytał płaczliwie. — Ja przeżyłem wstrząs psychiczny, a ty strugasz ze mnie wariata.

—Wybacz — odparłem — ale działałem pod wpływem niezwykle silnych bodźców emocjonalnych czy jak ty to nazywasz. A moje mięśnie mimiczne kur

czą się wbrew mojej woli. I powiedz mi, gdzie jest twój urojony odynieć?

—Był! — zawołał. — Jeżeli nie wierzysz, to zaraz ci udowodnię.

To powiedziawszy, zaprowadził mnie do małego zagajnika. Na trawie leżały dwie przewrócone łubianki, a obok resztki grzybów. Trawa była zmięta, zdeptana, a grzyby porozgniatane.

—Patrz — rzekł głosem pełnym usprawiedliwienia. — Znalazłem właśnie ciekawy okaz świniaka kasztanowatego, gdy coś za mną straszliwie chrząknęło.

Myślałem, że to Rudzielec albo ty, a tymczasem ujrzałem straszliwego odyńca.

Mowie ci, bestia była ogromna i tak na mnie patrzyła, jakby miała ochotę rzucić

się. Czy mogłem na to pozwolić? Czy miałem czekać, aż mnie rozpruje swoimi szablami?

—Szablami? Ty coś, bracie, fantazjujesz.

—Szable — objaśnił Duduś — to kły dzika. Tak je myśliwi nazywają...

Więc, mówię ci, najpierw zupełnie zamarłem, a potem uciekłem i wdrapałem się

na drzewo. Był to dąb, jeżeli się nie mylę.

—A odyniec — dodałem — z twoich grzybów wciął sobie porządną kolację.

—Tak, podobno dziki bardzo lubią grzyby, zwłaszcza borowiki szlachetne i rydze.

Spustoszenie, jakie odyniec zrobił wśród grzybów, wskazywało, że Duduś mówił prawdę. Pomyślałem więc, że nawet takie jak on fajtlapy przeżywają przygody godne Hucka lub Tomka Sawyera. Potem zapytałem mimo woli:

—Dużo było tych grzybów?

—Ho! Zdaje mi się, że pełne łubianki. Może pięć kilogramów, a może i więcej.

Mógł powiedzieć, że dziesięć, i też musiałem uwierzyć. Kłamstwo bowiem spadało na odyńca.

— Szkoda... — westchnąłem. — Tyle forsy przepadło. — A potem dodałem: — I w ogóle nie udał się ten dzień. Moglibyśmy być dzisiaj w Gdańsku, a tymczasem ty wolałeś siedzieć na dębie.

Opowiedziałem mu o moim spotkaniu z filmowcami. Nawet się nie uśmiechnął ani nie zdziwił. Zaznaczył tylko, że mam chorobliwą wyobraźnię, a po wakacjach powinienem iść z mamą do lekarza.

Potem skrzywił się i dodał:

—Jeżeli chodzi o propozycję reżysera, to po pierwsze, nie wierzę ci, a po drugie, jestem pewny, że ojciec ci nie pozwoli. Zbyt wczesne sukcesy życiowe źle wpływają na rozwój umysłowy.

—A po trzecie — dokończyłem za niego — zamknij się. Twój rozwój umysłowy jest pierwszorzędny, a nie potrafisz zejść z drzewa.

Bylibyśmy się znowu pokłócili, ale ściemniało się i trzeba było wracać do leśniczówki. Wracałem z dwiema łubiankami pełnymi borowików, a Duduś z sińcami. Mimo to doszliśmy do celu.

W leśniczówce czekało nas jeszcze jedno wielkie rozczarowanie. Zamiast Meksykańczyków zastaliśmy list od nich.

Wybaczcie — pisali — nadarzyła nam się fantastyczna okazja do Łeby. Niestety, kierowca nie mógł na was czekać. Przepraszamy was,

ie tak się złożyło. W kopercie zostawiamy forszę z podziału za grzyby. Na was wypadło po 84 zł — razem więc 168 zł. Niestety, okazało się, że zamiast 24 zł płacę 16 za borowiki, a za kurki 10. Pies im lizał to, co trzeba. Mamy nadzieję, że dacie sobie radę. Życzymy pomyślnych wiatrów — gang grzybojadów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pomyślne wiatry nie nadciągały, ale nie było tak źle, jakby mogło być. Jack London nieraz był w gorszych tarapatach. Mieliśmy przecież sto sześćdziesiąt osiem złotych od Meksykańczyków, prócz tego czterdzieści osiem za borowiki, które przyniosłem z ostatniego rejsu. Dwieście szesnaście złotych to olbrzymia forsa i szczerze mówiąc, niezbyt uczciwie zapracowana. Dowiedzieliśmy się bowiem, że Meksykańczycy sprzedali wszystko hurtem, a potem podzielili na każdego łebka. Duduś też liczył się jako łebek, a za kilka nędznych sromotników otrzymał tyle, co każdy z nas. Morowi byli ci Meksykańczycy. Szkoda, że tak niespodziewanie rozeszły się nasze drogi. A może jeszcze ich spotkamy? Nigdy nie wiadomo, gdzie tacy mogą zawędrować.

Po ich odjeździe zrobiło się nagle cicho i pusto, jak gdyby świat się wyludnił. A do tego smutno. Wystarczyło spojrzeć na Dudusia. Miał taką minę, jakby przed chwilą spadł z dębu wprost na czatującego odyńca. Żalił się, że nadwreżył sobie wszystkie ścięgna, zdarł naskórek i prawdopodobnie nadszarpnął nerwy, co może się odbić na jego ogólnym rozwoju. Chciał sobie robić okłady z wody Burowa i posmarować rany maścią sulfatiazolową. Niestety, poza źródlaną wodą w studni innej nie było, a o maści sulfatiazolowej nigdy dotąd nie słyszałem. Nie wiem, czy w ogóle istnieje, czy tylko Duduś ją sobie wymyślił.

Nie mogłem patrzeć na jego męczeńską gębę. Pocieszyłem go, że ścięgnom nic się nie stanie, skóra się sama zagoi, a przygoda z odyńcem wzmocni jego system nerwowy. Chcąc nie chcąc uwierzył, a gdy od żony leśniczego dostaliśmy na kolację pierogi z jagodami, zapomniał o wszystkim.

Spaliśmy w leśniczówce na sianie. Rozkosz do trzeciej potęgi. Gdybym mógł, to w domu urządziłbym sobie taki stryszek z sianem i przez cały rok spałbym w warunkach pierwotnego człowieka.

Wdychałem woń świeżego siana i słuchałem, jak w drzewach cykają polne koniki, a w moczarach odzywa się chór żab. Księżyc przeświecał przez szpary w deskach, sączył się tajemniczym blaskiem, a w sercu rodził się niepokój. I nagle zastanowiłem się, skąd się tu wziąłem, gdzie jestem i kim jestem.

Zastanawiałem się niezbyt długo, bo wnet zasnąłem i już o niczym nie wiedziałem. Dobrze jest czasem o niczym nie wiedzieć. Gdy się budzisz, ogarnia cię taka ciekawość, że chciałbyś wiedzieć o wszystkim. Wtedy nawet najdrobniejszy szczegół zaczyna cię bawić i interesować.

Mnie na przykład zainteresowała wielka bania, wisząca u krokwi, tuż nad moją głową. Była z jakiegoś dziwnego materiału — ni to glina, ni plastik, lichy wie co. Ale najciekawsze, że żyła. Najpierw usłyszałem brzęczenie, potem coś zawirowało mi nad głową, wreszcie ujrzałem wielką osę. I już domyśliłem się, że to osie gniazdo.

Stryszek, który wieczorem wyglądał jak ciemna grotka, teraz wydał mi się bardzo przytulny i interesujący. Ileż tu ciekawych rzeczy. W rogu, pod okapem, gołębnik. Naprzeciw osiego gniazda gniazdo jaskółki. Przez chwilę zdaje się, że wymarłe i porzucone, a tu nagle coś czarnego mignęło przez okienko wycięte w deskach. Dymówka, daję słowo, a w gnieździe młode. Nic nie widać, tylko rozdziawione dzioby. A stara wypycha im prosto do gardła rozmaite jaskółcze przysmaki. Po belce leżenie kosmata gąsienica. Może wybiera się na poranny spacer? A z siana wylazą rozmaite owady, małe i wielkie, szare i barwne. I wszystko dookoła żyje, raduje się nowym dniem.

Tylko Duduś śpi. Nie zrobiłem mu pobudki. Niech się wyśpi po wczorajszych przeżyciach. Zamyśliłem się. Co dalej robić? Trzeba czekać na pomyślniejsze wiatry. Czekać? Nie. Nie byłbym Poldkiem, gdybym czekał. Postanowiłem, że zaraz po śniadaniu spakujemy manatki i ruszymy do Wieżycy, żeby tam łapać „okazję”.

Naraz na dole, tuż pod naszym stryszkiem, usłyszałem rozmowę, która mnie dziwnie zainteresowała. Ktoś, kto zapewne wszedł na podwórze, pytał basowym głosem:

— Przepraszam, czy tutaj nie spali dwaj chłopcy?

„Oj, niedobrze” — pomyślałem, przypomniawszy sobie, że nas szukają przez radio. I naraz przysnął czar wiejskiego poranka.

Tubalnemu głosowi odpowiedział śpiewny głos leśniczyny:

— Śpią jeszcze na sianie. Wczoraj cały dzień zbierali grzyby.

— Chwała Bogu. Mówili mi studenci, że zostali w leśniczówce.

— To pani ich szuka?

— Pół nocy za nimi tarabanię. Nie słyszała pani radia?...

Rozmowa urwała się w najciekawszym momencie. „Jesteśmy ugotowani — pomyślałem. — Ale kto to może być?”

Ześliznąłem się ostrożnie ze schodków, wyszedłem na podwórze i zza węgła zacząłem zerkać w stronę otwartych drzwi. Nikogo jednak nie ujrzałem. Pod drzwiami natomiast stał dwukołowy wózek, jakiego kajakowcy używają do transportu ekwipunku. Był solidnie załadowany.

Chciałem już podejść bliżej do drzwi, gdy nagle za sobą usłyszałem ten sam charakterystyczny głos piwosza:

— Dzień dobry, Poldeczku. Jak to dobrze, żeśmy się spotkali.

Obejrzałem się gwałtownie. Dwa kroki za mną stała leśniczyna, a obok niej ten ktoś, kto do mnie przemawiał.

Była to starsza kobieta i gdybym chciał opisać ją w kilku słowach, powiedziałbym, że jest podobna do starego wodza Siuksów, którego widziałem kiedyś na ilustracji w pewnej książce o Indianach. Rosła, szeroka w barach, zwięzła w budowie, krzepka jak dziki wojownik, ogorzała jak mieszkaniec prerii. Twarz smagła, koścista i typowo indiański orli nos. O sokolim spojrzeniu nie muszę wspominać. Od wodza Siuksów różniła się jedynie płcią i strojem. Zamiast mokasynów nosiła trampki, zamiast spodni z jeleniej skóry — spódnicę, a zamiast pióropusza z orlich piór — płócienną czapkę z wielkim przeciwslonecznym daszkiem.

Myślałem, że za chwilę wyjmie łuk i przesyje mnie zatrutą strzałą, ale zamiast strzałą, przeszła mnie swoim sokolim spojrzeniem. I zapytała:

— Dziwisz się, że ci mówię po imieniu?

Byłem tak zaskoczony jej widokiem, że nie mogłem nawet się dziwić. Po prostu zamurowało mnie. Ale wnet zacząłem się zastanawiać, skąd zna moje imię.

— Przepraszam — wykrztusiłem — ja pani sobie nie przypominam.

— Wszystko się zgadza, mój kochasiu. Nie możesz mnie znać. A jak ci na imię, powiedzieli mi mili studenci, z którymi wczoraj zbierałeś grzyby.

Kazali

was serdecznie pozdrowić...

— Dziękuję — bąknąłem. — Ale nas było przecież dwóch. Skąd pani wie, że ja jestem Poldek?

— Ba — roześmiała się — ciebie poznałabym w nocy, a Duduś pewno jeszcze śpi.

„Czarodziejka — pomyślałem. — Wszystko wie. Należy jej się wystrzeżać”.
Potem powiedziałem:

— Dziękuję, Duduś daje koncert spania.

— No, widzisz, jak się świetnie orientuję.

— Przepraszam bardzo, ale trochę za dobrze.

— Nie szkodzi. Jeżeli bliżej się poznamy, to zrozumiesz dlaczego.

„Niebezpieczna! Mówi samymi zagadkami, Przy tym sympatyczna i wesoła” — zanotowałem w pamięci.

— Może pani wejdzie do nas — zapraszała ją żona leśniczego.

— Dziękuję bardzo, chciałam jednak trochę z nim porozmawiać — odparła kobieta.

Leśniczyna przeprosiła ją, że jest zajęta sprawami gospodarskimi. Za chwilę znikła za węglem. Tajemnicza kobieta wskazała na ławeczkę przy drzwiach do kuchni.

— Usiądźmy, to się nam będzie lepiej rozmawiało.

Gdyśmy już usiedli, zapytała:

—No i w ogóle jak wam się wiedzie?

—Dziękuję — odparłem z wrodzoną uprzejmością — w ogóle wiedzie nam się zupełnie nieźle.

—A w szczególności? — zażartowała.

—W szczególności też nie najgorzej, tylko Duduś wczoraj zobaczył odyńca, zwiął na drzewo i naciągnął sobie wszystkie ścięgna.

—Nie szkodzi.

—Ja też tak sądzę.

—Dudusiowi przyda się twarda szkoła.

—Właśnie... Chciałem to samo powiedzieć.

—A ty, kochasiu?

—Ja? Dziękuję, czuję się zupełnie dobrze. Chciałbym tylko jak najszybciej dojechać do Międzywodzia.

—O, właśnie, chciałam zapytać, jak czuje się mamusia?

—Dziękuję. Pisała, że pogoda jest nadzwyczajna, morze zawsze znakomicie na nią wpływa.

—A ojciec?

—Ojciec naprawia awarię w hucie „Florian”.

—A wujek?

—Wujek ma zawsze pełne ręce roboty i wszystko wali mu się na głowę... — urwałem nagle. Zastanowiło mnie, skąd tajemnicza kobieta wie, że mam wujka.

Wydało mi się to niezwykle podejrzane. Czyżby nas śledziła? Zapytałem więc oględnie, czy zna naszą rodzinę.

—Nie, mój kochasiu — odparła ze śmiechem. — Skądże znowu. Po prostu wczoraj wieczorem wyszło mi w pasjansie...

—Przepraszam, co wyszło? — przerwałem.

—Że masz wujka, który otrzymał wysokie odznaczenie państwowe i odbył niedawno podróż w poszukiwaniu dwóch chłopców.

Zbaraniałem, jeżeli w ogóle można zbaranieć. Oto czarodziejka! Z pasjansa jej wyszło to, co chciałem przed nią ukryć. Może, podobnie jak czarownicy indiańscy, potrafi wszystko wyczytać z lotu ptaków i z popiołów ogniska? Musiałem zrobić strasznie głupią głębę, bo za chwilę roześmiała się serdecznie.

—Nie martw się. O tym, że zwialiście z domu, dowiedziałam się z radia.

—Myśmy wcale nie zwiali — zaprotestowałem.

—No, no... powiedzmy, że zachciało się wam jechać określną drogą, a po drodze zwiedzać zabytki...

—Nam się wcale nie zachciało. Zgubiliśmy po prostu pieniądze, które ciocia Anka dała nam na podróż. Nie chcieliśmy narażać rodziców na nowe wydatki.

— To pięknie, to pięknie — skinęła głową. — Bądź spokojny, nikomu o tym nie powiem i nie wydam was. Chciałam tylko poprosić, żebyście mnie zabrali ze sobą.

Masz, babo, placek! Sami nie wiemy, jak dostać się do Międzywodzia, a tu taka propozycja.

—My? — zawołałem zdumiony. — My panią?

—Widzisz przecież, że jestem samotna i chętnie pojechałabym w towarzystwie. Właściwie dobrze się składa, bo miałam zamiar jechać do Świnoujścia, a to

w tym samym kierunku.

—Chętnie panią zabierzemy, tylko czy pani umie jeździć autostopem?

—Jeżeli się chce, to wszystkiego się można nauczyć. — W tym miejscu spojrzała znacząco w górę. — Jak uważasz, czy nie wypadałoby zbudzić Dudusia?

Nie potrzebowaliśmy go budzić. Za chwilę bowiem dał się słyszeć rozdzierający wrzask, a potem ujrzałem Dudusia w pasiastej piżamie na podwórzu. Wymachiwał rękami, podskakiwał, ciskał się, jakby go opętały złe duchy.

—Co ci jest? — zawołałem.

—Osy! — wrzasnął rozpaczliwie. — Ratunku! Ratunku, bo mnie. zakłują.

Okazało się, że Duduś padł ofiarą swej dociekliwości naukowej. Kiedy obudzili się, zainteresowała go dziwna bania wisząca nad jego głową. Myślał, że to jakiś grzyb pasożytujący na belce krokwi, i chciał zbadać jego właściwości. Oderwał więc gniazdo od belki. Dalszy ciąg tej tragicznej pomyłki rozegrał się na podwórzu leśniczówki.

Po tej przygodzie doszedłem do wniosku, że nawet osy wiedzą, kogo mają pokłuć.

List wysłany z Wieżycy:

Kochana Mamusiu, Kochana Ciociu, Kochane Pędraki. Nie martwcie się, bo my nie jesteśmy znowu tacy najgorsi. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby tak strzeliło nam do głowy pojechać na słonie do Afryki? A my tymczasem zbieramy. Zgadnijcie co? Duduś znalazł nawet sromotnika bezwstydnego i gniazdo os. O tym lepiej nie pisać. Nie myślcie, że go pogryzły, tylko jedna ucięta go pod okiem i Dudusiowi tak spuchło, że nie widać. Ale to podobno zdrowo i oczyszcza krew. Poza tym Duduś widział w lesie prawdziwego odyńca z szablami i, wyobraźcie sobie, odyńiec tak się przestraszył, że uciekł.

Pogoda jest bardzo ładna, jeziora również i wszystko jest wspaniale. Zarobiliśmy kupę forsy, jedliśmy na kolację pierogi z jagodami.

Nawet dobre, ale w domu lepsze. Przez cały dzień byliśmy pod opieką Meksykańczyków. Wszyscy chcą się nami opiekować, a tymczasem my zaopiekowaliśmy się pewną samotną kobietą, która wyglądem zewnętrznym przypomina wodza Siuksów, Zuchwałego Bizona, i wyszło jej w pasjansie, że wkrótce będziemy w Międzywodziu. Jak tam migdałki Basi i Maćka? Tęsknimy. Całujemy wprost znad jeziora.

Autostopowicze

— Załatwione — powiedziałem do Dudusia. — Mamy będą z nas zadowolone, że tak często piszemy i że zarobiliśmy kupę forsy.

Tymczasem nie było jeszcze załatwione, bo nasz wódz Siuksów w spódnicy załatwiał własną korespondencję. Patrząc na olbrzymi plik widokówek, byłem pewny, że chce zawiadomić każdego Polaka o spotkaniu z nami. Do tego jeszcze zamówiła dwie rozmowy telefoniczne. Myślałem, że będziemy siedzieli na poczcie do wieczora. Na szczęście, zlitowała się nad nami. Powiedziała, żebyśmy poczekali na nią nad jeziorem przy przystani.

Dobra, możemy poczekać. Zostawiliśmy swoje manatki pod jej opieką. Poszliśmy na przystań. Usiedliśmy na pomoście i mocząc nogi w wodzie myśleliśmy chwilowo o niebieskich migdałach, ale niedługo, bo Duduś nagle zapytał:

—Jak sądzisz, kto to jest ta pani?

—Zdaje mi się, że kabalarka. Przepowiada przyszłość z kart. Dobry zarobek — dodałem. — Ciocia Anka opowiadała, że raz była u takiej, co wróży z kart.

Chciała się dowiedzieć, czy Franek Szajba naprawdę ją kocha.

—I czego się dowiedziała?

—Że kocha do utraty przytomności. Ale za tę utratę przytomności musiała wybulić stówkę. Dobry zawód, co?

—Ja nie wierzę w żadne wróżby. Tatusz powiedział, że to naciąganie ludzi i szarlataneria.

—Może, ale powiedz, dokąd masz iść, kiedy chcesz się dowiedzieć, czy ktoś cię kocha? Chyba nie do urzędu statystycznego?

—Należy zapytać danej osoby.

— A jak dana osoba ukrywa?

Duduś wzruszył ramionami.

—To po prostu naciąganie naiwnych ludzi. Słuchaj, czy ta starsza pani nie wydaje ci się podejrzana?

—Mnie nie.

—A dlaczego koniecznie chce z nami jechać?

—Bo może jej tak z kart wyszło.

—Nie chce mi się wierzyć. Ona na pewno ma w tym jakiś cel.

—Ty nic, tylko każdego podejrzewasz.

—Bo to wszystko wydaje mi się dziwne. Zresztą, jak ty sobie wyobrażasz? Sami ledwo dajemy sobie radę, a tu jeszcze taka starsza osoba na głowie. Czy nie warto jej splawić?...

—A mnie się ona podoba — powiedziałem. Duduś zaczął mnie denerwować. Każdego podejrzewał, do nikogo nie miał zaufania.

Duduś powiedział coś opryskliwie, ja nie zostałem mu dłużny. W powietrzu wisiała nowa kłótnia. Zanim zdążyliśmy się pokłócić, ktoś stanął za nami i powiedział ostro:

— Dzień dobry, chłopcy!

Spojrzałem za siebie. Zdawało mi się, że za chwilę wpadnę z wrażenia do wody. Nad nami stał milicjant z czarnym wąsikiem i przypatrywał się badawczo.

— Skąd wy jesteście? — zapytał, gdy już się nam dobrze przyjrzał.

Byłem tak wystraszony, że zapomniałem, skąd jesteśmy. Dudusia w ogóle nie było, bo zabrakło dla niego miejsca w mojej wyobraźni. Była tylko cisza i wpatrzeni w nas milicjant.

Ciszę należało przerwać, ale nie miałem odwagi, więc przerwał ją milicjant.

— Jak się nazywasz? — zwrócił się do mnie.

Wszystko mi się pomieszało, więc odparłem bez zastanowienia:

— Franciszek Szajba.

Na chwilę oko mu zbiałało z wrażenia, ale wnet opamiętał się.

—Może jesteś bratem tego słynnego koszykarza?

—Niestety, nie bratem, tylko dalekim krewnym. Zna go pan?

—Ba, kto by go nie znał — powiedział już łagodniej. — Pisali dzisiaj w „Przeglądzie”, że wyjeżdża z „Legią” na turniej do Turynu.

—Szkoda — westchnąłem — bo ciocia znowu przez cały dzień będzie puszczała „Gdy mi ciebie zabraknie”.

—Co ty wygadujesz?

—To pan nie wie, że nasza ciocia to narzeczona Franka Szajby?

Myślałem, że go oczaruję i stworzę dla nas zasłonę dymną, za którą będziemy mogli ukryć to, czego nie wolno wiedzieć milicjantowi. Tymczasem milicjant spojrzał podejrzliwie.

— Ty coś kręcisz, mój drogi. Pokaż no swoją legitymację.

Choćbym chciał pokazać, to nie mogłem, bo zostawiłem ją w kieszeni plecaka. Milicjant tak na mnie popatrzył, jakby mnie w ogóle nie było. Wiadomo, człowiek bez legitymacji to dla władzy jedynie pustka. Poprosił więc o legitymację Dudusia.

Duduś był tak wystraszony, że zamiast legitymacji pokazał mu fotografię swego staruszka na tle kombinatu petrochemicznego.

Zdaje mi się, że Duduś przeholował, bo milicjant jak na nas nie huknie:

— Włóczykije, labowicze, zaraz się przekonamy, coście za jedni. Wy mnie tu chcecie czarować Szajbą, a tymczasem w całej Polsce szukają was i tak dalej...

Nie miałem pojęcia, co miało oznaczać „i tak dalej”. Może dowiedział się, o co wczoraj posądziłem filmowców, a może miał za złe Dudusiowi, że płoszy w lesie dziką zwierzynę? W każdym razie nie certował się z nami, tylko zaraz zaprowadził na posterunek.

Na posterunku zaczęło się wypytywanie, skąd, gdzie, jak? Otrząsnąłem się z pierwszego strachu, mówiłem jak na spowiedzi. Ani razu nie poniosła mnie fantazja. Odpowiadałem szczerze i z godnością, jak Jack London, kiedy go przy-skrzynili w Nowym Jorku.

Duduś natomiast zupełnie się załamał. Trząśł się jak galareta, ale to nie było najgorsze ani najpodlejsze. Najpodlejsze, że zwałił wszystko na mnie. To ja go namówiłem, ja go terroryzowałem przez cały czas, zmuszałem do kłamstw i do ciężkiej pracy przy zbieraniu grzybów, a na końcu zapłakał, że przeze mnie po-cięły go osy i do końca życia będzie oszpecony.

Słuchałem tych podłości z pogardliwym uśmieszkiem i widziałem, że mili-cjant, który nas przesłuchiwał, uśmiechał się podobnie jak ja. W końcu przerwał mu:

—Dobrze, dobrze. Porachunki między sobą załatwicie w Warszawie.

—Przepraszam... — krztusił się Duduś łzami — ale ja bez mojej walizki nie mogę wracać do Warszawy. A poza tym mój tatuś jest odznaczony Złotym

Krzyżem Zasługi i nie daruje sobie...

—Czego sobie nie daruje? — westchnął zniecierpliwiony komendant poste-runku.

—Skandalu. My... Fąferscy jesteście porządną rodziną... U nas nigdy nie było takiej kompromitacji... Co ludzie o nas pomyślą?

—Prześlan! — warknąłem półgębkiem. — Mógłbyś przynajmniej zachować honor i godność.

Lecz Duduś nie zachował. Rozbeczał się jak płaksa i błagał, żeby mu pozwolili wrócić z honorem i z walizką,

—A gdzie ta walizka? — zapytał komendant posterunku.

—Na poczcie... z rzeczami tej starszej pani, która się do nas przypętała.

Tego tylko brakowało. Jeszcze i ją zamieszał w tę paskudną sprawę. Gotowi ją posądzić o współudział. Wstydzilem się okropnie i gdybym mógł, to wyparłbym się Dudusia. Ale jak się wyprzeć, kiedy już wszyscy wiedzieli, że to mój cioteczny brat — pożał się Boże.

Komendant posłał milicjanta po nasze rzeczy, a nas umieścił w małym, gu-stownie urządzonym pokoiku ze stalowymi kratkami w oknach. Widok był prze-piękny wprost na jezioro i na ruiny starego, piastowskiego zamku. Słyszać było radio, w którym nadawali właśnie koncert życzeń. I byłoby zupełnie przyjemnie, gdyby nie perspektywa powrotu do Warszawy.

Zaczęły mnie nachodzić rozmaite czarne myśli. Martwiłem się ogromnie za siebie i za Dudusia, gdyż mój cioteczny brat nie mógł się martwić, bo zasnął

na kanapie. Myślałem, że zamartwię się na śmierć. „Trup w kaloszach. Zawiozą do Warszawy, oddadzą rodzicom, a rodzice postanowią, że za karę nigdy już nie wyjedziemy nad morze. Trup w kaloszach” — powtórzyłem w myśli, a potem przestałem się martwić, bo i po co, kiedy i tak wszystko było stracone.

Gdy się przestałem martwić, naraz ktoś przekręcił klucz, ktoś otworzył drzwi, a w drzwiach ujrzałem komendanta posterunku i... — nie chciałem wierzyć własnym oczom — naszą miłą znajomą, podobną do starego wodza Siuksów. Byłem pewny, że ją też przytknęli, więc powitałem ją jako towarzyszkę niedoli, ale ku memu zdumieniu komendant powiedział, że oddaje nas pod jej opiekę. Od tej chwili będzie ona naszą matką i ojcem i musimy jej słuchać.

Nie mogłem sobie wyobrazić, jak można być w jednej osobie ojcem i matką, ale naszą znajomą widocznie stać było na to. W końcu wyobraziłem sobie i solennie przyrzekłem, że będę jej słuchał jak ojca i matki razem wziętych. Wyraziłem skruchę, powiedziałem, że to się już nigdy nie powtórzy. Nie wiedziałem tylko — co. Duduś też wyraził i przyrzekł, a na koniec podziękował komendantowi za to, że pozwolił mu wyjść z honorem i nie skompromitował rodziny Fąferskich.

Z zacisza posterunku wydostaliśmy się na pełną gwaru ulicę i przypomniałem sobie jedno mądre powiedzenie że „po deszczu zawsze świeci słońce”. Rzeczywiście, świeciło po deszczu słońce, które Duduś wylał na świeżo froterowaną podłogę.

A Duduś, jak to Duduś, umiał o wszystkim zapomnieć i odwrócić kota ogonem. Miał taki wyraz twarzy jakby to on nas wyciągnął z tarapatów. Nasza wybawicielka tymczasem okazała się godna swego podobieństwa do wodza szlacheckich czerwonoskórych. Nie dała sobie nawet podziękować.

— Co było, to było — powiedziała. — Ale jestem przekonana, że po drodze na przystań przebiegł wam drogą czarny kot albo zobaczyliście kobietę z próżnymi wiadrami. Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu.

Powiedziałem, że nie widzieliśmy czarnego kota ani kobiety z próżnymi wiadrami, ani białego gołębia zbierającego na pustym polu ziarno i nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że milicjant zaprowadził nas tam, gdzie trzeba.

—To się tobie tylko zdaje, kochasiu — rzekła z przejęciem. — Coś musiało być, bo mi na poczcie dzwoniło w prawym uchu.

—A gdyby pani dzwoniło w lewym? - zapytał nagle Duduś.

—Toby mleko wykypiało.

—Przepraszam, komu? — wtrąciłem.

—Jak to komu? Mnie.

—Przecież pani nie gotowała mleka.

— Tak ale mogłabym gotować. Zresztą nic się me stało, trzeba tylko zastanowić się, co dalej.

Zastanawialiśmy się aż do przystani. Na przystani usiedliśmy znowu na pomoście, nasza opiekunka rozłożyła mapę i jeździliśmy sobie, gdzieś tylko chcieli — palcem po mapie. Podróż niezwykle przyjemna, nie wymagająca wysiłku ani pieniędzy, dostarczająca wiele przyjemności dla fantazji. Zajrzeliśmy więc do Gdańska, zahaczyliśmy o Gdynię, przepłynęliśmy przez Zatokę Pucką i poopaliśmy się na plaży w Łebie. Najciekawiej było w Ustce, gdzie rybacy zabrali nas na połów dorszy. Wreszcie bez wysiłku znaleźliśmy się w Wieżycy.

— Więc jak radzicie, kochasie? — zapytała nasza wybawczyni i czarodziejka.

Ja radziłem szurnać się najpierw do Gdańska, tam zamelinować się pod pokładem „Mazowsza”, które kursuje do Szczecina. Duduś w ogóle nic nie radził, gdyż zabrakło mu pomysłu.

— Wolałbym, żeby pani sama zdecydowała — powiedział przez nos.

— Do pioruna — plasnęła dłonią w mapę. — Podobno masz piątkę z geografii, a nie potrafisz wymyślić marszruty.

— Tak — odparł. — Pani więc wybaczy...

— Wybaczy, wybaczy — ofuknęła go. — I nie mówcie mi „pani”, to jakoś głupio brzmi. Mówcie do mnie; „ciociu Ulo”. Mam na imię Urszula, ale wszyscy nazywają mnie zdrobniale Ula.

Coś mi nie pasowało do indiańskiej postaci takie dziwne zdrobnienie. Lepiej by brzmiało Chyża Łania albo Szara Niedźwiedzica, albo może Srebrnopióra Sowa — przynajmniej po indiańsku i oryginalnie. Ale ciocia Ula? Nie! Nie mogłem się na to zgodzić. Postanowiłem nazywać ją w myśli „ciocia Kabała”. O, proszę. Jest w tym coś tajemniczego i zarazem naprowadza myśl o wrózeniu z kart.

Wyprawilem w myśli małe chrzciny, po indiańsku oczywiście. Wprowadziłem ciocię Kabałę nad jezioro Ontario i tam przy blasku ogniska i przy rytualnych tańcach wylałem jej cały kubek wody zaczerpnięty z jeziora osnutego mgłą indiańskich legend. Nawet się nie skrzywiła, bo dzielnej skwaw naczelnego wodza — nie wypada.

— Słuchajcie, kochasie — powiedziała ciocia Kabała, przerywając moje fantastyczne myśli. — Plan Poldka jest niezły. Nie uwzględnił jednak pewnej trudności.

Mianowicie... szosa do Gdańska bywa strasznie obstawiona. Całe watahy

autostopowiczów czyhają na każdym zakręcie, a kierowcy są tak wybredni, że

biorą tylko młode, najpiękniejsze dziewczyny. Gdy zobaczą moją siwą głowę, to

zdechł pies, nie wezmą. Proponuję więc jechać bocznymi drogami. Są mniej za

pchane i łatwiejsze do stopowania.

— Ale czy my w ogóle dojedziemy? — jęknął Duduś. — Bo już od czterech dni jedziemy, jedziemy i nie możemy ruszyć poza Pomorze.

— Jeżeli ci się tak spieszy — powiedziałem — to mogłeś zostać na posterunku. Odwieźliby cię cało i za darmo.

— Tylko bez kłótni, kochasie, tylko bez kłótni — rugnęła nas ciocia Kabała. — Przy mnie musi być spokój, cisza i porządek jak w wojsku. I żadnych fanaberii. Skończyły się już rozmaite widzimisię. Teraz dyscyplina i subordynacja.

Czułem, że porządnie się do nas zabiera. Mieliśmy się nią opiekować, a tymczasem ona brała nas za kark jak szczeniaki. „Zobaczymy, co z tego wyniknie”. Tymczasem nic nie wynikło, bo ciocia pochyliła się nad mapą i wodząc palcem po drogach, ciągnęła:

— Proponuję, żebyśmy najpierw pojechali nieco na południe do Tucholi, po tem przez Chojnice, Człuchów do Wałcza, z Wałcza na Połczyn, Białogard do Kołobrzegu, a stamtąd już niedaleko do Szczecina. Droga jest piękna i bardzo ciekawa. — Spojrzała na nas sokolim wzrokiem i zapytała uroczyście: — Zgadza się?

Cóż miałem robić, skoro przyrzekłem posłuszeństwo i wyraziłem skruchę — zgodziłem się bardzo chętnie. Duduś natomiast nic nie powiedział, bo mu i tak było wszystko jedno.

Od tej pory wszystko odbywało się cybernetycznie i planowo. Każdy miał określone obowiązki, wyznaczone zadania jak w dobrze zorganizowanym oddziale. Dowództwo objęła ciocia Kabała, a my zostaliśmy szeregowymi. Skończyły się fantazje, fanaberie, widzimisię, cacy-cacy i śmichy-chichy. Była tylko dyscyplina, porządek, subordynacja, punktualność, a wszystko pierwszej klasy. Bo ciocia Kabała nie znosiła sprzeciwu ani mazgajstwa.

Trzeba przyznać, żeśmy się porządnie nabrali. Zwłaszcza Duduś. Obawiał się, że będzie musiał holować starszą osobę, tymczasem „starsza osoba” wzięła go na hol — i to mocny.

Po pierwsze, zlikwidowała walizkę z nalepkami, która kosztowała mnie tyle zdrowia i nerwów. Kazała Dudusiowi zostawić w torbie niezbędne rzeczy, a walizkę zapakować w papier i odesłać do Międzywodzia. Myślałem, że Duduś się rozplacze, ale na szczęście dzielnie przyjął ten cios.

Po drugie, zrobiła generalny przegląd naszego ekwipunku. Pochwaliła mnie przy tym. O, proszę, tak się wyrusza w podróż. Żadnych fidrygalków ani faramuszek. Po harcersku.

Po trzecie, sprawdziła stan higieniczny oddziału. Ku memu wielkiemu zdumieniu w uchu sławnego higienisty znalazła kopalnię mułu i piasku, a stan jego nóg określiła jako idealny dla sadzenia rzepy. U mnie też znalazła trochę wodorostów na szyi, lecz to mnie nie kompromitowało, gdyż wodorosty pochodziły z wczorajszej kąpieli w jeziorze.

Na koniec wydała ścisłą instrukcję, co nam wolno, a czego nie wolno.

WOLNO:
Oddychać
podziwiać okolicę
zachwycać się przyrodą
myśleć o rodzicach
dojechać do Międzywodzia
NIE WOLNO:
oddalać się bez zezwolenia
wyskakiwać z pędzącego samochodu
krzyczeć
kłócić się
myśleć o niepotrzebnych rzeczach
pić nie przegotowanej wody
używać niewłaściwych wyrazów
jeść niedojrzałych owoców
wdychać kurzu
mówić źle o bliźnich
jeść brudnymi rękami itd.

Tych „nie wolno” i „zabrania się” było jeszcze więcej, ale zapomniałem, bo tak zwykle bywa — jeżeli nie wolno, to łatwo wylatuje z głowy.

I jeszcze jedno — wolno nam było wierzyć w przesady. Z tego „wolno” wyłaniały się nowe „nie wolno”. Nie wolno wstawać lewą nogą, przechodzić drogą, którą przeszedł czarny kot lub kobieta z próżnymi wiadrami, pożyczać chusteczki do nosa, płoszyć białego gołębia, rozsypywać soli, słuchać, jak dzwoni w lewym uchu, myśleć o tym, że swędzi lewa dłoń... i jeszcze sto innych rzeczy. Jednym słowem, na każdym kroku czyha na nas jakaś przeszkoda, a my powinniśmy unikać jej przezornie.

Od razu przypomniałem sobie, że rano wstałem lewą nogą, włożyłem koszulę na lewą stronę, splunąłem za siebie i dzwoniło mi w lewym uchu. Ogromnie zmartwiłem się i wyśpiewałem wszystko cioci Kabale.

Pocieszyła mnie, że to nie ma znaczenia, gdyż milicjant z czarnym wąsikiem oznacza szczęście, a zamknięcie za kratkami przekreśla wszystkie plagi, które miały mnie spotkać. Mogłem spokojnie wyruszyć w drogę. Duduś też mógł, bo z góry zapowiedział, że nie wierzy w żadne przesady.

Tymczasem wciąż jeszcze tkwiliśmy nad jeziorem w Wieżycy i nic na to nie wskazywało, że wyruszymy stąd przed zachodem słońca. Na szczęście, na horyzoncie pojawił się milicjant z wąsikiem, ten sam, który nas odprowadził na posterunek. I rzeczywiście przyniósł nam szczęście, bo w tej chwili właśnie obok przystani zatrzymał się autobus, a z autobusu wysypało się z tuzin młodych sportowców. Po minach i po ruchach poznałem od razu piłkarzy.

Nie myliłem się. Była to drużyna piłkarska „Kaszubianka” z Kartuz. Jechała na mecz do... Tucholi.

Za chwilę mieliśmy podziwiać niezwykły kunszt naszej nowej cioci. To, co pokazali nam Meksykańczycy, było zerem wobec jej autostopowych zdolności.

Sokolim okiem wyłuskała spośród piłkarzy kierownika drużyny. Przez chwilę zdawało się, że go hipnotyzuje, ba, zamienia w królika. Potem uśmiechnęła się najwspanialszym uśmiechem, jaki widziałem, podeszła do niego i dopiero zaczął się prawdziwy koncert.

— Nie damy się! — zawołała gromko. — Zobacz pan, wygramy ten mecz do kółka.

Na widok kobiety-Indianina na okrągłej twarzy kierownika „Kaszubianki” pojawił się uśmiech zdziwienia.

— Nie damy się — powtórzyła z zapałem. — Widziałam, jakęście rozgromili przeciwników w ostatnim meczu.

— To pani była z nami w Chełmży?

— Pytanie! Jestem waszym najwierniejszym kibicem... Tylko radzę, trzeba grać częściej skrzydłami i nie bawić się pod bramką, ale strzelać. Na skrzydło, do

środeczka i lufa.

Kierownik w jednej chwili zorientował się, że ma przed sobą znakomitego znawcę piłki nożnej. Z respektem i szacunkiem spojrział na potężne bary naszej cioci Kabały.

— Sto razy powtarzam chłopcom, żeby się nie cackali z piłką pod bramką.

— O, właśnie. I podania muszą być celne.

— I trzeba atakować falami — dorzucił.

— A przede wszystkim nie zapominać o kryciu — radziła ciocia. — Strzelać z każdej pozycji.

Kierownik pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Pani to się zna na piłce.

— Ba! Stara gwardia, kolego. Pamiętam Kałużę, jak sto razy podbijał piłkę głową. I Nawrota, który dryblował jak diabeł...

Kierownik rozłożył ręce.

— Tak, koleżanko, dzisiaj już nie te czasy. Gdy ja grałem w „Gedanii”, to się dopiero strzelało, a nie czekało z piłką. Bah, i bramka. Lewą nogą, koleżanko.

Albo z woleja... kto dzisiaj strzela z woleja. Chyba że mu podadzą na nogę. No

cóż, ale trzeba grać.

— I wygrywać — wtrąciła ciocia. — Niech kolega nie narzeka. Widzę, że wasi chłopcy w formie.

— Robią, co mogą, koleżanko.

— No! Niech kolega nie będzie znowu taki skromny. Wszyscy wiemy, że to zasługa kolegi. No nie, Poldek? — zwróciła się do mnie.

Nie wiedziałem, czyja to zasługa, ale w mig potwierdziłem:

— Pewno, że pana kierownika. Pan orze w klubie za wszystkich.
Dopiero teraz raczył nas zauważyć. Zagrał wobec mnie dobrodusznego wujaszka.

— A ty grasz w piłkę, kolego?

Wszyscy byliśmy już na koleżeńskej stopie, więc należało zrobić przyjemność koledze kierownikowi.

— To się wie — powiedziałem — gram na łączniku w drużynie trampkarzy.

— A ty? — spojrzał na Dudusia.

Duduś przez chwilę nie wiedział, czy gra, czy nie gra. Wreszcie odrzekł przez nos:

— Przepraszam pana, ale ja w ogóle nie interesuję się sportem. Tatuś powiedział, że sport wpływa ujemnie na rozwój umysłowy.

Kierownik rzucił mu pogardliwe spojrzenie. Ja też mu rzuciłem, a ciocia Kabała, chcąc ratować sytuację, wyjaśniła:

— On jest trochę słabowity i dlatego ojciec mu nie pozwala.

Duduś chciał zaprotestować, lecz ciocia Kabała tak na niego spojrzała, jakby go miała za chwilę upiec na rożnie.

Kierownik z politowaniem pokiwał nad nim głową.

— Biedak. Powinien przynajmniej pływać...

Duduś miał powiedzieć, że nie umie pływać, ale nie zdążył. W tej chwili dzielni piłkarze z „Kaszubianki” po krótkim odpoczynku nad jeziorem wracali do autobusu.

— Jedziemy, panie kierowniku? — zapytał trener.

— Za chwilę — odparł kierownik i nagle zwrócił się do cioci Kabały: — Może koleżanka pojedzie z nami? Będziemy mieli honorowego kibica.

Ciocia Kabała udała bardzo zatroskaną.

— Chętnie — zająknęła się — tylko co ja z nimi zrobię? — W tym miejscu wymownym ruchem wskazała na Dudusia.

— Niech jada z nami. Będą dopingować naszych chłopców.

Ciocia Kabała wspaniałomyślnie przyjęła zaproszenie.

„Genialna — pomyślałem — najpierw oczarowała, potem opętała, a na końcu sama dała się ubłagać. Ho, ho! Od niej wiele można się nauczyć. Bratnia dusza. Ma fantazję i jeszcze coś... Wdzięk, którym podbija nawet najbardziej zatwardziałe serca”.

5

Nie przypominam sobie, kto wygrał ten mecz — „Kaszubianka” czy „Orkan” z Tucholi? Nie mogę sobie przypomnieć dlatego, że nie byliśmy na meczu. Cio-

cia Kabała po przyjeździe do Tucholi straciła zupełnie zainteresowanie dla piłki nożnej. Zapytała mnie nawet, czy to byli rugbiści, czy koszykarze.

Oto prawdziwa ciocia Kabała, jaką mieliśmy poznać. Dla niej nic nie istniało prócz autostopu, czyli bezpłatnego przenoszenia się z miejsca na miejsce za pomocą czterech zmechanizowanych kółek i własnej przedsiębiorczości. Dla przejechania kilkudziesięciu kilometrów gotowa była przyznać się do znajomości z szatanem albo udziału w napadzie na bank w Chicago. A przy tym miała gołębie serce.

Taka już była i nic na to nie poradzę.

A więc znaleźliśmy się w Tucholi, w mieście, w którym powinniśmy się znaleźć dwa dni temu, gdyby nie gęsi. Z satysfakcją ujrzelśmy stojący na rynku wóz meblowy pełen nie malowanych trumienek i z radością przywitaliśmy kierowcę, który uśmiechał się do nas jak do dobrych znajomych. I w ogóle morowo było w Tucholi.

Duduś poinformował nas, że miasto założył książę pomorski Sambor I około tysiąc dwóchsetnego roku. Nie mam pojęcia, jak się zakłada miasto, ale mimo to wdzięczny byłem Samborowi I za założenie. Mieliśmy bowiem co podziwiać, zwłaszcza przedziwną zadumę gotyckich murów z czternastego stulecia i fantastyczne zrazy zawijane z gryczaną kaszą, jakie spałaszowaliśmy w gospodzie ludowej „Tucholanka”.

Mówię wam, pycha! Palce lizać! Jestem pewny, że Sambor I nigdy nie jadł takich zrazów, bo jeżeli się nie mylę, za jego czasów nie znano jeszcze w Polsce pieprzu ani innych przypraw. Jadano tylko udziec tura, połędwicę z łosia, łapy niedźwiedzia i kołacze, którymi Piast częstował dwóch aniołów-trampów. Piękne to były czasy. Nie znano również autostopu, a po leśnych drogach włóczyli się rozbójnicy i snuły się prasłowiańskie legendy.

Nie było też hotelu „Pod Trzema Baranami” ani schroniska PTTK, bo wtedy nie uprawiano turystyki ani nie podziwiano zabytków. Właściwie wszystko było zabytkami, które my teraz z szacunkiem podziwiamy. I Duduś nie mógłby zatrzymać się pod hotelem i powiedzieć:

— O, proszę, nareszcie możemy wypaść się w europejskich warunkach.

Powiedział to wcale nie w czasach zamierzchłych, lecz zaraz po zjedzeniu wspaniałych zrazów szpikowanych wędzonym boczkiem i igłami świerka z Borów Tucholskich. Przeliczył się jednak. Nie wiedział jeszcze, że ciocia Kabała to stuprocentowa turystka i wołałaby nie spać niż tak nisko upaść.

—Co? — zapytała. — Jesteś w pobliżu najwspanialszej puszczy w Europie, a chcesz mieszkać w podłym hotelu i wachać zgrzybiałe ściany?

—Mój tatuś zawsze nocuje w hotelach.

—Tatuś może nocować, ale my zaraz jedziemy do puszczy. I proszę cię, za pomnij o tatusiu. Teraz jesteś pod moją opieką, a ja nie pozwolę, żebyś się dusił

w miejskim skwarze.

—Ale od kilku dni nie myłem się w ciepłej wodzie —jęknął Duduś.

—Tym lepiej, przynajmniej się zahartujesz.

—I nie czyściłem zębów.

—Na zęby zagrzejemy wodą na kocherze.

—I w ogóle nie lubię spać w lesie...

—Nie martw się, kochasiu, jestem pewna, że polubisz.

—A czy tam są dziki? — zapytał, patrząc na mnie.

Doskonale wiedziałem, co ma na myśli, więc zapewniłem go, że w obecności cioci może spać spokojnie, żaden dzik nie śmie zbliżyć się do namiotu, bo wie, że ciocia Kabała na to nie pozwalała.

Duduś uspokoił się. Z rezygnacją spojrział na koniec krostowatego nosa, a potem zwrócił wzrok na zabytkowe mury z czternastego stulecia, jakby w ten sposób chciał nas oskarżyć o brak zrozumienia dla jego cywilizacyjnych zachcianek.

No cóż, my z ciotką Kabałą byliśmy dzicy i nieokrzesani. Chcieliśmy spać na łonie natury, wśród szumu prastarych borów i żywicznych zapachów.

Ruszyliśmy w kierunku Borów Tucholskich.

Jak już wspomniałem, u ciotki Kabały wszystko było cybernetycznie zorganizowane: namiot, plecaki, torba Dudusia na kajakowym wózku, za wózkiem my troje, a każdy z nas pchał wózek na zmianę, co pół kilometra. Przy tym miny pogodne, superoptymistyczne i nadzieja w sercu. Przeszliśmy tak około trzech kilometrów. Z dala widać było linię lasu, upragniony cel wędrowki, gdy nagle z pobliskiej chaty wyszła stara kobieta z wiadrami. Przeczuałem, że to próżne wiadra, i niestety, nie myliłem się.

Ciotka Kabała zatrzymała się, jakby ją wmurowało w ziemią. Splunęła z obrzydzeniem.

— To ci pech. Byliśmy już tak blisko, a tu baba... lichu ją nadało.

Pozwoliłem sobie zaznaczyć, że można starowinę poprosić, by zawróciła. Ciotka ofuknęła mnie:

— To na nic. Jeżeli już wyszła, a myśmy ją zobaczyli, musimy zawrócić, bo w innym wypadku spotka nas jakieś nieszczęście. Pfu, na psa urok. — Splunęła w cztery strony świata i jak gdyby nigdy nic ruszyła w stronę Tucholi.

W Dudusia wstąpił duch przekory. Usiadł na skraju drogi, zrobił jamnikowatą gębę i powiedział:

— Ja nie wierzę w przesady.

Ja też nie wierzyłem, ale nie powiedziałem, bo nie chciałem robić przykrości naszej opiekunce. Pal to lichu! Jeżeli zrobiłem trzy kilometry, to mogę przejść jeszcze trzy następne. Wieczór był rześki, przyjemny wiaterek chłodził jak wentylator, a ja lubiłem maszerować. Duduś nie cierpiał, bo gniotły go nowe buty i tęsknił za wygodnym łóżkiem w hotelu „Pod Trzema Baranami”.

— Nie pójdę — powtórzył z uporem. — I nią rozumiem, jaka może być różnica między próżnymi a pełnymi wiadrami.

Ciotka Kabała pokręciła z politowaniem głową.
—Kochasiu, ty jeszcze wielu rzeczy nie rozumiesz. Zrozumiałbyś dopiero wtedy, gdybyś wiedział, co mnie kiedyś spotkało.
—Nie wierzę, żeby to miało coś wspólnego z próżnymi wiadrami.
—Uwierzyłybyś, kochasiu, gdybyś wiedział, co potem nastąpiło.
—Ciekawy jestem, co takiego?
—Wyobraź sobie, skręciłam nogę. Było to w zimie, w Zakopanem...
—To proste — przerwał jej Duduś. — Musiało być bardzo ślisko.
—Nie było ślisko, bo spadł świeży śnieg, a ja jechałam na nartach.
—O, właśnie — ucieszył się. — Pani pewno nie umie dobrze jeździć na nartach, a całą winę chce zwalić na kobietę z pustymi wiadrami.
Ciotka Kabała uśmiechnęła się przekornie.
— Kochasiu, mam złotą odznakę narciarską i wtedy kiedy o tobie jeszcze wróble nie ćwierkały, zjeżdżałam już z Kasprowego.
— W takim razie źle pani nasmarowała deski.
Ciotka Kabała rozłożyła ręce ruchem rezygnacji.
— Gadaj tu z takim. Jeżeli chcesz się przekonać, to możemy iść dalej. — Zawróciła razem z wózkiem i nie czekając na nas ruszyła w kierunku lasu.
Kobieta wracała od studni z pełnymi wiadrami, a mnie się zdawało, że nad nami zawisło fatum, które zacznie nas ścigać. Trzeba przyznać, że pierwszy raz w czasie naszej podróży podziwiałem Dudusia. Jaki charakter ma, taki ma, ale postawił na swoim i nie ugiął się. Oto Europejczyk pełną gębą.
Szliśmy dalej w kierunku lasu — ciotka Kabała gniewna, ja zamyślony, a Duduś pełen przekornej radości. Czekaliśmy, kiedy fatum zawiśnie nad nami i zacznie się mścić, lecz ono chwilowo nie chciało zawisnąć. Widocznie zaczęło się i czekało na odpowiednią chwilę, żeby nas zaskoczyć.
Doszliśmy wreszcie do sławnych Borów Tucholskich, w które księżę pomorski Sambor I chodził ze swoją drużyną na tura, łosia i niedźwiedzia. Nie spotkałiśmy jednak ani tura, ani łosia, ani nawet niedźwiedzia, tylko zająca. Ale to nic. Puszcza stała dostojnie, pełna wspomnień po owych sławnych łowach.
Wybraliśmy miejsce na obozowisko — piękną polanę wśród bukowego lasu. Brzegiem polany płynął strumień, a nad strumieniem kilka brzózek szeleściło na wietrze. I zdawało się, że jesteśmy drużyną sławnego Sambora I, a ciocia Kabała Rzepichą. Za chwilę wyniesie świeżo upieczony kołacz i dzbanek wspaniałego miodu.
Tymczasem ciotka Kabała była naburmuszona na Dudusia. Czekwała, kiedy nad nim zawiśnie fatum i przekona go, że jednak trzeba wierzyć w przesady.
W atmosferze oczekiwania rozbijaliśmy namiot. Wspaniała robota, godna trampa i włóczęgi. Zaraz wyobraziłem sobie, że jestem traperem, który zabłądził w kanadyjskiej puszczy i od kilku tygodni nie widział ludzkiej twarzy. Teraz

po znojach dnia rozbija swój namiot nad Rzeką Świętego Wawrzyńca i patrzy, jak w nurcie rzeki mkną wspaniałe łososie na tarło.

Zanim zdecydowałem się zarzucić wędkę, namiot już stał, a ciocia Kabała kazała nam czym prędzej rozpalać ognisko.

Poszliśmy z Dudusiem nabierać chrustu i suchych gałęzi.

A fatum wciąż wisiało nad nami.

W mig nabierałem całą wiązkę chrustu. Harcerskim sposobem związałem ją paskiem. Duduś tymczasem zdążył podnieść z ziemi dwie liche, przegniłe gałązki. Nad każdą kiwał głową i zastanawiał się, z jakiego pochodzi drzewa.

—Człowieku, przecież to nie ma żadnego znaczenia — powiedziałem.

—To ci się tylko tak zdaje. Czytałem, że najlepiej pali się jodła, najdłużej zaś trzyma buk.

—Więc nad czym się zastanawiasz?

—Chciałbym przynieść nieco gałązek modrzewia, bo ładnie pachną.

—To szukaj! — zawołałem, — Ja nie będę się cackał. Wałę do obozowiska.

Spojrzałem jeszcze raz za siebie. Duduś zginął w zaroślach jak łoś rozgarniający gęstwinę rogami. Poszedł widocznie szukać modrzewi. Pał go sześć! Niech sobie szuka. Żeby tylko nie napatoczył się na dzika, bo będziemy go musieli ściągać z drzewa.

Wróciłem na polankę. Zmierzch już zapadł. Na ziemię spływała lekka mgła. I niebo było przymglone, a na zachodniej stronie płonęło jeszcze nad czubami drzew. W dali, na łąkach, głosem tęsknym nawoływały się derkacze. Było tak pięknie, jak na barwnym obrazku z książki Curwooda. Może nawet piękniej, bo prawdziwiej. Brakowało mi tylko wycia wilków i ryczenia kanadyjskich jeleni.

Ciocia Kabała pasowała do krajobrazu jak ulał. Szykowała właśnie miejsce pod palenisko. Od razu widać było, że fachowiec pierwszej klasy. Wykopała wąski rowek, obstawiła go płaskimi kamieniami i właśnie miała zamiar nałamać gałązek na podpałkę, gdy zjawiłem się na polanie.

—Gdzie Duduś? — zapytała.

—Zbiera gałęzie modrzewia.

—Przecież tu nie rosną modrzewie.

—Uparł się. Nic na to nie poradzę. Chce, żeby mu pachniało.

—To niedobrze — powiedziała w zamyśleniu.

—Dlaczego? — zapytałem.

—Bo mi dzwoniło w lewym uchu. A do tego ta baba z próżnymi wiadrami...

Nie powinieneś go zostawić.

—On tutaj, niedaleko.

— Wróc i przyprowadź go do obozowiska — rozkazała tak stanowczo, że nawet nie mruknąłem, tylko zrzuciłem wiązkę chrustu na ziemię i poszedłem do lasu.

W lesie było już mroczno, zalegał głęboki cień. Nie miałem zbytnej ochoty zagłębiać się daleko, zwłaszcza teraz, kiedy usłyszałem, że cioci Kabale dzwoniło w lewym uchu.

„Coś się kroi” — pomyślałem, a potem zawołałem głośno:

— Hop! Hop! Duduś, gdzie jesteś?

Odpowiedziało mi tylko echo, bo w lesie tak zwykle bywa, że tylko echo odpowiada. Zawołałem więc jeszcze raz: „hip! hip!” i „hej”, zupełnie jak traper w puszczy, a puszcza znowu milczała. Początkowo myślałem, że Duduś natknął się na odyńca, ale wnet zrozumiałem, że to wykluczone. Gdyby się natknął, darłby się wniebogłosy, a tu cisza i nic, tylko kwilenie ptaków. Czyżby Duduś kwilił razem z nimi?

Odnalazłem zarośla, w których znikł Fąferski, gdy odchodziłem. Hipnąłem jeszcze raz, potem hopnąłem, ale zamiast Dudusia odpowiedział jakiś obcy głos. Poszedłem więc jeszcze dalej i wnet stanąłem na ścieżce. Przed sobą ujrzałem gajowego. Czekał na mnie z dubeltówką przewieszoną przez ramię.

—Co się tak wydierasz? — zapytał. — Nie wiesz, że w lesie nie wolno krzyczeć?

—Wiem — odparłem. — I bardzo pana przepraszam, ale zginął mój cioteczny brat.

Gajowy obejrzał mnie uważnie. Widocznie wydałem mu się podejrzany.

—Cioteczny brat, powiadasz, A co wy tu robicie?

—Obozujemy z ciocią na polanie — wyjaśniłem. — Ciocia posłała nas po chrust, no i Duduś przepadł. Nie widział go pan przypadkiem?

Gajowy nie widział nikogo. Ofuknął mnie porządnie, ostrzegł, że w lesie nie wolno krzyczeć ani rozpalać ognisk, a jeżeli chcemy rozpalić na polanie, tu musimy później zasypać piaskiem ognisko. Wyłuszczył urzędowo, co wolno w lesie robić, a czego nie wolno, i życząc mi dobrej nocy oddalił się w niewiadomym kierunku. Znikł jak zjawą, a może się rozpułnął.

Zostałem sam. Wokół czarny las, dziwne pohukiwania, kwilenie ptaków i szum, a ja z najrozmaitszymi myślami, które zaczęły, ni stąd, ni zowąd, cisnąć się jak nieproszeni goście. Żał mi było Dudusia. Taki nierozgarnięty i do tego nie wierzył w przesady. „Co mu się mogło przydarzyć? Jednak lepiej nie zadzierać z ciocią Kabałą — pomyślałem. — Ona ma kontakty z jakimiś ciemnymi siłami”.

Strach mnie ogarnął. Cóż miało mnie ogarnąć w takiej sytuacji, skoro fatum zawisło nad naszymi głowami, a cioci Kabale dzwoniło w lewym uchu? Dla dodania sobie odwagi zagwizdałem „Gdy mi ciebie zabraknie” i pomyślałem, że Jack London podczas wyprawy na Alaskę po złoto był nieraz w gorszych tarapatach i nic sobie z tego nie robił. Próbowałem więc nic sobie nie robić, ale jakoś nie wy-

chodziło. Dopiero gdy wśród pni zobaczyłem ognisko, a nad nim potężną postać ciotki Kabały, zacząłem nic sobie nie robić z tego wszystkiego, z czego dotychczas sobie robiłem.

—A mówiłam — przywitała mnie ciocia Kabała. — A przestrzegałam. A ten szczeniak kpił sobie ze mnie. I co, nie znalazłeś go?

—Myślałem, że już wrócił — powiedziałem.

—Nie wrócił i wyobraź sobie, słyszałam głos puszczyka.

—Puszczyka? A co to ma oznaczać?

—Lepiej nie mówić. Z ciebie też ciężka ofierma. Jak mogłeś zostawić go samego w lesie. Przecież to mieszczuch.

Ciocia przekleła chwilę, w której nas spotkała, litowała się nad naszymi biednymi rodzicami, przyrównała nas do dwóch parszywych kundli, wreszcie nasunęła na głowę czapkę, wyjęła z plecaka latarkę i powiedziała, że będzie starym, bezzębnym mamutem, jeżeli nie przyprowdzi za uszy zguby. Mnie natomiast nakazała pilnować ogniska, a w razie gdyby nie wróciła, zasypać ognisko ziemią i położyć się spać.

Oto męskie postanowienie kobiety o gołęmbim sercu.

Pilnowanie ogniska należy do czynności czarodziejskich.

Rozciągnąłem się wygodnie na trawie, głowę wsparłem o ramię, wziąłem w rękę solidny patyk i zapatrzyłem się w tańczące wśród gałązek płomienie. Zaraz uczułem, że jestem człowiekiem pierwotnym, jaskiniowcem z epoki łupanego kamienia, a może kimś jeszcze bardziej dzikim.

Na twarzy, piersiach, udach czułem łagodne ciepło promieniujące z ogniska, a plecy ogarniał ziąb. Ogień syczał tajemniczo, gałązki trzaskały, sypiąc drobne iskry na moją twarz. I dziwne myśli napłynęły, jak gdyby od żaru ogniska, a może z otaczającej ciemności. Czy nie lepiej byłoby być jaskiniowcem? Nie musiałbym chodzić do szkoły i wkuwać na przykład fizyki. Uczyć się rozmaitych symboli chemicznych. H_2O — to woda. Jaskiniowiec nie zastanawia się, czy woda to H_2O . Woda była wodą, powietrze — powietrzem, a nie — mieszaniną azotu, wodoru i tlenu. A sam jaskiniowiec był po prostu jaskiniowcem i nikt mu nie udowadniał, że pochodzi od mały cząłkokszałtnej.

Snułem dalej swoje rozważania: gdybym był jaskiniowcem, unikałbym różnych kłopotów. Nie musiałbym szorować po sobie wanny ani chodzić mamusi po pończochy, bo mamusia nie nosiłaby pończoch, a oczka nie miałyby z czego lecieć. Wszystko byłoby prostsze, mniej skomplikowane. Ciocia Anka nie nastawiałaby płyty „Gdy mi ciebie zabraknie”, a Franek Szajba nie grałby w koszykówkę, tylko chodziłby z maczugą na tura i mamuta. Mój tata nie jechałby do

Katowic naprawiać awarię. Wspinałby się na drzewa i wybierał z dziupli miód pszczeli. I prawdopodobnie nie byłoby Faferskich, bo w takich czasach nie daliby sobie rady. A może byłiby mamutami, na które Franek Szajba polowałby wraz z najtęższymi myśliwymi plemienia.

I wszyscy wierzylibyśmy w przesady, bo wtedy była taka moda. A ciocia Kabała wróżyłaby z lotu ptaków i z popiołów dogasającego ogniska.

Najważniejsze, że Duduś jako młody mamut nie zbłądziłby w lesie i nie byłoby tego całego rabanu.

Gdy się tak zastanawiałem, mąciło mi się w głowie. Zrazu zdało mi się, że jestem synem czarnoksiężnika i potrafię ognisko zamienić w pięknie kwitnące, purpurowe ptaki. Ptaki o ognistych skrzydłach zerwały się nagle z ziemi, zaczęły nade mną krążyć, coraz bliżej... coraz bliżej... aż mnie zupełnie zakryły swymi skrzydłami i wtedy zasnąłem...

Zasnąłem, ale czary nie skończyły się jeszcze, bo gdy się obudziłem, byłem w namiocie. Pomyślałem, że dobra wróżka przeniosła mnie w cudowny sposób i z jaskiniowca zmieniła w Poldka Wanatowicza. Ucieszyłem się, że jednak jestem sobą i żyję w czasach lotów kosmicznych. Leżałem na pneumatycznym materacu, przykryty wełnianym kocem, a przez szparę w klapie namiotu widziałem seledynowe czupryny brzoź. I ptaki śpiewały na dzień dobry.

Zerwałem się. Pomyślałem, że skoro leżę w namiocie, to już na pewno Duduś się odnalazł i po krzyku. Ale gdy wyczołgałem się z namiotu, zrozumiałem, że Dudusia jeszcze nie ma. Ba, nie było nawet cioci Kabały. Były tylko — błękitno--złoty poranek i dwa zające, które na mój widok wyskoczyły z trawy i wielkimi susami pognały do lasu.

Rozejrzałem się uważnie. Panował cybernetyczny porządek: ognisko porządnie zasypane ziemią, rzeczy poukładane w namiocie, a do klapy szpilką przypięta kartka. Zerwałem kartkę. Przeczytałem komunik cioci Kabały:

Dudusia nie znalazłam. Nie opuszczaj obozowiska. Poszłam do Tucholi. — Ciocia Ula.

A więc kamień w wodę — fatum zawisło nad pierworodnym synem wuja Waldemara. Zrobiło mi się ogromnie smutno, bo to przecież mój cioteczny brat i w ogóle człowiek. Od kilku dni przywiązałem się do niego. Wierzyłem, że z niego coś wyrośnie, a tu takie zmartwienie. Zacząłem sobie wyrzucać, że za mało się nim opiekowałem i pozwoliłem mu odejść.

Martwiłem się ogromnie i nic mnie już nie cieszyło, nawet śpiew kosa, który usiadł na gałęzi i zaczął swój wspaniały koncert. Gryzłem się za siebie i za całą rodzinę, najwięcej za babcię Faferską. Bo pomyśleć, co ona biedna by przeżyła, gdyby wiedziała, że jej wnuczek najmilszy zginął w Borach Tucholskich?

Byłbym się martwił chyba do końca życia, ale naraz usłyszałem znajomy głos. Ktoś krzychał wniebogłosy. Jednocześnie rozległo się wściekłe ujadanie psa. Pobiegłem w kierunku lasu.

Nagle na ścieżce ujrzałem mojego ciotecznego brata we własnej osobie. Ale to nie była już ta sama osoba ze względu na stan spodni. Bo ze spodni zostały żałosne strzępy, zwisające wokół bioder i czegoś tam jeszcze. Była tylko wystraszona jamnicza twarz, przerażone oczy i krzyk wydobywający się z gardła. I Duduś Fąferski w panicznej ucieczce, a za Dudusiem rozwścieczony pies.

Początkowo sam się przeraziłem, lecz nie należę do chłopców podszytych strachem. Schwyciłem wielki kij, natarłem na brytana. Zrozumiał, że ma do czynienia z Wanatowiczem. Chwilę jeszcze szczyrzył kły, ale gdy cisnąłem kilka kamieni, podwinął ogon i zwał do lasu.

Przede mną został tylko Duduś. Stał chwilę osłupiały z nagłego szczęścia. Twarz miał podrapaną, koszulę w strzępach, a spodni w ogóle nie miał, bo podzielił się nimi z psem.

—Gdzieś ty spotkał tego psa? — spytałem.

Duduś nie mógł złapać tchu, a gdy złapał, wystękał:

—Daję ci słowo, że go nie zaczepiłem.

—I co się z tobą działo? Człowieku, my ciebie całą noc szukamy, a ty...

Duduś usiadł na trawie. Spojrzał na żałosne resztki swych elanowych spodni i był bliski płaczu.

—Takie spodnie — jęknął. — Tatuś zapłacił za nie czterysta dwadzieścia złotych.

—Pies z nimi! — zawołałem. — Powiedz lepiej, co się z tobą działo, bo tu urwanie głowy. Ciocia poszła do Tucholi. Pewno dała znać na milicję.

Duduś skrzywił się z niesmakiem.

— Na milicję? Przecież ja jej o to nie prosiłem.

—Ale ona myśli, żeś ty trup w kaloszach.

Duduś spojrzał z urazą.

—Jak ty się wysławiasz?

Oto cały Fąferski. Ja — trup w kaloszach, a on — jak ty się wysławiasz? Miałem ochotę grzmotnąć go porządnie, ale go pożałowałem, bo wyglądał jak sierota z przytułku, i do tego był bez spodni. Wrzasnąłem tylko:

—Wyrażam się, jak mi się podoba. A ty nie mędrkuj, tylko mów.

Duduś zdumiał się.

—Ja? Czy ja ci nie powiedziałem?

—Nie.

—Myślałem, że powiedziałem ci w lesie.

—Co?

— Że nie mam ochoty spać w namiocie. Tu niedaleko jest bardzo przyzwoita leśniczówka. Wstąpiłem i zapytałem, czy mogliby mnie przenocować. Nareszcie spałem w przyzwoitych warunkach i wymyłem się rano w ciepłej wodzie.

Po takiej przemowie ręce mogą opaść. I mnie też opadły. A Duduś zapytał przez nos:

—Czemu się dziwisz?

—Jesteś cuchnący kojot! — powiedziałem. — Jesteś mamuci ogon. My tu się martwimy, a ty w najlepsze sobie śpisz na tapczanie i myjesz się w gorącej

wodzie. Gdzie twoja solidarność rodowa, gdzie poczucie obowiązku?

Bimbasz

sobie z ciotki Kabały, a ciotka wrywa sobie siwe włosy i szuka cię po nocach.

— Wybacz — wymamrotał — ale ja naprawdę nie lubię spać w namiocie.

Mów tu z takim. Niczego nie rozumie. Myśli, że cały świat kręci się wokół jego pępka. Machnąłem więc ręką, bo nic innego nie wypadalo. A potem zapytałem:

—Nie rozumiem, jak mogli w leśniczówce przenocować takiego łamagę?

—Zapłaciłem trzydzieści złotych — wyjaśnił.

—Jakie trzydzieści złotych?

—Z tych pieniędzy, cośmy zarobili za grzyby.

Tego było już za wiele. Ja ciężko pracowałem, on zachwycał się sromotnikiem bezwstydnym, a potem jeszcze funduje sobie nocleg. Chciałem go rozszarpać na drobne kawałki, lecz rozmyśliłem się, bo co by wtedy z niego zostało? Chyba krosta na nosie. Ciekaw byłem jedynie, dlaczego pies zainteresował się jego elastycznymi spodniami.

—A pies? — rzuciłem ze wstrętem.

—Co pies?

—No, dlaczego pies?

—Ja go nie drażniłem. Ja go nie zaczepiałem.

—To dlaczego przyczepił się do twoich portek?

—Bo jak wychodziłem z leśniczówki, to zaczął na mnie szczekać. Ja mu zwróciłem uwagę, że to nietaktownie, a on dalej. Zacząłem więc uciekać.

—No tak. Pamiętaj, że przed psem nie wolno uciekać, bo pies zaraz myśli, że coś podiwaniłeś, i cap za portki.

—Właśnie — westchnął Duduś. — Wyobraź sobie, taki mądry pies, że nawet mnie nie zadrapał...

Istotnie, Duduś wyszedł z tej przygody cały, a lekkie zadrapania na twarzy świadczyły o panicznej ucieczce przez gęstwiny. Pies był albo bardzo mądry, albo nie smakowało mu mięso Fąferskich.

Duduś ocknął się z chwilowego osłupienia. Spojrzał na namiot i nagle zapytał:

—Przepraszam, co będzie na śniadanie?

—Właśnie — zaśmiałem się szyderczo. — Poczekaj, jak ciotka wróci, to będziesz miał śniadanie! — Potem dodałem: — Trzeba ją koniecznie zawiadomić,

bo biedaczka na śmierć się zamartwi. Zostań tutaj, a ja walnę się do Tucholi.

Nie musiałem się walnąć, bo niemal w tej samej chwili na ścieżce prowadzącej od szosy zjawiała się nasza opiekunka z młodym milicjantem. Na nasze szczęście był to milicjant z szalowym czarnym wąsikiem, sprowadzony zapewne dla odczytania złego uroku.

Na widok Dudusia ciocia Kabała stanęła jak wryta, uniosła muskularne ręce i zawołała;

—Wiedziałam, że się odnajdziesz, bo spotkałem tego miłego pana...

—Z wąsikiem — dokończyłem, żeby zrobić cioci przyjemność.

—O, właśnie, właśnie — podjęła, a potem jak nie huknie na Dudusia, jak nie zacznie go rugać. Myślałem, że nic z niego nie zostanie. Tymczasem jednak coś

nicoś zostało i to coś niecoś zaczęło stawać okoniem.

—Przepraszam panią bardzo — powiedział — ale nawet tatuś nie pozwala sobie na takie karczemne awantury.

Zdawało mi się, że przeholował. I rzeczywiście, bo ciocia Kabała zapomniała na chwilę o swym gołębim sercu, chwyciła patyk bukowy i tak mu przyłała, że zamiast się stawiać, masował miejsce najodpowiedniejsze w tej chwili do masowania.

Duduś masował, a sympatyczny milicjant z szałowym wąsikiem kręcił nad nim głową. A gdy przestał kręcić, powiedział trochę na temat dzisiejszej młodzieży, że rozpuszczona, nie słucha starszych, ma przewrócone w głowie i że trzeba ją krótko trzymać, i w ogóle...

Nie wiedziałem, co chciał wyrazić przez „w ogóle”. Ale ciotka Kabała prawdopodobnie wiedziała. Uśmiechnęła się tajemniczo i zaznaczyła mimochodem;

— Tak, tak... Wiedziałam, że tak się skończy, bo wieczorem słyszałam głos puszczyka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

List z Tucholi:

Kochana Mamusiu, Kochana Ciociu, Kochane Bobasy! Jaka pogoda w Międzywodziu? Bo tu przepiękna. Wicherek czuwa nad nami. Od Warszawy nie spadła ani jedna kropli deszczu. Podobno wyż barometryczny ogarnął całą Polskę i wszyscy się cieszą, tylko rolnicy martwią się, bo susza. Ta pani, o której wspominałem, opiekuje się nami jak ojciec i matka. Wyszło jej w kartach, że niedługo będziemy w Międzywodziu, a więc nie martwcie się, bo to złe wpływa na trawienie, tylko miejcie nadzieję, że wnet zobaczymy się nad morzem.

Duduś nie lubi spać w namiocie, za to zawarł znajomość z pewnym psem, któremu bardzo spodobały się jego spodnie z elasty. Teraz nie chodzi w spodniach, lecz w szortach, bo tak zdrowiej i wygodniej, a przede wszystkim jest mu do twarzy. Zapomniałem, że pod Tucholą spotkaliśmy babę z pustymi wiadrami, ale nic się nie stało, bo Duduś nie wierzy w przesady. Ja też nie wierzę. Natomiast pani, która opiekowała się nami, wierzy za Dudusia i za mnie i dlatego doszło do małego nieporozumienia, po którym Duduś musiał sobie masować... Domyślcie się co? Ale to mu nie zaszkodziło. Przeciwnie. Czuje się teraz dużo lepiej i ma wilczy apetyt. Na śniadanie zjadł jajecznicę z trzech jaj, a do tego pół bochenka chleba. Mam nadzieję, że z niego coś wyrośnie.

Czy wiecie, że Tucholę założył książę pomorski Sambor I? I podobno Jan III Sobieski, zanim dał wycisk Turkom pod Wiedniem, był tutaj przewodniczącym powiatowej rady narodowej.

Musiał dobrze rządzić, bo zrazy w „Tucholance” są pierwszoklasne i w ogóle porządek. A wokół miasta mury gotyckie z czternastego wieku i Bory Tucholskie, w których jest urodzaj na grzyby.

Nie mamy czasu zbierać, bo bardzo nam tęskno do Was. Więc całujemy i zasylamy wprost z Borów Tucholskich najczulsze pozdrowie-

nia. Kończę, bo właśnie ciocia Kabała zaczyna... stawiać pasjansa. Ciekawe, co jej wyjdzie? O tym napiszę skądinąd.

Najukochańszy syn — Poldek.

RS. Duduś nie podpisał, bo wciąż sobie masuje.

Wszyscy troje siedzieliśmy w restauracji „Tucholanka” i trawiliśmy zjedzone niedawno zrazy zawijane z gryczaną kaszą. Pozwoliłem sobie przerwać cioci Kabale pasjansa i zapytać, na co właściwie czekamy.

Ciocia nie spojrzała nawet na mnie, tylko powiedziała:

— Festina lente.

Myślałem, że to jakieś zaklęcie czarodziejskie, ale Duduś, który zawsze wszystko wiedział, wyjaśnił:

— Nie wiesz, co to znaczy festina lente? To przecież łacińskie powiedzenie — spiesz się pomału.

— Jak można spieszyć się pomału? Nie rozumiem.

— Po prostu jest to odpowiednik polskiego przysłowia — co nagle, to po diable.

Zrozumiałem, że ciocia Kabała nie chciała „co nagle, to po diable”, tylko „festina lente”. Widocznie miała w tym jakiś cel. Wnet przekonałem się, że spieszenie się pomału nie jest takie głupie, jak sobie wyobrażałem.

Za chwilę bowiem przed „Tucholanką” zatrzymał się zgrabny furgonik marki „nysa”, a z furgonika wyszedł zgłodniały kierowca. Byłem już na tyle doświadczonym autostopowiczem, że po jego minie od razu poznałem rzetelnego człowieka, który byłby skłonny nas podrzucić. Ciocia wyczuła to przez skórę. Ledwie kierowca usiadł nad talerzem znakomitego kapuśniaku z boczkiem, uśmiechnęła się do niego, jakby to był przynajmniej szach perski, i zawołała:

— Wyszło mi, że pan jedzie do Wałcza. Zbaraniał nad kapuśniakiem, spojrzał na ciocię jak na czarodziejkę i nie przełknąwszy jeszcze boczku wykrzyknął:

— Jak pragnę zdrowia, do Wałcza. Skąd szanowna pani wie?

— Ba, jeżeli pan chce, to mogę panu wywróżyć jeszcze ciekawsze rzeczy.

Młody kierowca od razu znalazł się przy naszym stoliku wraz z kapuśniakiem.

— No — powiedział — ciekawe, jak to pani umie przepowiadać? Mnie kiedyś ciotka wróżyła, że będą miał pięcioro dzieci, jak pragnę zdrowia.

— Zaraz się przekonamy.

Ciotka Kabała wprawnym ruchem zgarnęła karty ze stołu, przetasowała je, chuchnęła na spodnią kartę i zaczęła układać kabałę. Kierowcy oczy wyłaziły, a ciocia wolno, karta po karcie, układała. Potem rzekła poważnie:

— Pan jeszcze kawaler...

— Jak pragnę zdrowia, zgadza się.

—Ale, ho, ho, ma pan powodzenie u kobiet... Kreci się obok pana jakaś brunetka. Ale niech jej pan nie wierzy... Przewrotna bestia...

—A niech to lichu! — zawołał kierowca. — Śpiewa pani, jakbym się wczoraj u pani spowiadał.

Ciocia Kabała uspokoiła go ruchem ręki.

—Zaraz, zaraz... niech pan się nie denerwuje. Ho! Obok pana kilka blondynek. Z pana musi być dobry Don Juan...

—Co robić, taki mój los.

—Ale najbardziej pana kocha ta ruda z warkoczami.

—Marysia, jak pragnę skonać.

—I chce za pana wyjść.

—Chce, jak pragnę, mówiła mi nawet.

—Ale pan ożeni się z inną, której pan jeszcze nie zna. I będzie pan miał troje dzieci.

—A ciotka mówiła, że pięcioro.

—Troje — przerwała mu ostro ciotka Kabała. — Wystarczy panu. Z pięciorgiem miałby pan urwanie głowy.

—Racja.

—Ho! — wykrzyknęła ciocia radośnie. — Pan to szczęściarz. Kroci się panu wysoka wygrana w totka.

—Ile?

—Za dużo chciałby pan wiedzieć. W każdym razie starczy panu na kupno samochodu.

—O to chodzi! — zawołał kierowca i chciał uścisnąć ciocię, ale ciocia zrobiła unik i dodała:

—Na kupno samochodu... karty mówią, że wybuduje sobie pan nowy domek.

—O to chodzi, jak pragnę szczęścia. Marzę o tym, żeby sobie kupić wóz na taksówkę i wybudować nowy domek.

Ciocia pogroziła mu żartobliwie:

—Tylko niech pan uważa, bo karty mówią, że pan zagląda do kieliszka... Opuścił skromnie oczy.

—No tak, zdarza się czasami. Kierowca też człowiek.

—W kieliszku pana zguba — powiedziała ciocia grobowym głosem. — Musi się pan wystrzegać kolegów, którzy ciągną do knajpy.

—No tak, proszę pani, człowiek nie chce, a koledzy ciągną.

—Ale żyć pan będzie długo i nie czeka pana żadna ciężka choroba. — Ciocia jeszcze raz przesunęła dłonią po kartach, westchnęła, a potem dodała: — A w naj bliższym czasie pojedzie pan do Wącza w bardzo miłym towarzystwie. Kierowca roześmiał się.

— To się zgadza, bo właśnie walę do Wałcza po towar dla spółdzielni, a to warzystwo?. .. — zastanowił się. — Często zabieram na autostop. Może pani w kierunku Wałcza?

— No właśnie — huknęła basowo ciocia — czekałam, kiedy mnie pan zaprosi.

W ten sposób znaleźliśmy się wieczorem w Wałczu, a Duduś obliczył, że w jednym dniu przejechaliśmy sto osiemdziesiąt sześć kilometrów. Rekord naszej podróży.

Zanim jednak dojechaliśmy do Wałcza, zdążyłem zapytać naszą czarodziejkę:

—Ciociu, bardzo przepraszam, jak ciocia to robi, że ciocia umie wróżyć z kart?

—To proste — odparła. — Trzeba mieć otwarte na wszystko oczy.

—Ja też mam na wszystko otwarte, a jednak nie potrafiłbym temu kierowcy wywróżyć, że najbardziej kocha go ruda z warkoczami.

—Z warkoczami to mi się udało.

—A z tym, że on jedzie do Wałcza?

—Za dużo chciałbyś wiedzieć.

— Ciociu, jeżeli ciocia mi nie powie, to nie będę mógł zasnąć.

Ciocia pokiwała głową.

—Będiesz spał jak suseł. A jeżeli chodzi o Wałcz, to zaraz ci wytłumaczę.

Czy widziałeś pod magazynem pezetgeesu „nysę”?

—Kiedy?

—Gdyśmy szli do „Tucholanki”.

—Nie.

—O, właśnie. A ja widziałam. I nie tylko „nysę”, ale także tego młodego, miłego kierowcę. Słyszałam również, jak rozmawiał z magazynierem i mówił, że

jedzie do Wałcza.

—Teraz kapuję. To go ciocia zastrzeliła. Ale skąd ciocia wiedziała, że on kawaler?

—Wystarczyło tylko spojrzeć na serdeczny palec prawej ręki.

—No, pewnie — wtrącił Duduś. — Nie miał obrączki.

—A skąd ciocia wiedziała, że on ma powodzenie u dziewcząt?

—Słuchaj, mój kochasiu, tacy młodzi, przystojni jak on zawsze mają powodzenie.

—To wynika ze statystyki — wtrącił Duduś. — W Polsce jest o milion kobiet więcej niż mężczyzn.

—O, właśnie — podjęła ciocia. — Trzeba tylko znać statystykę. Zapytasz za pewne, skąd wiedziałam, że kręci się obok niego brunetka? To też zupełnie proste.

Brunetki lubią blondynów, a więc jakaś brunetka musi się obok niego kręcić.

—Słusznie — zauważyłem — tylko z tą rudą to już były czary.

—Nie było żadnych czarów — zaśmiał się kpiąco Duduś. — Dzisiaj pięć dziesiąt procent blondynek farbuje sobie włosy na rudo.

—Tak — przyznała ciocia. — Trafiłam tylko z tymi warkoczami.

—To z cioci prawdziwy Sherlock Holmes. Ciocia wszystko wydedukuje.

—Jeżeli chce się dojechać do Międzywodzia, trzeba porządnie ruszać głową. Ot, wszystko.

—Jeszcze nie wszystko — zaprzeczyłem. — Bo skąd ciocia przypuszcza, że on będzie miał troje dzieci?

—Kochasiu, trzeba znać dzisiejszych mężczyzn. Do każdego trzeba podchodzić psychologicznie. Nasz kierowca wyglądał mi na troje.

—Jak to, tak sobie wyglądał?

—Po prostu wyglądał. Jedno dla niego za mało. Wie, że jedynek to grymasy w domu. Dwoje też za mało. Pięcioro za dużo. Widziałeś chyba, z jakim przeraże-

niem mówił, że ciotka wywróżyła mu pięcioro. Czwooro też niedobrze, bo parzysta

liczba, a kierowcy są przesądni. Trójka natomiast w sam raz. A o toto-lotka to już

nie pytaj. Każdy chce wygrać i każdy chce sobie kupić samochód i wybudować

domek jednorodzinny. Ludzie lubią pomarzyć...

—Tak — westchnąłem. — Ludzie lubią pomarzyć, zwłaszcza gdy im tak do brze wyjdzie z kart. Jemu wyszło i nam wyszło, bo jednym skokiem znaleźliśmy

się w Wałczu.

A w Wałczu już mi Duduś nie zaimponował. Teraz ja byłem górą. Z „Przeglądu Sportowego” wiedziałem, że znajduje się tutaj olimpijski ośrodek treningowy lekkoatletów, więc zaskoczyłem go pytaniem:

—A wiesz, co jest w Wałczu?

—Oczywiście — odparł. — Jest piętnaście tysięcy mieszkańców, są dwa nowe jeziora — Zamkowe i Raduń, poza tym Mnisia Góra, na której Prasłowianie palili zwłoki umarłych.

—Lipa — prychnąłem. — Mogli sobie palić i odprawiać rozmaite obrządki pogańskie, ale żaden z nich nie ustanowił na stadionie w Wałczu rekordu świata

wego na trzy tysiące metrów z przeszkodami.

—Bo wtedy nie było rekordów i nikt nie interesował się lekkoatletyką.

—A wiesz, kto ustanowił?

—Nie i nie chcę wiedzieć.

—Krzyszkwowiak ustanowił, bracie. Dlatego o Wałczu dowiedział się cały świat. I gdybym był przewodniczącym miejskiej rady narodowej, wznosiłbym tu

taj pomnik Krzyszkwowiakowi na środku rynku.

Tymczasem na środku rynku nie było jeszcze pomnika Zdzisława Krzyszkowiaka. Była tylko ciocia Kabała, wspaniała jak wódz Siuksów i posągowa. A obok staliśmy my, jej podopieczni — pożał się Boże.

Ciocia stanęła i roześmiała się władczo, jak gdyby chciała powiedzieć: „Przejmuję ten kraj pod moje berło”. Ale zamiast tego powiedziała:

— Okropnie jestem głodna. Gdzie tu jakaś dobra gospoda?

W tej chwili poczułem, że i mój organizm domaga się gwałtownie odpowiedniej ilości witamin i kalorii, więc również się rozejrzałem, a moje bystre oko spoczęło na wielkim szyldzie: „Bar Turystyczny — zaprasza na zimne przekąski i gorące dania. Kuchnia wykwinna. Ceny umiarkowane”.

Skorzystaliśmy więc z tego zaproszenia. A co było dalej, opowiem w następnym rozdziale, bo już byłem bardzo głodny.

Dalej były pyszne nóżki wieprzowe z chrzanem, sałatka wiosenna i herbata. Razem mniej więcej tysiąc dwieście kalorii, nie licząc chrzanu. Wrabiliśmy to wszystko z wielkim apetytem, chwając wykwinną kuchnię i umiarkowane ceny.

Muszę wspomnieć, że od Wieżycy ciocia zabawiła się w dobrą ciocię z Ameryki i wszystko za nas płaciła. W kasie mieliśmy więc dwieście szesnaście złotych i sześćdziesiąt groszy mniej trzydzieści złotych za nocleg Dudusia w leśniczówce, a więc sto osiemdziesiąt sześć złotych i sześćdziesiąt groszy. Honor nie pozwalał na to, żeby ciocia wciąż za nas płaciła. Powiedziałem to Dudusiowi, lecz Duduś nie miał honoru i nie zrozumiał.

— Jeżeli ma ochotę, to niech płaci. Pieniądze przydadzą się na czarną godzinę. Nie miałem zamiaru czekać na czarną godzinę. Powiedziałem więc cioci Kabale, że chcemy jej zwrócić za to wszystko, lecz ona mnie tylko ofuknęła:

— Nie zwracaj głowy, rozliczymy się w Międzywodziu z rodzicami.

W tym miejscu przewrotność Dudusia sięgnęła szczytu.

Odciągnął mnie na bok i zapytał:

— Czy tobie nie wydaje się to podejrzane, że ta pani chce za nas płacić?

— Człowieku, przecież przed chwilą byłeś zadowolony.

— Tak, ale teraz coś podejrzewam.

— Co?

— Może ona chce wyłudzić od naszych rodziców pieniądze za to, że się nami opiekuje?

— Człowieku — zgorszyłem się — nie ma takiej forszy, którą można by zapłacić za opiekę nad tobą. Giniesz na całą noc, ciotka włosy sobie z głowy wrywa,

a ty opowiadasz takie rzeczy. Nie wstyd ci?

Dudusiowi nie było wstyd.

— Nie wiadomo — powiedział. — Wszystko jest możliwe. I w ogóle nie podoba mi się ta osoba.

Jasne, gdybym dostał bukowym kijem w miejsce przeznaczone do tego celu, też by mi się nie podobało.

— I przestrzegam cię — dokończył Duduś. — Ta osoba wygląda mi na bardzo chytrą i tajemniczą.

— Nie wymądrzaj się. Płaci za ciebie, opiekuje się tobą jak własnym synem, wyteża komórki mózgowe, żeby cię cało zawieźć do mamy, a ty się tak odwdzięczasz.

— Sam przecież mówiłeś, że ona jest tajemnicza. Kto jej na przykład powie działo, że mój tatuś pracuje w Płocku, a ciocia Anka ma narzeczonego?

— Przecież dobrze wiesz, że z kart jej tak wypadło albo z fusów.

— Z jakich fusów?

— No, ze zwykłych. Ona może wróżyć sobie z fusów.

— Ja nie wierzę w żadne wróżby.

— W przesady też nie wierzyłeś, a pies podał ci portki.

— To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

— Mój Dudusiu — zakończyłem tę dyskusję. — Zdaje mi się, że najniebezpieczniejszym zbiegiem okoliczności na świecie jesteś ty.

Obraził się i zapadł w głęboką zadumę. Ciocia Kabała tymczasem poszła załatwiać drobne sprawunki. Ostrzegła nas, żebyśmy, broń Boże, nie ruszali się z miejsca i czekali na nią. Gdy ma się czternaście lat i jest się w mieście, gdzie Krzyszkowiak pobił rekord świata, trudno nie ruszać się z miejsca. Wyszedłem więc przed bar, usiadłem na plecaku i zapatrzyłem się w smukła topole, na których wróble odbywały swój sejm. Nudne zajęcie. Toteż pozwoliłem rozwinąć się wyobraźni i w ciągu następnej minuty pobiłem rekord świata w skoku wzwyż i w biegu na czterysta metrów przez płotki.

Miałem pobić jeszcze rekord Polski w rzucie oszczepem, ale zabrakło mi czasu. Na rynek walecki wtoczyła się bowiem olbrzymia ciężarówka Centrali Przemysłu Mięsnego. Oczekiwałem, że za chwilę z ciężarówki wyskoczą bekony albo tuczniaki, tymczasem wyskoczyła cała wataha autostopowiczów. Początkowo myślałem, że to Meksykańczycy, ale nie. Nie mieli kapeluszy sombrero, gitar ani napisów na plecach. Mieli natomiast strasznie dzikie spojrzenia, strasznie wąskie spodnie, strasznie długie szpice u butów i włosy opadające na oczy, jak u pudli. Idąc podrygiwali, jakby ich coś swędziało lub łechtalo w pięty.

Zrozumiałem, że to zupełnie nowy gatunek. Po chwili przekonałem się, że to „twistowcy”. Zaraz wyjęli z plecaka magnetofon, włączyli go do kontaktu w „Barze Turystycznym”, i zaczęli tańczyć na chodniku.

Zabawne widowisko. W dali Mnisia Góra, na której Prasłowianie palili zwłoki i odprawiali pogańskie gusła, wokół krajobraz i dwa rynnowe jeziora, na rynku atmosfera z czternastego wieku, a oni nic, tylko twist, twist, twist. Jakby nie mogli

wytwistować się w Warszawie. Wzrok dziki, grzywy jak u Beatlesów, a drgawki jak u chorych na padaczkę. Boki zrywać.

Byłem pewny, że twistowcy nie jedzą, nie śpią, tylko tańczą twista. Ale myliłem się, bo gdy się już dobrze wytańczyli, rzucili się na bufet w barze i w ciągu kilku minut opróżnili do ostatniego marynowanego śledzia. Widocznie twist wpływa dobrze na apetyt.

Po chwili na horyzoncie zjawiała się ciocia Kabała. Zbliżała się z tajemniczą miną, jak gdyby miała coś ważnego do zakomunikowania. Na jej widok twistowcy ryknęli dziko i radośnie i rzucili się w jej objęcia, a potem na jej cześć zatańczyli jeszcze jednego twista.

Wydało mi się nieco podejrzanę, skąd ciocia Kabała w takiej dobrej komitywie z bandą rozhukanych tancerzy. Podeszedłem więc do jednego z nich i zapytałem.

— Przepraszam, skąd znacie ciocię?

Spojrzał na mnie z góry.

— Ciocię Ule? Któż nie zna cioci Uli? Przecież to królowa autostopu. W sześćdziesiątym pierwszym roku zdobyła pierwszą nagrodę „Sztandaru Młodych”.

— „Sztandaru Młodych”? — powtórzyłem, chociaż nie miałem zamiaru.

— Co się dziwisz? Ma piętnaście tysięcy na liczniku, a w sześćdziesiątym pierwszym roku przejechała dwa tysiące trzysta kilometrów.

— Na jakim liczniku? Przecież ciocia nie ma licznika.

— Tak się mówi — wyjaśnił. — To znaczy, że na książeczce ma piętnaście tysięcy kilometrów. Rekordzistka. Nie ma takiego kierowcy, który by jej odmówił.

Raz jechała nawet z ministrem, a kiedyś przejechała pół Polski tylko karetkami

pogotowia. Była na Węgrzech, w Jugosławii i w Bułgarii. I w ogóle największy

pistolet wśród naszej wiary.

— I umie czarować — dodałem w uniesieniu.

— Jak nikt inny — dokończył twistowiec, zostawiając mnie pełnego podziwu.

Nie słyszałem już muzyki ani szumu topoli, ani dzikich okrzyków twistowców. Stałem zupełnie oszołomiony. Oto sensacja pierwszej klasy. Od dwóch dni podróżujemy z królową autostopu, a Duduś stawia się sztorcem. Od Wieżycy opiekuje się nami osoba, która zdobyła pierwszą nagrodę „Sztandaru Młodych” za przejechanie dwóch tysięcy trzystu kilometrów w ciągu jednego sezonu, a Duduś ją podejrzewa. Królowa ma piętnaście tysięcy na liczniku, a Duduś woli spać w leśniczówce. Powinien teraz spalić się ze wstydu.

Duduś nie miał jednak zamiaru spalić się ze wstydu, bo gdy mu o tym wszystkim powiedziałem, wydał wargi i prychnął:

— Phi, wielka rzecz. Czytałem, że pewien Anglik przejechał Saharę na rowrze i też nic się nie stało.

Mów tu z takim. Ma przed sobą Królową Autostopu, a tymczasem mówi „phi!” Zupełnie upośledzony.

—Człowieku — zawołałem — ty nie masz w ogóle pojęcia, z kim my jedzie my.

—Mam — odparł. — I właśnie dlatego dziwię się, że nie jesteśmy jeszcze w Międzywodziu.

Chciałem go palnąć w ucho, ale opadły mi ręce. Każdemu by opadły, gdyby usłyszał taką odpowiedź. Splunąłem więc z obrzydzeniem i zacząłem rozglądać się za ciocią Kabałą.

Ze zdumieniem ujrzałem ją tańczącą z twistowcami.

Dopiero ciocia im pokazała, jak należy tańczyć twista. Był to dziki taniec Praindian, którzy po polowaniu na bizona, przy świętym ognisku dziękują duchom przodków za pomoc w łowach. Te same duchy indiańskich wojowników wstąpiły zapewne w ciało naszej królowej autostopu, bo to, co pokazała, przechodziło nawet moją wyobraźnię. Jednym słowem — wszystkich zakasowała.

Na zakończenie twistowcy zaśpiewali jej „Sto lat”, a potem podrzucili do góry. Wziąwszy pod uwagę jej rozmiary i wagę, był to wyczyn godny mistrzów w podnoszeniu ciężarów.

Ja też śpiewałem „Sto lat” i łzy mi ciekły ze wzruszenia. Bo to przecież zaszczyt jeździć z taką ważną i sławną osobą. Chciałem jej to powiedzieć, ale jak tu mówić, kiedy łzy cisną się do oczu i ściska coś za gardło.

Dopiero gdy usiedliśmy z ciocią, zahaczyłem nieśmiało:

— Ciocia ma na liczniku piętnaście tysięcy kilometrów, a nic nam o tym nie powiedziała.

Mrugnęła do mnie porozumiewawczo:

— Nie powiedziała, bo mam dużo ważniejszą wiadomość. Wyobraź sobie, mama telefonowała.

Dopiero teraz naprawdę mnie zamurowało.

Mama?... Telefonowała?... Jakim cudem?

Ciocia Kabała zmrużyła drugie oko.

— Po prostu telefonowała, bo mnie rano swędziało za lewym uchem.

— Pani sobie z nas żartuje — wtrącił Duduś.

Ciocia Kabała machnęła w jego stronę ręką.

—Ty lepiej cicho siedź. Rozmawiałam również z twoją mamą. Powiedziała, żeby cię krótko trzymać, bo jesteś rozpuszczony przez babcię i tatusia.

—Skąd mama wiedziała, że my jesteśmy w Wałczu? — zapytałem zdumiony.

—Mamę widocznie swędziało za prawym uchem i domyśliła się. Zresztą, o nic mnie nie pytajcie, bo i tak wam nie powiem. Najważniejsze, że rodzice

zgodzili się na naszą dalszą podróż autostopem...

—Hurrra! — zawołałem radośnie i, nie zważając na nic, zacząłem tańczyć wokół cioci Kabały bojowy taniec łowców głów.

Duduś wcale się nie ucieszył. Zrobił jamnikowatą minę i powiedział:

— Phi, teraz cała podróż straciła urok.

Dla mnie podróż wcale nie straciła uroku. Zdaje mi się, że żadna podróż uroku nie potrafi stracić, a co dopiero taka — autostopem. Jedziemy sobie przez polską ziemię. Ciągnie nas sto mechanicznych mustangów, a za każdym zakrętem czeka niespodzianka. Nie wiadomo, co się wyłoni: srebrzysta tafla żyta czy brzozy zagajnik, ściana starego lasu czy ciemne jezioro. Możesz zgadywać i nigdy nie zgadniesz, bo nasza ziemia jest piękna i tak urozmaicona, że nikt tego nie potrafi opisać.

I każdy dzień jest inny.

A najciekawsze, że sam się zmieniasz. Pod Płońskiem byłem naburmuszony i burczało mi w brzuchu. Na jeziorze Mieliwo rozmarzony i pełen zadumy. W Wieżycy najpierw przestraszony, a potem nagle wniebowzięty. Wszędzie niby ten sam, a jednak inny, jakbym zmieniał skórę.

Przypuśćmy, że jadę pociągiem do Szczecina. Czy mógłbym ujrzeć wspaniałą Wieżę Mazurską albo Branie Chełmińską z końca czternastego wieku? Czy mógłbym nocować pod najpiękniejszymi gwiazdami Mazowsza i łykać balsamiczne powietrze Borów Tucholskich? Gdzie tam! Łykałbym najwyżej ciepłą lemoniadę na dworcu i sadze z lokomotywy. A tak, po drodze, widziałem siwe czaple i Dudusia na najwyższym dębie. Co tu dużo mówić, nie ma to jak podróż autostopem. Poznajesz krajobraz i historię ziemi ojczystej — bez wysiłku i bez ślęczenia nad książką. Spotykasz ludzi, o których nawet ci się nie śniło. Bo czyż śniło mi się kiedykolwiek, że sławny fizyk atomowy fundnie mi lody i przewiezie najnowszym modelem „fiata”? Albo że królowa autostopu, która ma na liczniku piętnaście tysięcy kilometrów, będzie mi mówiła, tak po prostu, kochasiu. Nie wspomnę już o wspaniałej karierze filmowej, która mnie czekała, bo bym się mógł zbyt szybko wbić w pychę, a tego nie znoszę.

A więc, niech żyje autostop!

Myśli takie najchętniej plątają się po głowie przy ognisku. Wokół jest ciemno. Wiatr gawędzi w konarach drzew, woda pluska o brzeg, a my wpatrzeni w płomienie siedzimy we troje i rozmyślamy. Każdy o czym innym oczywiście, a nikt nie wie, o czym rozmyśla drugi. I na tym polega urok.

Duduś prawdopodobnie o niczym nie rozmyślał, bo ziewał rozkosznie i wciąż zezował na krostę na nosie. Ciocia Kabała natomiast myślała za siebie i za niego. W łunie ogniska widziałem jej szlachetne oblicze indiańskiego wodza i bruzdę, która złościła jej wyniosłe czoło.

Nie wiem, jak to się stało, lecz w zamyśleniu ni stąd, ni zowąd zawołałem głośno:

— Niech żyje autostop!

Duduś ocknął się, ciocia się roześmiała, i wnet prysnęła zaduma.

— Co ty wykrzykujesz? — zapytała ciocia Kabała.

Opowiedziałem jej w kilku słowach swoje autostopowe rozmyślenia, a na koniec dodałem:

—I zdaje mi się, że już do końca życia będę jeździł autostopem.

—Zahamuj, kochasiu — powiedziała ciocia Kabąła. — Najpierw musisz skończyć osiemnaście lat, otrzymać kartę i dopiero wtedy zaczniesz prawdziwie podróżować.

—To okropnie trudno tak czekać i czekać. Czy ja jestem winien, że mam dopiero czternaście lat?

—W twoim wieku można podróżować w towarzystwie starszych.

—Z ciocią na przykład — wyrwałem się niebacznie. Zapomniałem, że mam przed sobą królową autostopu, która zdobyła puchar „Sztandaru Młodych”.

Gdzież taka osobistość zechciałaby jeździć z początkującym. Myślałem, że

ciocia mnie rugnie, a ona tymczasem zamyśliła się. Podniosła z ziemi nie

dopaloną

patyk, zaczęła grzebać w ognisku. Iskry posypały się suto i płomienie

zatańczyły

weselej.

—Masz zadatki na dobrego autostopowicza — powiedziała po chwili. — Przede wszystkim lubisz przyrodę, a to najważniejsze. Jesteś odważny i

przedsię

biorczy, to też ważne. I lubisz ludzi... Zobaczymy, może na przyszły rok

wezmę

was ze sobą. Musicie jednak do końca naszej podróży wykazać, że zasługujecie

na to.

— Jak babcię Kocham, wykażę! — zawołałem pełen zachwytu.

Duduś potarł koniec nosa.

—My już będziemy mieli nowe auto — zauważył. — Jeżeli ma się auto, to nie trzeba jeździć autostopem.

—Chwała Bogu — ucieszyła się ciocia. — Przy tobie osiwiłabym do reszty. Więc życzę ci szczęśliwej drogi nowym samochodem.

—Z tym samochodem — wtrąciłem — to jak z kanarkiem na dachu. Od pięciu lat wuj Faferski kupuje...

—W tym roku kupi na pewno — przerwał mi Duduś — bo dostanie wysoką premię.

—Dobrze, dobrze — uspokoiła nas ciocia. — W takim razie pojedziemy sami z Poldkiem.

Miałem ochotę zerwać się i odtńczyć przy ognisku taniec łowców słoni, lecz zrozumiałem, że nie wypada. Zawołałem więc:

—Jakby to było wdechowo. Daję słowo harcerskie, że teraz żaden głupi po myśl nie wpadnie mi do głowy i wykażę, że zasługuję... Przecież to

wspaniale

podróżować z królową autostopu. Nie śniło mi się nawet! A jaką trasę

wyberze

my?

—Uspokój się, kochasiu — zastopowała mnie ciocia — Najpierw musimy dojechać do Międzywodzia. A co będzie na przyszły rok, licho wie.

— Tak, ale czasem przyjemnie jest trochę pomarzyć. Chciałbym zobaczyć Bieszczady. Podobno w Bieszczadach są jeszcze rysie, żbiki i wilki, a ja lubię, jak jest tak pierwotnie.

Ciocia wstała. Gdy na nią spojrzałem, zdało mi się, że jest wysoka jak otaczająca ją sosny. I wspaniała... najwspanialsza chyba na świecie...

— Dobrze się składa — powiedziała. — Jest już późno. Przed snem będziesz mógł pomarzyć o Bieszczadach. A jutro opowiesz mi, jak ci wypadło to twoje marzenie. — Uniosła rękę jak wódz czerwono skorych przed bitwą. — A teraz, kochasie, spać. Jutro ma dyżur Duduś.

Zrozumiałem, że przez jutrzejszy dzień zostajemy pod Wałchem na biwaku.

Duduś — jeżeli go dobrze znacie — nie przejął się wcale tym, że ma dyżur. Gdy ciocia o siódmej zrobiła pobudkę, Duduś przewrócił się na drugi bok, chrapał sobie aż miło. Lecz ciocia miała sposób na Dudusia. Umaczała w wodzie ręcznik i nie wycisnąwszy go, powiesiła nad głową Faferskiego.

Duduś chrapał na melodię „Hej, przeleciał ptaszek”, a z ręcznika kap, kap, prosto na jego twarz. Początkowo ocierał twarz, jak gdyby opędzał się od much, potem zaczął się niespokojnie wiercić, wreszcie zerwał się z piekielnym krzykiem:

— Jezus Maria, deszcz!

Ryknęliśmy głośno i zdrowo, mimo że byliśmy jeszcze przed śniadaniem. Duduś rozwarł szeroko oczy, otrząsnął się jak mokry pies i wystękał:

—Niesmaczne żarty.

—Pobudka! — zawołała ciocia Kabała. — Nie gniewaj się, kochasiu, tylko zabieraj się do roboty. Najpierw musisz nam wszystkim ugotować śniadanie. Duduś skrzywił się niemiłosiernie.

—Ja? Śniadanie? Przepraszam bardzo, ale nigdy w życiu nie gotowałem.

—Kiedyś trzeba zacząć.

—Czy pani ma książkę kucharską? — zapytał z szatańskim uśmiechem.

—Nie, mój kochasiu, śniadanie będzie proste: jajecznica z jajek w proszku, chleb z masłem i kakao na sproszkowanym mleku.

—Przepraszam bardzo — rzekł układnie — ale ja nie uznaję jajek w proszku.

—A my nie pytamy ciebie, czy uznajesz, tylko jesteśmy głodni i chcemy jeść.

—Zresztą lekarz zabronił mi pić kakao, bo jest ciężko strawne. W domu piję zawsze herbatę z mlekiem.

—Smacznego — zażartowała ciocia Kabała. — Jeżeli chcesz herbaty, to możesz sobie osobno ugotować. Jest w prawej kieszeni plecaka. Ale my bardzo pro

simy o kakao. — Ciocia spojrzała na zegarek. — Jest pół do ósmej.

Tymczasem

pójdziemy nazbierać poziomek. Mam nadzieję, że za godzinę możemy wrócić. Powodzenia.

Zabraliśmy nylonowe torebki, wyruszyliśmy w las, zostawiając w obozowisku zrozpaczonego Dudusia.

— Ciociu — powiedziałem. — przecież on nawet nie umie rozpać ogniska. Wie, ile kilometrów jest stąd do Marsa, ale kucharz z niego — pożał się Boże. My chyba z głodu zginiemy.

Ciocia uśmiechnęła się tajemniczo.

— Nie martw się, już niejednego takiego gogusia wychowałam. Duduś musi dostać w kość. Niech skorzysta z naszej podróży.

— Ja też tak sądzę, ale szkoda jajecznego proszku. On z niego zrobi beton, a z kakao czekoladowe kluski na wodzie.

— Nie szkodzi. Powinien się czegoś nauczyć.

Trochę żał mi było Dudusia, a zwłaszcza babci Fąferskiej, która zawsze uważała, że jej wnuk stworzony jest do wyższych celów. Gdyby go teraz zobaczyła płaczącego nad jajecznicą w proszku, załamałaby z rozpaczony rękę. Ale cóż mogłam zrobić, skoro ciocia Kabała postanowiła wychować Dudusia. Nic więc nie uczyniłam, tylko na porębie zacząłem zbierać poziomki własnym systemem — jedną do woreczka, drugą do ust.

Niech się schowają kuropatwy babci Fąferskiej i jej placek z wiśniami. Nie ma to jak świeże poziomki, prosto z krzaczka, wilgotne jeszcze od rosy, soczyste, pachnące.

Słońko przygrzewa, w powietrzu wirują barwne muszki, motyle siadają na kwiatach, dzieciół gdzieś niedaleko stuka w sosnę, a my nic, tylko zbieramy i myślimy, jakie to będzie śniadanie, a w przerwach podziwiamy piękno natury.

— Słuchaj, kochasiu — zagadnęła ciocia — czy Duduś zawsze był taki?

— Zawsze. Może nawet gorszy. Tutaj przynajmniej nie ma szkoły. Bo gdyby była szkoła, to zaraz zaczęłyby na mnie skarżyć. Mówię cioci, nieszczęście chodzić

z takim ciotecznym bratem do jednej klasy. Zdaje mi się, że on już taki przyszedł na świat.

— Bardzo ci współczuję. Jak sądzisz, czy ta podróż nauczy go czegoś?

— Pewno, że go nauczy. Teraz przynajmniej wygląda jak człowiek. Mówię cioci, gdyby go ciocia zobaczyła w Warszawie, toby ciocia zemdląła. Laluś do

siódmej potęgi. A teraz to nauczył się pchać wózek z gratami i rozbijać namiot.

Gdyby jeszcze zapomniał o swoim kochanym tatusiu i babci, to może byliby z niego ludzie.

— Tak — westchnęła ciocia — jemu brakuje twardej szkoły. To nawet dobrze, że nauczy się teraz trochę samodzielności.

— To wdechowo, tylko z tym śniadaniem, ciociu, będzie kłapa. Jeżeli się nie mylę, czuję swąd przypalonej jajecznicy.

—To pewno zapach spalenizny — wyjaśniła ciocia. — Wypalali tutaj korze nie. A jeżeli chodzi o śniadanie, wierzę, że Duduś jest ambitny i da sobie radę.

—Zobaczmy.

Zbieraliśmy jeszcze chwilę poziomki, a gdy zbliżało się pół do dziewiątej, ciocia dała znak do powrotu. Szedłem markotny, bo byłem przekonany, że Duduś nie rozpałił jeszcze ogniska, a tymczasem mój zdrowy organizm dopominał się kalorii i witamin. Poziomkami można się delectować, ale nie można się najeść. Nie wierzyłem w wychowawczą próbę cioci, a przede wszystkim w jajecznicę ze sproszkowanych jajek. Ciocia Kabała jednak wierzyła. Szła pogodna, jak gdyby wracała z pomyślnych łowów.

Z daleka, między pniami, ujrzeliśmy brzeg jeziora, żółty namiot, seledynową smugę przybrzeżnych trzcin i — o dziwo — prosty słup dymu. Zamurowało mnie. Duduś jednak potrafił rozpałić ognisko.

—A widzisz — szepnęła ciocia Kabała — mój system wychowawczy zdaje już egzamin.

—W porządku - odparłem — ale dymem nikt się jeszcze nie najadł, a ja czuję, że mi kiszki marsza grają.

—Bądź cierpliwy.

Byłem cierpliwy. Do samego obozu nie powiedziałem ani słowa. Kiedy stanęliśmy przy namiocie, znowu mnie zamurowało.

Duduś siedział przy ognisku jak Huck Huckelburry nad rzeką Missisipi; po indiańsku, z powagą starego trampa wbijał w krzyże naleśniki.

Spojrzałem w górę, czy ktoś z nieba nie spuszcza naleśników na patelnię. Ale w górze nie było nic prócz jasnego błękitu. A tymczasem naleśniki drażniły nozdrza rozkosznym zapachem, aż ślinka leciała do ust.

— Skąd te naleśniki? — zapytała zdumiona ciocia Kabała.

Duduś nawet na nas nie spojrzał. Na jego twarzy błąkał się szatański uśmiezek.. A naleśniki — jakby nigdy nic — leżały sobie na patelni.

— Przecież miałeś zrobić jajecznicę! — wrzasnęła.

Duduś uśmiechnął się tajemniczo.

—Chciałem wam zrobić niespodziankę. Doszedłem do wniosku, że proszek jajeczny bardziej nadaje się na naleśniki.

—A mąka? Skąd wzięłeś mąkę?

—Znalazłem w plecaku.

—A gdzie kakao?

—Kakao i herbata stoją na żarze. Chciałem, żebyście wypili gorące, bo rano dobrze jest napić się czegoś gorącego. — Wbił zęby w naleśnik, który dyndał mu

na widelcu, i dokończył z ironicznym uśmieszkiem: — Jedzcie, bo wystygnie.

Gotów byłem uwierzyć, że ciocia Kabała naprawdę ma konszachty z ciemnymi siłami. W ciągu godziny zamieniła stuprocentowego mieszczucha w stupro-

centowego trampa, a do tego spuściła z niebios gotowe naleśniki. Ale zacząłem coś podejrzewać.

— Skąd wytrzasnąłeś książkę kucharską? — zapytałem podstępnie.

Duduś wydał wargi.

— Phi, nie trzeba książki kucharskiej, naleśniki to najprostsza potrawa. Trzeba tylko utrafić gęstość ciasta, a reszta to mięta. A kakao w ogóle się nie liczy. Kilkumiesięczny osesek potrafi je ugotować.

Ciocia Kabała rozwarła szeroko ramiona.

— Gratuluję! — zawołała.

Duduś powinien wpaść w rozwarte ramiona cioci, ale zamiast tego zabrał się do następnego naleśnika.

— Obliczyłem — powiedział — że naleśniki, chleb z masłem i kakao to razem około dziewięćset kalorii. Mam nadzieję, że wystarczy na śniadanie.

Wystarczyło, bo naleśniki były pyszne, kakao zawiesiste, a chleb tak równo pokrajany i tak solidnie posmarowany, że nawet maszyna matematyczna nie zrobiłaby tego lepiej.

Ciocia Kabała była wniebowzięta, natomiast ja coraz bardziej podejrzliwy. Coś mi tutaj nie klapowało. Trudno bowiem uwierzyć w cud przeistoczenia Dudusia w ciągu jednej godziny. A jednak wszystko na to wskazywało, że Duduś przełamał trudności, wziął się za siebie i pokazał, co umie.

Duduś lubił pokazywać, co umie. Powiedział, że śniadanie było jedynie prelude. Prawdziwy koncert gotowania da nam dopiero przy obiedzie. Prosił jedynie, żebyśmy mu nie przeszkadzali, bo gdy gotuje, powinien być skupiony.

Zgodziliśmy się chętnie. Któż ośmieliłby się przeszkadzać mistrzowi?

—A co będzie na obiad? — zapytała ciocia.

—To wielka tajemnica. W każdym razie przyrzekam, że pani nie będzie mogła wyjść z podziwu.

Ha, trzeba przyznać, że do tej pory i ja nie mogłem wyjść z podziwu. Duduś nas oczarował. Wprowadził w zachwyt, w stan zupełnej błogości. Po naleśnikach miało być coś zaskakującego i oszałamiającego. Coś s u p e r !

I było.

Tymczasem ciocia Kabała zaproponowała, żebyśmy poszli na przystań, pożyczili kajak i wypłynęli na jezioro. Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Marzyłem o tym, by popływać kajakiem.

Szliśmy leśną ścieżką. Po śniadaniu świat jest weselszy o kilka kresek. Kalorie bowiem nie tylko wzmacniają organizm, lecz wpływają również rozweselająco. Nic dziwnego, że zaraz zagwizdałem „Kolorowe parasolki”. Ciocia Kabała mi zawtórowała i zdawało nam się, że cały świat do nas należy. Do przystani było dwa kilometry, ale aniśmy się nie obejrzel, jak byliśmy na miejscu.

Na miejscu okazało się, że nic nie wyjdzie z naszej kajakowej wycieczki, bo ciocia zapomniała portmonetki z pieniędzmi. Trudno, nawet królowej autostopu

może się zdarzyć, że zapomni. Powiedziałem więc, że skoczę na jednej nodze po pieniądze.

— Tylko prędko, kochasiu — przynagliła mnie ciocia.

Skoczyłem więc na jednej nodze, a może na dwóch, już sobie nie przypominam. W każdym razie gdy dobiegłem do obozu, byłem cały mokry i ledwo dyszałem. Czekala mnie nowa niespodzianka. Nie było ani portmonetki, ani Dudusia.

Znowu pokazał, co umie.

Regulamin obozowy zabraniał oddalać się od namiotu, a on tymczasem gwizdał sobie na regulamin, a przede wszystkim na portmonetkę i portfel cioci Kabały. Miały być w wewnętrznej kieszeni plecaka, tam gdzie czysta bielizna. Tymczasem nie było ich nigdzie. Zostało tylko rozczarowanie i żal do Dudusia. Rozejrzałem się po wierzchołkach drzew — może Duduś znowu ukrył się przed odyńcem? Niestety, na drzewach go nie było. Nie tylko na drzewach, ale nawet w okolicy, bo gdy zacząłem go wołać, odezwało się to, co w lesie zwykle się odzywało. Echo. Cóż robić?

Usiadłem na plaży i czekałem.

Naraz coś za mną zaszeleściło. Byłem pewny, że to Duduś, ale gdy się obejrzałem, włosy zjeżyły mi się na głowie. Ujrzałem białe, błyszczące oczy, białe zęby i nic więcej, jak gdyby te oczy i zęby zawisły w powietrzu. A potem usłyszałem cichy głos:

— Przepraszam, gdzie moja mała przyjaciela?

Zerwałem się. Chciałem uciekać w popłochu, ale nogi odmówiły posłuszeństwa, bo w takich wypadkach zwykle odmawiają. A ten sam głos odezwał się łagodnie:

— Nie bój się, ja też twoja przyjaciela.

Dopiero teraz odważyłem się otworzyć oczy. Prócz białych zębów i białych oczu zobaczyłem nareszcie czarną twarz wychylającą się z gęstych krzaków. „Murzyn, jak babcię kocham! Skąd nad prasłowiańskim jeziorem znalazł się nagle łowca słoni?” Murzyn roześmiał się głośno.

— Alem cię nastraszyła!

Był rośli, barczysty, miał ciało jakby wyrzeźbione z hebanu. Same mięśnie. A twarz pogodną i oczy roześmiane. Przez chwilę zdało mi się, że jestem nad jeziorem Tanganika i spotkałem łowcę głów. Ale Murzyn wnet rozwiął moje złudzenia.

— Nie bój się — powtórzył. — Ja studenta z Łodzi. Ja dopiero na pierwsza roka i nie umie dobra po polsku.

Wyłonił się z krzaków, rozejrzał się, jakby kogoś szukał.

— Gdzie moja mila przyjaciela, Dudusza? — zapytał.

Bach! Jeszcze jedna sensacja. Nic o tym nie wiedziałem, że Duduś przyjaźni się z czarnym studentem z Łodzi. Widocznie ukrywał przede mną.

— Sam chciałem wiedzieć — odrzekłem.

—Miała tu być o jedenasta godzina. Umówiła się ze mną.

—Bardzo mi przykro, ale go nie ma.

—To niedobra, to niedobra — czarny student pokręcił głową. — Powiedz mu, że ja tu była i że ja będę dwunasta godzina.

Chciał odejść. Zatrzymałem go jednak, bo bardzo mi się spodobał i byłem ciekawy, co go łączy z naszym Dudusiem.

—Przepraszam, czy pan zna Dudusia z Warszawy?

—Nie — odparł z uśmiechem. — Ja go poznała rano. Pływała w jeziorze i poznała Dudusza.

—Tutaj rano? — zdziwiłem się.

—Tak. Tutaj rano. Dudusza nie potrafiła rozpałić ognia. On taka mała fujara, ale bardzo sympatyczna.

—Mała fujara — powiedziałem. — Nie mała, tylko duża.

—Może być duża fujara, bo nie potrafiła ugotować kakao ani jajecznic. Prosiła, żebym mu pomogła, to ja pomogła. Ale jajecznic niedobra z proszku, to ja

zrobiła naleśnika, bo naleśnika dobra.

Teraz już osesek odgadłby tajemnicę kucharskich sukcesów Dudusia. A to chytra sztuka! Jak Robinson Kruzoe, znalazł swego Piętaszka, który za niego wszystko robił. I jeszcze chciał nam zaimponować obiadem. Przebiegła sztuka. Wysła nas na grzybki, a sam sprowadza sobie Piętaszka, żeby za niego gotował obiad. Potem z miną szatana zbiera pochwały i gratulacje.

Chciałem go skompromitować, ale nie wypadało. Student był tak sympatyczny i tak przyjacielski, że nie chciałem ośmieszyć Dudusia. Wyciągnąłem więc rękę i uściśnięłem mu dłoń.

—Gratuluje. Dzięki panu zjedliśmy wspaniałe śniadanie. Naleśnika były po prostu wdechowe.

—Nie wdechowa — zaprotestował skromnie. — Ze świeża jajka byłaby lepsza.

—I bardzo się cieszę — dodałem — że pana poznałem.

—Ja bardzo lubię taką miłą chłopca. Ty moja miła przyjaciela i ja twoja przyjaciela i Dudusza moja przyjaciela — powiedział pokazując wspaniałe białe zę

by. — Ja was zaprasza na festiwału muzyka i tańca murzyńska. Tu niedaleko jest

oboza afrykańska studenta. Wieczorem będzie śliczna ogniska. Będą kolega z Su-

dana, z Mali i z Ghana. Będą tańce i śpiewa, i wesoła zabawa. Ja was zaprasza...

—A pan skąd?

—Ja z Ghana.

—To bardzo mi przyjemnie. Kolega mojego ojca był w Ghanie. Budował tam fabrykę cementu.

—W Ghana bardzo, bardzo lubię Polaka.

—A my bardzo, bardzo lubimy studentów z Ghany.

Gawędziliśmy przyjaźnie na brzegu jeziora Radunia: ja, biały chłopiec z Warszawy, i on, czarny student z Akry. I od razu zaprzyjaźniliśmy się serdecznie. Trudno było nam się rozstać. Wreszcie jednak rozstaliśmy się.

Student znikł w zaroślach, a ja zostałem pod namiotem. Cóż miałem robić, skoro nie było Dudusia. Nie mogłem zostawić obozu bez opieki.

Wnet jednak między pniami zamajaczyły białe szorty Dudusia. Robinson Kru-zoe nie miał tak triumfalnej miny, gdy wsiadał na statek, jak nasz Duduś, kiedy zbliżył się do mnie.

— Gdzie byłeś? — zawołałem. — Przecież wiesz, że nie wolno opuszczać obozu. I gdzie pieniądze?

Duduś rzucił mi pogardliwe spojrzenie.

— Nie denerwuj się, bo dostaniesz nadkwasoty żołądka. Byłem po mięso. Dość mam już konserw i zawijanych zrazów. Zobaczysz, jakie będą befsztyki.

— A pieniądze?

— Masz i nie patrz tak na mnie. Pozwoliłem sobie wydać czterdzieści złotych i osiemdziesiąt groszy. — Podał mi portfel cioci Kabały. — Mam nadzieję, że

będziecie wreszcie zadowoleni. Pokażę wam, że i ja umiem coś niecoś.

Nie podobał mi się ten ton. Zrobiłem więc niewinną minę i powiedziałem:

— Była tu twoja czarna przyjaciela.

Duduś zamrugał oczkami, zbladł, zacisnął zęby i zawołał wściekle:

— Ty zawsze wszystko musisz popsuć!

Byłby się rozplakał ze złości, ale pożałowałem go.

— Znaj moje dobre serce — powiedziałem. — To, o czym wiem, niech zostanie między nami. Nie powiem ani słowa cioci. Niech się cieszy, że jej metoda wychowawcza jest na sto dwa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

List z Walcza:

Kochana Mamusiu! Jesteś najlepszą mamą na świecie, ie pozwoliłaś mi na autostop z ciocią Kabałą. Czy wiesz, kto to jest? Zgadnij. Mogłabyś zgadywać do końca życia i tak byś nie zgadła. Ciocia Kabała ma piętnaście tysięcy na liczniku i zdobyła puchar „Sztandaru Młodych”. Ale to nie wszystko. Umie tańczyć Wista, wróżyć z kart, czarować wszystkich kierowców i żaden jej nie odmówi. W ogóle jest s u p e r i mam nadzieję na drugi rok pojechać z nią w Bieszczady.

Tymczasem jesteśmy w Walczu, gdzie Zdzisław Krzyszkowiak pobił rekord świata na trzy tysiące metrów z przeszkodami. Duduś też pobił rekord i przeszedł samego siebie. Wyobraź sobie, usmażył naleśniki, a na obiad zrobił befsztyki... przy pomocy jednego czarnego studenta. Nie myśl tylko, że zrobił befsztyki z tego czarnego studenta, bo student nazywa się Fen M'naba i jest ze szczepu Bantu, a przy tym strasznie sympatyczny. Od razu zakochał się w cioci Kabałą i powiedział, że jest na medal

Nie dziw się, jeżeli M'nabaprzyjedzie do nas do Warszawy, bo go zaprosiłem, żeby zatańczył tatusiowi taniec nad zabitym nosorożcem. Nie wiem tylko, kto będzie nosorożcem. Może babcia Faferska, bo ona lubi mdleć i leżeć na kanapie. W każdym razie nosorożec musi być, bo inaczej nic się nie uda.

Moja kochana biała Mama, ja była na tańca i śpiewa murzyńska. Pierwsza klasa. Nosorożec była ciocia Kabała, a M'naba tańczyła jak młoda boga. Jego kolega sudańska śpiewała i tańczyła tańca antylopa. I wszystko by ta all right.

Nie przeraż się. Tak właśnie mówi M'naba, bo on dopiero chodzi na kurs przygotowawczy języka polskiego, a do tej pory mówi narzeczem polsko-murzyńskim. I to mi się najlepiej podoba.

Dzisiaj wyjeżdżamy do Kołobrzegu. Ciocia Kabala znalazła wspaniałą okazję- Jedziemy w aucie-chłodni Centrali Rybnej i na pewno nie będzie nam gorąco. Na wszelki wypadek włożę sweter, żeby nie dostać kataru. To wdechowo podróżować w charakterze dorsza albo śledzia bałtyckiego.

Dziękuję jeszcze raz, całuję i najmocniej przepraszam za to, co mi do głowy strzeliło. Już teraz nigdy mi nie strzeli, bo muszę zasłużyć na podróż w Bieszczady.

A więc za dwa dni.

Poldek

- Godzina 6⁰⁰ — Duduś nie chce wstać.
6¹⁵ — Duduś woła na pomoc babcię.
6²⁰ — Duduś przewraca się na drugi bok.
6²⁵ — Duduś obraża się.
6²⁷ — Duduś ma pretensje, żeśmy go nie obudzili o szóstej.
6³⁰ — Myjemy ręce i nic więcej.
6³⁵ — Przypała mi się mleko.
6³⁸ — Przypalają mi się naleśniki.
6⁴⁰ — Duduś uśmiecha się ironicznie.
6⁴⁵ — Bardzo się spieszymy.
6⁴⁸ — Okropna pomyłka. Posmarowałem chleb wazeliną.
6⁵⁰ — Jemy to, co się przypaliło.
6⁵⁵ — Nie jemy chleba z wazeliną.
6⁵⁹ — Za minutę będzie 7⁰⁰.
7⁰⁰ — Minutę temu była 6⁵⁹.
7⁰¹ — Składamy namiot.
7⁰² — Duduś opowiada o kuropatwach, które babcia Fąferska upiekła z okazji... wiadomo jakiej.
7⁰⁵ — Zobaczyliśmy sarnę.
7⁰⁶ — Duduś mówi, że to łania.
7⁰⁷ — Ja mówię, że to daniel.
7⁰⁸ — Ciocia nic nie mówi.
7⁰⁹ — Zaczynamy się kłócić — łania czy daniel?
7¹⁰ — Ciocia wzdycha.
7¹¹ — Duduś mówi, że jestem analfabetą.
7¹² — Ja mówię, że Duduś nie zna się.
7¹³ — Ciocia wybucha.
7¹⁴ — Po kłótni.
7¹⁵ — 7⁴⁵ — Nie wiem, co się dzieje, bo strasznie się spieszymy.

- 7⁴⁵ — 7⁵⁵ — Spieszymy się jeszcze bardziej.
8⁰⁰ — Jesteśmy na przystani.
8⁰⁰ — 8³³ — Czekamy na samochód-chłodnię.
8³⁴ — Na samą myśl zimno mi się robi.
8³⁵ — Dudusiowi nie podoba się.
8³⁶ — Ciocia Kabała pyta, co mu się nie podoba.
8³⁷ — Duduś odpowiada, że w ogóle.
8³⁸ — Ciocia wzrusza ramionami. Wzdycha. Mówi: — Skaranie z tym szoferakiem.
8³⁹ — Ciocia woła zachwycona: — O, już jedzie ten miły czło-
wiek.
8⁴⁰ — Przyjeżdża.

Przed przystań zajechał olbrzymi wóz-chłodnia, cały z aluminiowej blachy, błyszczący i okazały. Ciężarówka była wielka i okazała, kierowca zaś maleńki i niepozorny. Miał wielką łysinę, a twarz podobną do śniętego dorsza. Może dlatego, że często woził ryby.

Ciekaw byłem, czym ciotka Kabała oczarowała dorszowatego kierowcę? Może kartami? Może piętnastoma tysiącami na liczniku? A może znajomością ichtiologii, czyli nauki o rybach? Z ciocią nigdy nic nie wiadomo. Ma pomysły.

Czekałem z niecierpliwością, co się okaże. Po chwili okazało się, że nic z tego nie rozumiem.

Kierowca wyskoczył z szoferki, przywitał się z ciocią tak serdecznie, jakby była jego rodzoną siostrą. Ciocia Kabała zawołała radośnie:

— Już sobie przypomniałam. Zaraz panu powiem. — I zaczęła mówić wzniosie, kwiecicie i do tego wierszem:

*Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak bliski,
Słowik to, a nie skowronek się zrywa I
śpiewem przeszył trwożne ucho twoje.*

Zupełnie zbaraniałem. Rozejrzałem się. Nie było ani słowika, ani skowronka i nikt śpiewem nie przeszył trwożnego ucha kierowcy. O czym ciocia mówi? Co jej przyszło do głowy? A ciocia uniosła oczy do nieba, położyła dłoń na sercu i dokończyła:

*Co noc on śpiewa ówdzie na gałązce
Granatu, wierzaj mi, że to był słowik.*

Uwierzyłem na słowo, choć słowika nie widziałem ani nawet nie słyszałem i nie mogłem również dojrzeć gałązki granatu. Lecz kierowca dojrzał, bo naraz jego dorszowata twarz rozpromieniła się, a wyłupiaste oczy nabrały dziwnego blasku. Położył dłoń na sercu i zadeklamował:

*Skowronek to, ów czujny herold ranku, Nie
słowik, widzisz te zazdrosne smugi, Co tam na
wschodzie złocą chmur krawędzie ?*

— Przepraszam bardzo — przerwałem mu. — Ustalcie nareszcie, czy to słowik, czy skowronek.

Ciocia spiorunowała mnie pełnym poezji spojrzeniem.

— Nie przerywaj!

A kierowca z Centrali Rybnej westchnął i ciągnął dalej:

*Pochodnie nocy już się wypaliły
I dzień się wspina raźnie na gór szczyty.
Chcąc żyć, iść muszę lub zostając — umrzeć.*

— Proszę nie umierać — wtrącił Duduś — bo my chcemy dojechać do Kołobrzegu.

Teraz kierowca spiorunował spojrzeniem Dudusia.

— Nie przeszkadzać! — zawołał i zwrócił się do cioci. — Widzi pani, to jest nasza młodzież. Nic w nich nie ma romantyzmu. W głowie pustka, a w sercu chłód.

Ciocia westchnęła:

— Za moich czasów inaczej bywało. Oni nie interesują się poezją ani Szekspirem. .. Im w głowie futbol i rakiety.

— Phi — Duduś uśmiechnął się tajemniczo. — Od razu wiedziałem, że to scena piąta aktu trzeciego „Romeo i Julia” Williama Szekspira w przekładzie Józefa

Paszковского.

Bęc! Proszę bardzo, Duduś uratował honor młodzieży. Byłbym go chętnie uściskał, ale uczynił to za mnie kierowca.

— Geniusz! — zawołał. — A myśmy wczoraj pół godziny zastanawiali się, jak się zaczyna piąta scena trzeciego aktu.

Teraz wiedziałem, że ciocia Kabała oczarowała łysego kierowcę znajomością Szekspira, chociaż, przyznam się, do tej pory nic o Szekspirze nie słyszałem. Przyrzekłem sobie, że po powrocie do Warszawy zajrzę do biblioteki ojca, żeby się dowiedzieć, co to za jeden.

Tymczasem wysłuchaliśmy całej sceny piątej trzeciego aktu w wykonaniu cioci Kabały i kierowcy. Ciocia była Julią, kierowca Romeem, a my z Dudusiem widownią. Tak wspaniale odegrali, że aż mi łzy napłynęły do oczu. Wóz-chłodnia czekał, Kołobrzeg czekał, a oni nic, tylko odgrywali z dłońmi na sercu i oczami utkwionymi w bladym błękicie.

Gdy skończyli, kierowca otarł łzę toczącą się po jego spalonym policzku i powiedział:

— Całą noc czytałem tę scenę, żeby się jej nauczyć na pamięć.

Na to Duduś oburzył się:

— Ładna historia, pan jest niewyspany i teraz łatwo może spowodować wypadek.

Ciocia jeszcze raz spiorunowała Dudusia spojrzeniem.

— Niech pan nie zwraca na niego uwagi — powiedziała. — On zawsze ma muchy w nosie.

Kierowca przestał zwracać na niego uwagę, zatarł rękę.

— Teraz możemy jechać.

Mogliśmy jechać, lecz wynikły nowe komplikacje. W szoferce obok kierowcy było jedno miejsce. Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że powinna tam jechać ciocia. Tymczasem ciocia chciała, żeby w szoferce jechał Duduś. Duduś, z natury przekorny, zaproponował, żebym ja usiadł obok kierowcy, kierowca sprzeciwił się, bo chciał jechać z ciocią, i w końcu nikt nie wiedział, gdzie, kto i z kim ma jechać. A wszystko przez Romea i Julię, którzy wprowadzili zamęt w cybernetyczny porządek.

Kierowca machnął wreszcie ręką:

— Róbcie, jak chcecie, ja nie będę się mieszał. — I przestał się mieszać, a my robiliśmy, jakeśmy chcieli.

Wtoczyłem wózek z bambetlami do wnętrza wozu, wskoczyłem pierwszy. Potem zjawiał się Duduś. Zamknęliśmy drzwi i już nic nie było widać, zwłaszcza gdzie kto jest. Po chwili usłyszeliśmy, że ktoś dobija się do wnętrza. Chciałem otworzyć drzwi, lecz w tej samej chwili ciężki wóz ruszył. Słyszałem tylko jakieś wołanie z zewnątrz, a Duduś westchnął z ulgą:

— Nareszcie. Myślałem, że przez Szekspira nigdy stąd nie ruszemy.

Nie przypuszczał jednak, jaki wprost szekspirowski dramat wisi nad naszymi głowami.

Jechaliśmy w zupełnej ciemności.

Słychać było warkot silnika i monotony szmer wentylatora, który do aluminiowej skrzyni wtlaczał powietrze z życiodajnym tlenem. Na szczęście, wszystkie urządzenia chłodnicze zostały wyłączone, a my nie musieliśmy się obawiać, że do Kołobrzegu zajedziemy w stanie zamrożonym.

Gdy się tak jedzie po ciemku, nigdy nie wiadomo, czym się jedzie. Można sobie wyobrazić, że jest się w kopalni węgla albo w batyskafie na głębokości dziesięciu tysięcy metrów pod powierzchnią oceanu. Albo że nas w ogóle nie ma. Grunt to mieć wyobraźnię.

Rozmyślania przerwał mi Duduś.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? — zapytał.

Nie zdążyłem jednak odpowiedzieć, bo właśnie nasza chłodnia na kółkach zatrzymała się. Po chwili kierowca otworzył drzwi i zawołał:

— Proszę pani, już przypomniałem sobie, jak zaczyna się scena piąta aktu drugiego. Wchodzi Julia...

Skóra ścierpła mi na grzbiecie, bo pojąłem, że za chwilę rozegra się dramat godny pióra Szekspira. I rzeczywiście rozegrał się. Kierowca zaczął deklamować:

*Dziewiąta biła, kiedym ją posiała;
Przyrzekła wrócić się za pół godziny.*

—Kto przyrzekł? — zapytał Duduś.

—Julia — odparł kierowca i by lepiej zobaczyć wewnątrz chłodni, otworzył drzwi na oścież. Naraz zbladł.

—To nie ma tu pani?...

—Przecież ciocia siedziała z panem w szoferce.

—W szoferce? A skądże znowu. Przed samym odjazdem powiedziała, że nie ma serca zostawić was w tej ciemnicy. Myślałem, że jedzie z wami...

Wszystko nagle stało się jasne i tragiczne zarazem. Zrozumiałem, kto w Wałczu dobijał się do drzwi i tak żałośnie wołał poprzez warkot motoru. Kierowca myślał, że ciocia jedzie z nami, myśmy myśleli, że z nim, i ciocia została na przystani.

— Ładna historia —jęknął Duduś — znowu jesteśmy sami.

Myślałem, że kierowca wścieknie się albo zacznie rwać włosy. Niestety, nie rwał, bo był zupełnie łysy. Pokręcił tylko głową.

—Ładnieście ją urządzili.

—To pan nas ładnie urządził — oburzył się Duduś.

Właściwie nikt nikogo nie urządził, tylko los uwziął się na nas i fatum zawisło nad naszymi głowami. Może jeszcze to samo fatum, które wisiało nad głową Dudusia. Nie wierzyłem jednak w fatum ani w przeznaczenie. Ufałem tylko faktom, a fakty — pożał się Boże — wskazywały, że zostaliśmy pozbawieni opiekunki.

— Zawróćmy — powiedziałem. — Może ciocia będzie jeszcze w Wałczu.

Kierowca rozłożył ręce.

— Nie mogę. Na jedenastą muszę być w Kołobrzegu w Centrali. A myślałem, że po drodze odegramy sobie jeszcze kilka scen ze „Snu nocy letniej”.

Bardzo mi było przykro, że kierowca nie może z ciocią odegrać, a najbardziej, że w ogóle nie ma cioci. Gdy sobie to uświadomiłem, myślałem, że się rozbeczę. Oto pech! Postanowiłem, że zasłużę na Bieszczady, że już nic mi nie strzeli do głowy i legalnie pod opieką cioci dojadę do Międzywodzia, a tu taki tragiczny zbieg okoliczności: my bez cioci, ciocia bez nas i nie ma kto odegrać kilku scenek ze „Snu nocy letniej”.

—Gdzie my właściwie jesteśmy? — zapytał Duduś.

—W Połczynie-Zdroju — wyjaśnił kierowca.

—Już wiem, tutaj nasza babcia leczyła sobie ischias.

Dowiedziałem się przynajmniej, z czego sławny jest Połczyn-Zdrój. Lecz to wcale mnie nie pocieszyło. Pierwszy raz podczas naszej podróży poczułem się zupełnie załamany. Wszyscy byliśmy załamani i nie wiedzieliśmy, co robić.

Kierowca radził, żebyśmy dojechali do Kołobrzegu i tam poczekali na ciocię Kabałę. Duduś chciał wracać do Wałcza, ja natomiast myślałem, że najlepiej będzie czekać w Połczynie, a każdy z nas myślał, że jego plan jest najlepszy.

Po długiej naradzie doszliśmy do wniosku, że najwięcej doświadczenia ma kierowca. Postanowiliśmy sygnąć się do Kołobrzegu. Ciocia wie, że właśnie tam mieliśmy się zatrzymać, będzie więc starała się jak najszybciej do nas dołączyć. Cóż to dla królowej autostopu przejechać taką trasę —jeden skok i po krzyku.

Wróciliśmy więc do naszej ciemnicy.

W Kołobrzegu sytuacja okazała się dość osobliwa. My z plecakami, ekwipunkiem, zapasami żywności i z namiotem nad brzegiem Bałtyku, ale bez cioci Kabały i bez pieniędzy; a ciocia gdzieś na trasie bez nas, bez ekwipunku, natomiast z zapasem gotówki.

Co robić?

Oto pytanie, które prześladowało nas od Warszawy, a na które trudno było znaleźć odpowiedź. Po pierwsze, trzeba było pożegnać się z „Romeem”, który, jak biblijny wieloryb Jonasza, przewiózł nas w przepastnym brzuchu swej chłodni. Podziękowaliśmy mu pięknie, a on na pożegnanie zadeklamował nam kilka scen ze „Snu nocy letniej” i z „Hamleta”, Duduś natomiast kropnął mu koncert Jankiela z „Pana Tadeusza”, a ja ze łzą w oku zaśpiewałem „Gdy mi ciebie zabraknie, gdy zabraknie mi ciebie...” I wszyscy byliśmy bardzo wzruszeni, nawet Duduś.

Gdy nasz romantyczny Romeo odjechał, mój cioteczny powiedział ze smutkiem w głosie:

—Nieszczęsny, umie na pamięć „Hamleta”, a musi wozić dorsze i solone śledzie.

—Może się na nim nie poznali — wtrąciłem. — Gdybym był dyrektorem teatru, zaraz zaangażowałbym go i grałby u mnie główne role.

—Ba — westchnął Faferski — na Hamleta nie nadaje się, bo się trochę jąka, na Romea także, bo łysy i za stary.

—Nie szkodzi — pożałowałem go. — Grałby role starych, jękających się rybaków albo łysych królów. Mówię ci, miałby olbrzymie powodzenie.

Dobrodusznego Romea z Centrali Rybnej zaangażowaliśmy do teatru, urządziliśmy go należycie, teraz powinniśmy zająć się sobą. A to nie takie proste. Łatwiej bowiem jest znaleźć rolę dla kierowcy aniżeli dla siebie.

Siedzieliśmy na dworcu autobusowym w Kołobrzegu, a myśli nasze biegly na szosę, w stronę królowej autostopu.

—Dobra była ta nasza ciocia Ula — westchnął Duduś.

—Człowieku, fenomenalna! — westchnąłem dwa razy głośniej.

—Wiele się przy niej nauczyłem.

—Przed wszystkim, jak należy postępować z ludźmi.

—I jak jeździć autostopem — dodał Duduś. — Słuchaj — powiedział po chwili. — Wy się ze mnie śmiejecie, a ja nie jestem taki znowu...

—Nie jesteś znowu taki... — potwierdziłem. — Tylko powinienes być trochę inny.

—I szczerze mówiąc, bardzo mi się podoba autostop. Chętnie bym z wami pojechał na drugi rok.

—Będzie wdechowo, tylko musisz jeszcze podciągnąć się trochę.

—Postaram się.

Wiedziałem, że z Dudusia będą kiedyś ludzie, ale nie spodziewałem się, że tak szybko. A tu Duduś na dworcu autobusowym w Kołobrzegu zupełnie się zmienił. Może morskie powietrze przesycone jodem wywarło tak zbawienny wpływ, a może system wychowawczy cioci. Gotów byłem przypuszczać, że to drugie.

Powiedział, że też chciałby być morowym chłopcem, tylko babcia mu nie pozwala. Nieraz mi zazdrościł, kiedy chodziłem po drzewach, a on siedział nad encyklopedią. W ogóle zaczął się spowiadać. A ja nic, tylko słuchałem.

—Nie martw się, chłopie — powiedziałem — bo mi się serce kraje, gdy na ciebie patrzę. Wszystko będzie w porządku, bo jak się czegoś chce, to musi być.

—I w ogóle — westchnął. — Nie mów do mnie „Duduś”, bo mi się w kiszkach przewraca. Ojciec i babcia myślą, że na zawsze zostanę małym Dudusiem,

a ja chcę, żeby mnie wołali tak, jak mi na imię.

—Świetnie — walnąłem go w plecy — będziesz Janusz, bo to naprawdę ładne imię.

Pożegnałem się z Dudusiem. Trochę mi było przykro, bo Duduś Fąferski przysporzył mi wiele kłopotów, a wiadomo, do kłopotów też się człowiek przyzwyczaja. Wykreśliłem więc Dudusia z pamięci i powiedziałem do Janusza Fąferskiego:

— Słuchaj, Janusz, my tu wzdychamy, ale trzeba coś wymyślić, żeby nie się dzieć na dworcu do nocy.

Zaczęliśmy myśleć. Janusz pierwszy przedstawił swój plan. Rzeczy zostawimy w przechowalni bagażu, na wszystkich słupach wiodących do dworca przyklepimy kartki dla cioci Uli, że żyjemy, jesteśmy w Kołobrzegu i spotkamy się na dworcu o godzinie osiemnastej, a sami pójdziemy nad morze, bo gdy się jest w Kołobrzegu, to trudno nie zobaczyć Bałtyku.

— Dobra jest — powiedziałem. — Jak zostałeś Januszem, to od razu masz dobre pomysły.

Zrobiliśmy wszystko według planu. Najlepiej udało nam się z kartkami. W plecaku bowiem znaleźliśmy notes cioci Kabały, wyrwaliśmy z niego kartki, a na każdej kartce wypisaliśmy długopisem:

Uwaga! Uwaga! Ciociu Ulo! Jesteśmy w Kołobrzegu. Czekamy na ciocię o osiemnastej na dworcu autobusowym. — Poldek i Janusz (dawniej Duduśj.

Rozwiesiliśmy tych kartek może ze dwadzieścia, na każdym słupie i na każdym parkanie, a potem poszliśmy nad morze wdychać jod, podziwiać krajobraz i wykapać się.

Nareszcie coś innego!

Do tej pory podziwialiśmy ruiny, zabytki, wiekowe bory, jeziora morenowe, a tu morze. Stałem na brzegu. Nade mną szumiały sosny, a przede mną w wiecznym ruchu przewalało się i szumiało morze. Woda miała odcień sinozielony i toczyła się srebrzystymi grzbietami ku złotym piaskom brzegu. A nad nią stało jak szkło przejrzyste niebo.

A gdy patrzyłem przed siebie, zdawało mi się, że horyzont oddala się. Gdzieś daleko płynął statek. Ciągnął za sobą burą smugę dymu. Nad latarnią morską krążyły mewy.

Przymknąłem oczy. Morze zaiskrzyło się nagie jak tafla lodu, szum się wzmógł i coś mnie zaczęło ciągnąć ku toczącym się falom.

Wydałem dziki okrzyk, uniosłem do góry ręce, rozłożyłem je jak skrzydła i pobiegłem boso po rozpalonym piasku na spotkanie z morzem.

Duduś pobiegł za mną, wzięliśmy się za ręce i pędem wbiegliśmy do wody. Była rozkosznie chłodna.

Potem po kolana w wodzie biegliśmy wzdłuż plaży, daleko, daleko, aż upadliśmy ze zmęczenia na piasek. I to było najpiękniejsze.

Leżałem na wygrzanym piasku, jak rozbitek wyrzucony przez fale, i zdawało mi się, że zacząć krzyczeć z radości.

Nie krzyczałem jednak, bo nie chciałem spłoszyć mew szybujących wzdłuż brzegu. Rozebrałem się szybko, a potem z rozbiegu dałem nura wprost w bałtyckie fale i przez chwilę wyobrażałem sobie, że jestem dorszem albo flądą.

Janusz nie dał nura, bo nie umiał niestety pływać. Stał na brzegu, podziwiał krajobraz i swego ciotecznego brata.

Nurkowałem za siebie i za niego. Woda była chłodna, lecz tak przejrzysta, że widziałem dno, a na dnie rozmaite drobne żyjątka, a nawet małą flądę, która mknęła przede mną i przylgnęła do piasku tak, że jej nie można było zobaczyć.

Gdy się już porządnie wypływałem, poszliśmy na wydmy. Położyliśmy się w słońcu. Leżeliśmy dość długo, nie mówiąc do siebie. I to było też piękne. Wiatr zmiatał piasek, a drobne ziarenka kłuły jak szpilki. I pełno piasku mieliśmy we włosach, w uszach, na ramionach. Było cicho, mewy szybowały pod wiatr na nieruchomych skrzydłach, a spienione grzywy fal uderzały bryzgami o plażę i rozbiły się na piasku.

Przyjemnie było tak leżeć i zostalibyśmy zapewne do wieczora, gdyby się Dudusiowi nie znudziło. Ni stąd, ni zowąd zaczął wykład o działaniu promieni słonecznych na ludzki organizm.

—Organizm ludzki pod wpływem promieni słonecznych wytwarza witaminę A.

—To świetnie — stwierdziłem.

— Tak, ale jeżeli zbyt długo pozostajemy pod wpływem promieni ultrafioletowych, możemy dostać poparzenia drugiego stopnia, a nawet porażenia słonecznego. Zwłaszcza gdy organizm nie jest jeszcze przyzwyczajony do słońca. Czuję, że pieką mnie plecy. Pozwolisz, że położę się w cieniu.

Pozwoliłem wspaniałomyślnie, a sam pozostałem pod wpływem promieni ultrafioletowych. Czuję, jak mój organizm wytwarza witaminę A. Przez dłuższy czas nic nie robiłem, tylko wytwarzałem.

Nagle na plaży usłyszałem przeraźliwy krzyk. Ktoś wzywał ratunku. Zbiegłem z wydmy. Zobaczyłem kobietę, która bezradnie rzucała się w nacierające fale, a dalej, kilkanaście metrów od brzegu, czerwony czepek kąpielowy. Czepek, jak korek, raz wynurzał się, to znowu ginął w pianie.

Pojąłem, że ktoś tonie. Chwilę stałem sparaliżowany, lecz wnet rzuciłem się w walące zwały wody. Przed sobą ujrzałem czerwony czepek. Dałem nurka. Zrobiłem kilka silniejszych pociągnięć rękami i nagle, jak za zielonkawym szkłem, ujrzałem drobne ciało dziecka. Zacerpnałem powietrza i znowu nurkowałem. Chwyciłem dziecko za ramię, tak jak mnie uczono, i wypłynąłem z nim na powierzchnię. ..

Dalej nie wiem, co się ze mną działo... Wiem tylko, że uratowałem tonącą dziewczynkę w czerwonym czepku. Leżała w jaskrawym blasku słońca na suchym piasku, dyszała ciężko i otwierała niebieskie oczy...

A wokół nas zbierał się tłum.

Nie znoszę zbiegowiska. Chciałem przedrzeć się przez pierścień ludzi, lecz wtedy ktoś położył mi rękę na ramieniu.

— To ty uratowałaś tę małą? — zapytał.

Zobaczyłem milicjanta ze służby wodnej, jego białą czapkę i kotwicę na ramieniu.

—Tak — odparłem. — Byłem najbliżej...
—Dzielny z ciebie chłopiec. Zuch.
Wzruszyłem ramionami.
—Każdy ratowałby przecie...
Chciałem odejść, żeby wytworzyć w organizmie jeszcze trochę witaminy A, lecz milicjant zatrzymał mnie.
—Należy ci się medal za ratowanie — powiedział. — Niestety, nie jestem na służbie i nie mam przy sobie notatnika. Chodź ze mną na posterunek, to zaraz spisemy protokół. Zuch z ciebie... — pokręcił z podziwem głową.
—Dziękuję — powiedziałem — ale naprawdę szkoda czasu.
—Protokół i tak musimy spisać, jesteś najważniejszym świadkiem tego wypadku.
Nie miałem ochoty iść na posterunek, zwłaszcza że Duduś wciąż jeszcze odpoczywał w cieniu. Ale co robić. Nie mogłem się wymigać. Ubrałem się i poszliśmy na posterunek. A na posterunku, jak to zwykle, zaczęli mnie wypytywać?
—Jak się nazywasz?
—Leopold Wanatowicz — odparłem i, żeby długo nie czekać, dodałem: — Urodzony w Warszawie, piątego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Imię ojca — Maciej, imię matki — Barbara, nazwisko panięńskie matki —
Samulska, wzrost — sto sześćdziesiąt cztery centymetry, waga...
—Dość! — przerwał mi sierżant. I nagle zajrzał do zeszytu, który przed chwilą wyciągnął z szuflady. — Leopold Wanatowicz, powiadasz?
—Tak — odparłem z godnością.
—A gdzieś podział Janusza Faferskiego?
„Czarodziej. Skąd on wie, że podróżuję z ciotecznym bratem?" Wydało mi się to bardzo dziwne i jeszcze bardziej podejrzané.
—Janusz czeka na mnie na wydmach — odparłem.
Sierżant rozłożył ręce, jakby chciał mnie uścisnąć.
—Co za szczęście! W całej Polsce was szukają, a ty u nas w Kołobrzegu.
W jednej chwili zrozumiałem, że znowu wpadłem. Myślałem, że się rozpłaczę albo zacznę krzyczeć. Tymczasem jednak powiedziałem:
—Przepraszam, zaszło pewne nieporozumienie. Nas już nie szukają, bo po drodze znalazła nas pewna pani, która porozumiała się już dawno z naszymi rodzicami i opiekuje się nami jak ojciec i matka razem wzięci.
—Tak, tak — pokiwał głową. — Pani opiekuje się wami, a ty sam chodzisz po wydmach. Gdzie ta twoja opiekunka, he?
—Czeka na mnie na dworcu.
—Dobrze, zaraz sprawdzimy. — Nie spojrział nawet na mnie, tylko zawołał milicjanta, kazał mu dać kwit bagażowy, a mnie zachować spokój i uzbroid się w cierpliwość.

Po wyjściu milicjanta zapadła grobowa cisza; sierżant czyścił paznokcie, a ja byłem tak zdenerwowany, że nie wiedziałem, co mówię, lecz powiedziałem:

— Zawiodłem się.

Sierżant zastukał palcami o krawędź stołu.

—Tak, tak... wszystko musi być w porządeczku, kawalerze. Za uratowanie dziecka należy ci się medal, za własnowolne opuszczenie domu nagana...

—Kiedy ja nie opuściłem własnowolnie — zaprotestowałem.

—Dobrze, dobrze, wszystko sprawdzimy. — Pokazał mi z daleka kratkowany zeszyt. — Tu stoi jak wół, że mamy obowiązek zatrzymać was i odesłać do

Warszawy. Sam powiedz, czy mogę postąpić inaczej?...

—Nie — przyznałem. — Ale zaraz pan zobaczy ciocię Kabałę. To królowa autostopu! Ma piętnaście tysięcy na liczniku i radzę panu z nią nie zadzierać...

—Zobaczymy — powiedział flegmatycznie.

Przestał zwracać na mnie uwagę. Ja również przestałem zwracać na niego uwagę i tak przez pół godziny siedzieliśmy udając, że się nie znamy.

Po pół godzinie usłyszałem, że w korytarzu drzwi się otwierają i ktoś wchodzi. Byłem pewny, że to ciocia Kabała z Januszem spieszą, by ratować mnie i wybawić z twardego regulaminu milicyjnego. Już miałem się zerwać, z okrzykiem szczęścia na ustach przywitać odsiecz, lecz zamiast odsieczy nadciągnął sam milicjant.

To, co za chwilę miałem usłyszeć, przekraczało moją wyobraźnię.

Milicjant wyprężył się, złożył meldunek:

—Obywatelu sierżancie, sprawdziłem. Bagażu nie ma już w przechowalni...

—Jak to nie ma — zdumiał się sierżant. — Przecież mieliście kwit.

—Tak jest, ale powiedzieli mi, że zgłosiła się jakaś pani, wylegitymowała się, a na dowód, że to jej bagaż, powiedziała, co jest w plecaku. Wszystko się

zgadzało. Była nawet legitymacja PTTK i karta pływacka, więc wydali jej ten

bagaż.

— To ciocia Kabała! — zawołałem.

Milicjant ofuknął mnie, żebym mu nie przerywał.

— Jaka tam ciotka. Mieli nawet zapisane nazwisko. O, proszę — wyciągnął notes i przeczytał z uwagą: — Obywatelka Urszula Opielowa, Warszawa, ulica Odyńca dwadzieścia osiem, mieszkania dwanaście.

—Jeżeli Urszula, to na pewno ona — wtrąciłem.

Sierżant pokręcił głową.

—No, no... Ty coś kręcisz, kawalerze.

—Daję słowo harcerza, że nie kręcę.

—W takim razie dlaczego nie poczekali na ciebie?

—Właśnie... — zająknąłem się. Nagle zrobiło mi się tak smutno, ogarnął mnie taki żal, że gdybym był sam, to na pewno rozplakałbym się. W obecności

przedstawicieli władzy nie wypadało. Zaciąłem zęby i szepnąłem: — Nic z tego

nie rozumiem.

—I ja też — zauważył sierżant. Naraz strzelił na palcach. — Nie martw się. My się tobą lepiej zaopiekujemy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej, lecz to, co mnie spotkało, było chyba najgorsze. A zresztą, kto to może wiedzieć.

Nie będę opisywał, co przeżywałem na posterunku MO. Pisarze często mówią: „Ogarnęła go czarna rozpacz”. Mnie ogarnęła najczarniejsza, jaka może być. Ale nie na długo. Wiadomo, że jestem przecież optymistą i nie potrafię wrywać sobie włosów ani załamywać rąk. Umiem nawet przez mgłę czarnej rozpacz zobaczyć świat w różowych barwach. I zobaczyłem, bo pomyślałem, że jeżeli ciocia Ula (nie będę jej już nazywał — Kabała) zapomniała o mnie, jeżeli Duduś (nie chcę znać Janusza) wyparł się mnie, to znajdują się inni, którzy chętnie do mnie się przyznają.

A na posterunku nie było wcale tak źle. Gdy się dowiedzieli, że jestem siostrzeńcem narzeczonej Franka Szajby, który strzela kosze z zamkniętymi oczami, zaraz inaczej mnie potraktowali. Sierżant zamiast „kawalerze” zaczął mi mówić — „kolego”, a milicjant zapytał, ile Franek Szajba je jaj na śniadanie.

Nie wiedziałem, lecz nie wypadało nie wiedzieć. Powiedziałem, że gdy Szajba przyjeżdża po ciocię Ankę, to ona robi mu jajecznicę z dziesięciu jaj i do tego kraje jeszcze pół kilka boczku, żeby nie zasłabł na treningu. Poniosła mnie trochę wyobraźnia. Dodałem, że odkąd zna moją ciocię, urósł siedem centymetrów i nauczył się jeść szpinak, który ma najwięcej witamin. Przedtem pluł szpinakiem, a teraz wbija w krzyże i nawet się nie skrzywi. A najlepiej lubi kotlety schabowe. Raz naliczyłem, że na obiad przed meczem zjadł cztery, a potem jeszcze pięć porcji waniliowych lodów.

Oko im zbiegło. Prosilili mnie, żebym się wpisał do książki pamiątkowej posterunku. Co też uczyniłem, dodając przy podpisie: „przyszły kuzyn Franciszka Szajby”. A potem zaprosiłem ich do Warszawy i obiecałem, że wystaram się o bilety na mecz „Legii” z „Wisłą”. Z wdzięczności przynieśli mi podwójną kolację i dwie porcje lodów „pingwin”.

Można powiedzieć, że byliśmy na przyjacielskiej stopie, bo przyjaciół poznaje się w biedzie.

Tym razem nie spałem ani pod gwiazdami, ani w namiocie, ani na sianie, lecz komfortowo na tapczanie miłego milicjanta. Morowy chłop. Sam pościelił sobie na składanym łóżku polowym, a mnie, jako kuzyna Franka Szajby, położył na honorowym miejscu. Nie chciałem się na to zgodzić, bo przecież nie wypadało. Ale on powiedział bez ogródek: „Śpij, Poldek. Mnie tam wszystko jedno. Przynajmniej przypominę sobie dobre lata, kiedy byłem w szkole milicyjnej”. Nie mogłem mu odmówić tej przyjemności,

A rano naradzaliśmy się na posterunku, co i jak ze mną będzie. Komunikat przewidywał, że w razie odnalezienia mnie należy zgubę odtransportować do Warszawy. Wy tłumaczyłem im jednak, że Międzywodzie jest dużo bliżej i nie wypada narażać skarbu państwa na niepotrzebne wydawanie pieniędzy. Postanowiliśmy jechać pociągiem do Kamienia Pomorskiego, a stamtąd pchnąć się autobusem do mamy.

W ten sposób po dniach szumnej włóczędzy autostopowej jechałem najlegalniej w świecie pociągiem w towarzystwie obywatela kaprała Jana Mazanka. Zapomniałem zaznaczyć, że obywatel Jan Mazanek miał zabójczy czarny wąsik. Winien więc przynieść mi szczęście.

Jechaliśmy przez piękną ziemię Zachodniego Pomorza. Z okna pociągu oglądaliśmy okolice: zielone lasy, wesołe zagajniki, rozległe łąny żyta i jęczmienia, a nawet rzepaku, chociaż do tej pory nie wiedziałem o istnieniu tej pożytecznej rośliny.

Zaraz po pierwszej stacji za Kołobrzegiem do naszego przedziału weszła paniusia. W ręku koszyczek, na głowie czarny kapelusik z białym piórkiem, cała w czerni, a twarz starej owcy. I wścibskie oczka za grubymi szklami okularów. Rozejrzała się po kątach, chrząknęła, usiadła. A gdy usiadła, zaraz zaczęła nas swidrować tymi wścibskimi oczkami. Widać było, że ją język swędzi, bo chrząkała, jakby chciała przełknąć słowa, których jeszcze nie wypowiedziała.

Naraz ni stąd, ni zowąd zaczęła:

— Ładna pogoda, prawda?

Istotnie, pogoda była wspaniała, nawet nie trzeba było o tym wspominać.

— I będzie urodzaj na jabłka — dodała po chwili.

— Na jabłka i na śliwki — wtrącił obywatel kaprał.

Na jej owczej twarzy pojawił się podejrzany uśmiech. Zerknęła najpierw na kaprała, potem na mnie, chrząknęła. Nagle zwróciła się do mnie:

— A coś ty, kochaneczku, przeszkrobał?

Popatrzyłem na kaprała, gdyż sam nie chciałem wyłuszczać spraw urzędowych. Obywatel Mazanek mrugnął do mnie porozumiewawczo.

— A nic — powiedział od niechcienia. — To mój siostrzeniec. Wiozę go na kolonie do Kamienia.

Na pomarszczonej twarzy paniusi pojawił się grymas rozczarowania.

—Taak... — wyszeptwała. — A ja myślałam, że pan go eskortuje. Bo to różnie bywa.

—Tak — przyznał kapral — rozmaicie bywa.

—A pan ma dzieci? — zapytała nagle z błyskiem w oczach.

—Broń Boże.

—Jak to, przecież pan już powinien mieć.

—Nie mogę mieć, skoro jestem jeszcze kawalerem.

Skrzywiła się z niesmakiem.

—W pańskim wieku powinien pan już dawno ożenić się i w ogóle.

—Przepraszam, co w ogóle?

— W ogóle dziwię się, że pan sobie tak lekko traktuje. I w ogóle dzisiejsze pokolenie to nie to, mój panie, co dawniej... Dawniej ludzie się żenili i mieli dzieci. A pan sobie lekceważy.

Mój miły opiekun wzruszył tylko ramionami. „Ładna historia — pomyślałem. — Zaczęło się o pogodzie, a skończy się nie wiadomo na czym. I w ogóle co ta paniusia sobie wyobraża?" Ona tymczasem poprawiła okulary, wytarła nos i dalej gadać:

— Dzisiaj wszyscy sobie lekceważą... Ten młody człowiek — wskazała na mnie — jedzie na kolonie, a nie umył sobie uszu. A pan mu na to pozwala. I co z niego wyrośnie?

Zostawiliśmy pytanie bez odpowiedzi. Kto bowiem mógł wiedzieć, co ze mnie wyrośnie? Myślałem, że paniusia umilknie, ale gdzie tam. Była bardzo rozmowna. Prześwidrowała mnie wścibskimi oczkami i powiedziała z przekąsem:

— Coś mi się widzi, kochaneczku, że ty jednak nie na kolonie, bo bez bagażu. Przyznaj no się, coś przeskrobał?

Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, żeby zaspokoić jej ciekawość. Mrugnąłem do milicjanta, wzruszyłem ramionami i wyrąbałem:

—Nic takiego... ukradłem samochód.

—W imię Ojca i Syna... od razu wiedziałam, że coś takiego. Czyś ty się, kochaneczku, zastanowił, co robisz?

—To się wie. Obmyśliliśmy to cybernetycznie. Cały gang pracował nad planem.

—Święci pańscy, toś ty należał do gangu?

—Tak, proszę pani, do gangu zezowatego Ziutka. Specjalizowaliśmy się w kradzieży luksusowych samochodów.

—Kochaneczku — zawołała załamując ręce — i ty o tym mówisz tak spokojnie.

—Mówię, bo pani koniecznie chciała.

—Tak, kochaneczku, a jaki to był samochód?

—„Rolls-royce" z ambasady pakistańskiej. Najnowszy typ. Skromnie licząc za sto tysięcy dolarów.

—Jezus, Maria... za sto tysięcy, mówisz?

—Nie licząc walizki ambasadora, w której były skarby maharadży Pendżabu.

—Skarby maharadży — przeżegnała się dwukrotnie. — Jakie skarby, kochaneczku? Jakie skarby?

—A nic takiego... Trochę brylantów, jedna kolia z pereł, diadem maharini i akcje Banku Rotschilda.

—Czy to możliwe? — westchnęła. Spojrzała pytająco na obywatela kaprała. — A pan mówił, że na kolonie.

Roześmiał się zdrowo.

— A pani we wszystko uwierzyła.

Myślałem, że go zabije jadowitym spojrzeniem. Popsuł jej całą zabawę. Była pewna, że ma przed sobą młodocianego gangstera, a tu takie rozczarowanie. Chwilę prychała nie mogąc złapać tchu, a potem zawołała:

—Mógłby pan być trochę uprzejmiejszy. Śmieje się pan ze mnie, a tymczasem ma pan popsutą dwunastkę.

—Dwunastkę? — zdziwił się.

—Tak, mój panie, trzonowy ząb. Mogę panu dać adres dentystki w Kołobrzegu. Wyrywa bezboleśnie. Nawet się pan nie obejrzy. Pewno panu bardzo dokucza?

Obywatel kaprał złapał się momentalnie za szczękę. Zdawało się, że wścibska paniusia z zemsty sprowadziła na niego ból zęba.

—Trzeba płukać wodą utlenioną, a dziurę zatkać watką ze spirytusem — dodała. — I koniecznie iść do dentystki.

—Skąd pani wie, że mam zepsuty ząb?

—A... widziałam, gdy pan się śmiał ze mnie. Adres dentystki: Morska sie demnaście, drugie piętro. I powinien pan odwiedzić okulistę. Ma pan przekrwione

spojówki. Najlepszy Byrski, w przychodni na Bolesława Chrobrego. I w ogóle nie

dba pan o swoje zdrowie. Jestem pewna, że u pana coś nie w porządku z wątrową.

Trzeba zrobić analizę moczu. Najlepiej w przychodni na Bohaterów Westerplatte.

Ile pan ma lat?

Obywatel kaprał tak się przejął analizą moczu, że wyrecytował bez zajakania:

— Dwadzieścia osiem kończę we wrześniu.

Paniusia uśmiechnęła się z politowaniem.

—A mnie stuknęła sześćdziesiątka i, dzięki Bogu, mam jeszcze wszystkie zęby. A wątrobę zdrową, że ho, ho... Zobacz pan, że jeszcze pana przeżyje.

—Przepraszam — wtrąciłem — jeżeli pani przeżyje obywatela kaprała, to obywatel kaprał tego nie zobaczy.

—Ty cicho siedź, kochaneczku — ofuknęła mnie. — Tobie tylko figle w głowie.

Usłuchałem. Do następnej stacji nie powiedziałem ani słowa. Tymczasem paniusia trajkotała bez przerwy jak chiński młynek do modlitw. Mojemu miłemu opiekunowi wyszukała wszystkie możliwe choroby. Gdyby jej uwierzył, powinien

już dawno wyzionąć ducha. Przy sposobności pouczyła go, jak należy przewijać niemowlęta, czym najlepiej wywabiać plamy po czarnych jagodach, gdzie można kupić płyn na odciski, jakim systemem grać w toto-lotka, jak uniknąć łupieżu, co robić, żeby otrzymać Order Pracy pierwszej klasy... a przede wszystkim, jak żyć, żeby nie umrzeć.

Rozpoczęła właśnie wykład na temat racjonalnego siania pietruszki, gdy pociąg zatrzymał się nagle pod semaforem.

— Stoimy — powiedziała tak kategorycznie, że gdybyśmy nawet jechali, też bym w to uwierzył. Wychyliła się z okna i dodała: — Słyszałam, że w tej okolicy jest wyjątkowo smaczna woda.

Obywatel kaprał otarł pot z czoła, przełknął ślinę.

— Woda! — zawołał. — To świetnie, bo mi zaschło w gardle.

Zdawało się, że tylko na to czekała. Za chwilę wyjęła z koszyczka butelkę po lemoniadzie, ruchem nie znoszącym sprzeciwu podała ją milicjantowi.

— Kochaneczku, tu niedaleko jest studnia. Przyniesie pan, kochaneczku, to napijemy się razem.

Milicjant wyrzwał przez okno.

— To nie stacja. Stoimy pod semaforem.

— Zdąży pan, kochaneczku. Po prostu umieram z pragnienia.

Milicjant spojrział nagle na mnie. Chwilę wahał się i — jeżeli się nie mylę — walczył z ogarniającym go lenistwem. Wnet jednak lenistwo wzięło górę nad poczuciem obowiązku.

— Skocz, Poldek — powiedział. — Tyś młody, w mig się uwiniesz. Tylko gazem!...

Nie spodziewał się, że to były jego ostatnie do mnie słowa. Cóż miałem robić, skoro obywatelowi milicjantowi zaschło w gardle, a panusia w czarnym kapelusiku umierała z pragnienia. Zabawiłem się w samarytanina. Wziąłem butelkę i skoczyłem na jednej nodze.

Wokół był las — dębowy, jeżeli się nie mylę — pełen cienia i legend o słowiańskich przodkach. Z lewej semafor zagradzający przejazd, z prawej wysoki nasyp i ścieżka biegnąca w nie znanym mi kierunku. Rozejrzałem się. Kilku spragnionych i rozgorączkowanych pasażerów biegło przede mną z pustymi butelkami ku czerwonym zabudowaniom, wyłaniającym się spośród stuletnich dębów.

Pobiegłem za nimi. Minąłem kilku po drodze, lecz gdy dopadłem studni, wyprzedzało mnie kilkunastu. Każdy był zgrzany, spocony, spragniony najlepszej wody w okolicy i chciał być pierwszy przy kubelku. Nie muszę więc wspominać, że wokół studni działy się dantejskie sceny.

A pociąg tymczasem pogwizdywał wesoło.

Moja wyobraźnia obudziła się nagle. Wydało mi się, że jesteśmy na Saharze. Po tygodniowej wędrówce przez piaski przybyliśmy właśnie do cienistej oazy. Wielbłądy pokładły się śmiertelnie znużone, a my, z butelkami sporządzonymi

z ich pęcherzy, walimy do źródła. Sami Beduini, wśród nich ja — jedyny Europejczyk. Beduini walczą o każdą kroplę i ja walczę, bo w namiocie z wielbłądziej sierści umiera stara angielska lady i błaga, aby jej przynajmniej zwilżyć usta. Przepycham się przez ciżbę brodatych Beduinów. Nie bacząc na zwisające u ich pasów złociste karabele i sztylety ukryte w fałdach płaszczy, wołam: „Wody dla konającej”, a oni tymczasem błyskają białkami oczu i szczerzą zęby jak szakale.

— Nie pchaj się, szczeniaku — usłyszałem nagle ojczystą mowę i znikł miraż afrykańskiej pustyni, nie mówiąc o fatamorganie. Stukilowy drab w pasiastej koszuli odepchnął mnie brutalnie od studni. Znalazłem się na szarym końcu... Ale to i tak nie miało znaczenia, gdyż w tej chwili lokomotywa gwizdnęła przeciągle, a pociąg ruszył z łoskotem.

Bach! Piękna sytuacja. Tam paniusia umiera z pragnienia, a tu pusta butelka, tam pociąg mknie po stalowych torach, a tu każdy chce go dogonić. Zanim się zorientowałem, co mi grozi, drugi drab zepchnął mnie z nasypu i po moich barkach wspiał się na tory. Zerwałem się jeszcze raz i zacząłem szaleńczy pościg. Niestety, pociąg rozwinął już taką szybkość, że nie mogłem go dogonić.

Stanąłem bezradnie na torach z pustą butelką w ręku i z żalem w sercu. Bo naprawdę żał mi było rozstawać się z obywatelem kapralem Janem Mazankiem. Był to przecież najsympatyczniejszy milicjant, jakiego poznałem.

Zostałem sam na sam z pięknym krajobrazem i bujną przyrodą. Gdzieś na wysokim grabie kukła kukułka, mysikrólik uwijał się wśród sosnowych gałęzi, dzierzba gąsiorek kwiliła w tarninie i pstry dzieciół postukiwał w borze, lecz ja nie słyszałem tych leśnych odgłosów. Byłem bowiem tak zajęty własnymi myślami, że nie dochodziły do mnie.

Piękna sytuacja! Nie wiedziałem, gdzie się znajduję, nie miałem ani grosza, ani nawet suchej kromki chleba. Pozostał mi tylko honor i świadomość, że chciałem uratować życie paniusi umierającej z pragnienia. I jeszcze coś — pusta butelka po lemoniadzie.

Oto prawdziwa ironia losu. Chciałem zasłużyć na podróż w Bieszczady, pod troskliwą opieką MO wrócić legalnie na łono rodziny, tymczasem wracałem bez milicjanta, lecz z honorem.

„Wracałem” — w trybie warunkowym oczywiście. To, co w tej chwili robiłem, nie było wcale powrotem, lecz beznadziejną walką z własnymi myślami.

Po chwili jednak pocieszyłem się. Jack London był nieraz w gorszych tarapatach, lecz nigdy nie przejmował się. Przypomniałem sobie, jak raz, kiedy jechał na dachu transamerykańskiego pociągu przez górzysty i dziki stan Utah, spędzili go z dachu konduktorzy i został sam, wśród śnieżnej zawiei, w noc pełną wycia

wilków. Czy płakał nad swoim losem? Nie. Pomyślał: „śmierć frajerom”, splunął i poszedł wzdłuż torów. A potem jeszcze o tym napisał.

Rozejrzałem się. Nie było gór ani śnieżycy, ani wycia wilków. Tylko kosy pogwizdywały wesoło w gąszczu i kukułka wciąż kukała na wyniosłym grabie. Zaraz zrobiło mi się raźniej. Powiedziałem: „śmierć frajerom”, splunąłem, wbiłem rękę w kieszenie i ruszyłem nasypem wzdłuż torów.

A świat był znowu szeroki, piękny i mój.

Przyjemnie jest w pogodny dzień maszerować torami. Słońce iskrzy się na szynach, a szyny jak dwie roztopione nici biegną daleko, daleko... I nagle zdaje ci się, że prowadzą cię gdzieś w nieznany świat...

Uszedłem może z trzy kilometry, kiedy na skraju nasypu ujrzałem starą kobietę z małą dziewczynką. Zachowywały się nieco dziwnie, jakby w lesie szukały zaginionych skarbów. Pochylone, wzrok utkwiły w ziemi, szły od drzewa do drzewa i małymi grabkami rozgarniały opadłe listowie.

Bardzo mnie zaciekało, czego tak szukają. Zeszedłem z nasypu.

— Przepraszam, czego pani szuka? — przywitałem starowinę.

Wyprostowała się, odgarnęła wymykające się spod chustki włosy.

— Specjałów dla francuskich smakoszy — zażartowała uśmiechając się przyjaźnie.

— Ostryg ani kawioru w lesie pani nie znajdzie — odparłem.

— Może to im lepiej smakuje niż ostrygi — zaśmiała się krótko.

Wtedy podeszła do nas dziewczynka. W rękę trzymała koszyk nakryty kawałkiem perkalu. Odchyliła perkal. W koszyku było pełno ślimaków.

— Winniczki — powiedziała.

Skrzywiłem się z niesmakiem.

— To się je?

Starowina roześmiała się.

— U nas nie, ale we Francji, w Paryżu, to wielki przysmak.

— Co się tak krzywisz, nieboraku?

— Zemdliło mnie.

— Ciebie mdli, a oni za to słono płacą.

— I jedzą żywe, jak ostrygi?

— Licho ich wie. Niech sobie jedzą, jak chcą. Nas to nie obchodzi. Grunt, że można zarobić... — Wyjaśniła mi, że w pobliskim nadleśnictwie jest punkt

przedsiębiorstwa „Las”, gdzie skupują winniczki.

— To wspaniale! — zawołałem. — Właśnie potrzeba mi trochę forsy. Jestem bez grosza...

Spojrzała na mnie uważniej.

— A ty skąd?

— Z Warszawy. Ale teraz chcę się dostać na wyspę Wolin do Międzywodzia, tam moja mama jest z dziećmi na letnisku.

—Piechotę?

—Nie. Autostopem.

—Taki młody... I sam... — pokręciła głową.

Nie lubiłem, gdy kręcono nade mną głową. Dość już miałem tego kręcenia.

— Mam więcej lat, aniżeli pani się zdaje. A zresztą to nie takie ważne. Najważniejsze, żeby zarobić.

Starowina zaczęła wypytywać mnie o rodzinę. Jak się czuje mama, ile zarabia ojciec, czy mam rodzeństwo, co jadamy na obiad, ile kosztuje w Warszawie kilo wołowiny bez kości i czy potrafimy związać koniec z końcem? A na ostatku zapytała, do której chodzę klasy i jak się uczę.

Nie wiem, dlaczego jej to było potrzebne. Może prowadziła statystykę, a może się chciała nieco rozerwać. Zapewniłem ją, że ojciec przyzwoicie zarabia i możemy związać koniec z końcem. Była zachwycona. Z wdzięczności pokazała mi drogę do nadleśnictwa.

Wkrótce miałem zostać zbieraczem ślimaków-winniczek.

Los jednak sprzyja trampowi. Niewinne winniczki miały uchronić mnie przed śmiercią głodową. Byłem im niezmiernie wdzięczny. Im i paryskim smakoszom, którzy płacili za nie ciężką forszę. Nastrój mój od razu poprawił się o kilka kresiek. Szedłem do nadleśnictwa pogwizdując na cześć ślimaków i paryskich smakoszy moją ukochaną piosenkę „Parasolki”.

W nadleśnictwie radca od winniczek znowu zaczął nade mną kręcić głową, że niby jestem jeszcze niedoświadczony, a oni zatrudniają tylko miejscową ludność. Przywołałem na pomoc własną fantazję.

— Proszę pana — powiedziałem — ja też jestem miejscowy. Moi przodkowie w pocie czoła orali tę ziemię, sadzili na niej ziemniaki, buraki cukrowe i polowali na grubego zwierza.

Parsknął śmiechem.

—Fantazję to ty, chłopcze, masz, tylko nie wiem, czy umiesz zbierać winniczki.

—To się samo przez się rozumie — czarowałem, jak mogłem. — Proszę mi tylko pozwolić, a przekonam się pan. I w ogóle... powinien pan dbać o nasz eksport

do Francji i o ciężkie dewizy.

Dał się wreszcie ubłagać, wciągnął mnie na listę, pożyczył koszyk i grabki, a na koniec życzył pomyślnych zbiorów.

Dołączyłem do grupy młodzieży wiejskiej z Ludowego Zespołu Sportowego. Od tygodnia zbierali winniczki, żeby za zarobione pieniądze kupić sprzęt spor-

towy dla klubu. W ten sposób niewinne ślimaczki przyczyniały się do rozwoju sportu i kultury fizycznej na polskiej wsi.

Mnie natomiast miały pomóc pokonać ostatni odcinek drogi do Międzywodzia.

Poszliśmy tyralierą w las. Po drodze dowiedziałem się, jak wygląda winniczek i jak go trzeba szukać. Sprawa prosta — winniczek jako taki zamieszkuje najchętniej polskie lasy. Najłatwiej można go spotkać na wilgotnych polankach, wśród zwiędłego listowia. Należało więc w tym celu małymi grabkami rozgarniać trawę i ściółkę leśną.

Rozgarniałem z wielkim zapałem. Praca niezwykle pasjonująca. Myślisz, że trawa — to po prostu trawa, a ściółka leśna — zbiór nawarstwiających się liści, a tymczasem natrafiasz na odrębny świat rojący się od żywych stworzeń. Rozgarniasz trawę, patrzysz i oczom nie wierzysz: drobna mrówka taszczy trzy razy większy od siebie patyk, dalej kosmata gąsienica, czarna, z pomarszczonymi pręgami, idzie jak dama w futrze na spacer. Coś mignęło w trawie... To młoda jaszczurka dała susa w gęstwinę. Żałujesz, żeś się jej dobrze nie przyjrzał, a tu nagle widzisz dwoje wpatrzonych w ciebie oczu. Olbrzymia ropucha! Chcesz sięgnąć po nią, a ona wyskakuje jak z procy i ginie w zaroślach.

Tysiące złocistych muszek bzykają nad gąszczem traw, tysiące małych owadów wspinają się po źdźbłach i liściach. Zamykasz oczy, a łąka gra najpiękniejszą muzyką. Otwierasz — mieni się tysiącem barw.

Łąka się mieni, gra, a winniczki tymczasem korzystają z mojej romantycznej duszy i chowają się, gdzie mogą. Rozgarniałem, podziwiałem i do tej pory nie znalazłem ani jednego.

— Nie martw się — uspokoiła mnie dziewczyna z LZS-u. — Winniczki żyją koloniami. Jak natrafisz na nie, to będziesz zbierał i zbierał.

Tak, trzeba tylko natrafić. Nareszcie natrafiłem na pierwszego. Siedział sobie na wielkim patyku i nie przeczuwał, jaki los go czeka. Nie zdawał sobie sprawy, że jest towarem eksportowym, a za kilka dni może znaleźć się na bulwarach paryskich jako przysmak.

Oto pech! Siedział chwilę zamyślony, potem zaczął swój ślimaczy spacer wzdłuż patyka. Po drodze wcinął napotkane mszyce czy inne robaczki i radował się pięknym dniem.

Zadumałem się nad winniczką. Kukułka wciąż jeszcze kukała, a ja nie mogłem zdecydować się — wrzucić go do koszyka czy zostawić na swobodzie? Gdyby to był grzyb, istota nieczuła, pozbawiona fantazji i wyobraźni, nie zastanawiałbym się ani chwili. Tymczasem miałem przed sobą osobnika z wyobraźnią, ślimaczą wprawdzie, lecz kto to wie, jaką ślimak ma fantazję, co mu się roi w jego ślimaczym mózdzku.

„Nie — pomyślałem — nie rzucę go na pastwę paryskich obżartuchów. Niech sobie łykają francuskie ostrygi, ale od polskich ślimaków wara!”

Darowałem mu życie. Niech sobie spaceruje po lesie, wyciąga różki, wcina rozmaite leśne smakołyki i słucha kukułki, jeżeli ją słyszy. Byłem niezwykle zadowolony z tej decyzji. Wołałem skompromitować się anizeli wysłać pięknego winniczka na pożarcie Francuzom.

Uwolniłem się dyskretnie od towarzystwa dzielnych sportowców, powróciłem do nadleśnictwa. Specjalista od ślimaków przywitał mnie kpiącym uśmiechem:

—Pobiłeś już rekord, kawalerze?

—Tak, proszę pana — odparłem. — W ciągu godziny i piętnastu minut nie znalazłem ani jednego winniczka. Może macie inną robotę? Może skupujecie

grzyby? Jestem specjalistą od borowików i kurek.

Niestety, było to przedsiębiorstwo specjalizujące się w zbieraniu ślimaków. Grzybów nie prowadzili. Wypadało mi jedynie podziękować za dobre chęci i ruszyć w dalszą drogę.

Zanim jednak ruszyłem, zapytałem, gdzie jestem. Uprzejmy eksporter ślimaków powiedział, że trzy kilometry od Trzebiatowa, a jeżeli chcę się dostać do Kamienia Pomorskiego, to w Trzebiatowie jest połączenie autobusowe.

Dobra jest. Trzy kilometry to przecież mięta. Nie dogwizdzę jednej zwrotki „Parasolek” i już będę na miejscu. A za połączenie autobusowe dziękuję bardzo. Jestem autostopowiczem czystej wody i wołałbym przejść do Kamienia piechotą anizeli upaść tak nisko. Zagwizdałem moje ulubione „Parasolki”, splunąłem w cztery strony świata i wyruszyłem do Trzebiatowa. W Trzebiatowie żalowałem bardzo, że nie ma Dudusia. Nie miał mi kto wyjaśnić, kiedy i kto założył tę miejscinę. Nie wiedziałem również, ile ma mieszkańców, jak wysoko leży nad poziomem morza i z którego stulecia pochodzi kościół farny.

Wiedziałem jedynie, że jestem piekielnie głodny, a w kieszeni nie mam złamanego szeląga. Zresztą, gdybym nawet miał cały szeląg, i tak nic by mi to nie pomogło, bo teraz trzeba płacić złotymi.

Dziwna rzecz, gdy człowiekowi zaczyna burczeć w brzuchu, zaraz na myśl nasuwają się najsmakowitsze potrawy na świecie. I mnie nasunęły się rozmaite pieczone kuropatwy, zrazy zawijane z kaszą gryczaną, nawet naleśniki, które M'naba usmażył w Wałczu, żołądek zaczął domagać się paszy treściwej dla swych soków, a w powietrzu wisiał zapach placka z wiśniami. Nie zwracałem już uwagi na zabytckowe mury ani kamienice, tylko stęsknionymi oczami wodziłem po szyldzie gospody „Rega”, który zapraszał na smaczne zakąski i gorące dania.

„Nie ma sytuacji bez wyjścia — pomyślałem. — Jack London nieraz przy-mierał głodem, a jednak napisał «Zew krwi» i zarobił podobno kilka milionów

dolarów. Kto wie, czy ja kiedyś czegoś nie napiszę. W szkole robię straszliwe byki, ale pani chwali mnie, że moje wypracowania mają polot".

Za polot nie dostaje się zawijanych zrazów ani nawet kanapki ze śledziem. Trzeba najpierw zarobić. Zrezygnowałem z zarobku za winniczki, należało wymyślić inny sposób uczciwego zarobkowania.

Przypomniałem sobie o butelkach. Dobra jest. W Warszawie też zbierałem z harcerzami na fundusz obozowy.

Rozejrzałem się. Miałem szczęście. Dzień był targowy, rynek zatłoczony furmankami, a przy furmankach dzielni rolnicy, którzy przybyli, by sprzedać płody rolne okolicznych wsi.

Istnieje w Polsce prastary słowiański zwyczaj. Jeżeli sprzeda się prosiaka, cielę lub gęś, to trzeba je „oblać”. Oblewali więc po prasłowiańsku piwem, winem owocowym i jeszcze czymś mocniejszym, a ja — jakby nigdy nic — chodziłem między furmankami i zbierałem to, z czego oblewali — butelki. Towar prosto od konsumentów. Nie trzeba go myć, tylko zebrać i zanieść do punktu skupu. Chwaliłem więc prasłowiańskie tradycje i zbierałem. Gdy doliczyłem się piętnastu butelek, zaniósłem do punktu skupu. Otrzymałem piętnaście złotych i poczułem się nagle jak jakiś Ford lub Rockefeller.

Nie muszę nadmieniać, że zaraz znalazłem się w gospodzie „Rega”.

Usiadłem za stolikiem jak szejk Kuwejtu w hotelu „Bajados” w Miami Beach na Florydzie i zamówiłem kotlet schabowy z małosolnym ogórkiem za dwanaście złotych i czterdzieści groszy. Rozkosz! Palce lizać. Nie ma to jak kotlet schabowy za własne pieniądze.

Gdy z rozkoszą wbijałem kotlet schabowy, w drzwiach gospody zjawił się nagle sympatyczny blondyn w skórzanej wiatrówce i poplamionych oliwą dżinsach. Z daleka poznałem kierowcę. Któż bowiem mógł wejść do gospody z tak wyniosłą miną i obrzucić kelnerkę tak władczym spojrzeniem?

Nie myliłem się. Za chwilę, gdy usiadł obok mnie, zawołał do kelnerki:

— Pani Lusi, zupę pomidorową i pieczeń rzymską z buraczkami, tylko gazem, bo walę do Kamienia.

„Niebo mi go zsyła — pomyślałem. — Nie tylko kierowca, ale wali do Kamienia. Trzeba go oczarować”.

Tymczasem jednak czarowała go pani Lusia. Gospoda pełna, wszyscy wołają, pokrzykują: „dwa razy duże jasne”, „ćwiartka, jeśli łaska”, „bigos myśliwski, ale duchem”, „zrazy, pani Lusi, bo konam z głodu”, a ona nic, tylko uśmiecha się do blondyna, jak do maharadży Hajderabadu, i czaruje:

— Dawno pana nie było, panie Zenek. Zapomniał pan o mnie.

— W Koszalinie byłem po towar.

— Radzę panu pieczeń cielęcą... Opalony pan jak Apollo, ho! ho!

— Co robić.

— I w ogóle wygląda pan jak młody bóg.

- Wygląda się, pani Lusi.
- Piwo też podać?
- Broń Boże, jestem w ruchu.
- To oranzadę.
- Może być. Tylko zimną.
- Dla pana wszystko.

Posłała mu uśmiech królowej z bajki, a ja zacząłem łamać sobie głowę, jak by go zahaczyć. „Przystojny, blondyn, kierowca, ma szalone powodzenie u kobiet, i do tego solidny, bo nie chce przed drogą napić się piwa”. Jak go tu zagadnąć? Może zastrzelić go Szajbą albo powróżyć z kart? Niestety, kart nie miałem, a Szajba wydał mi się nieodpowiedni w tej chwili. Może powiedzieć, że jestem synem alkoholika i zwiąłem z domu, bo macocha znęcała się nade mną? Nie. To dobre dla Meksykańczyków, a nie dla takiego blondyna. Wahałem się. Nie mogłem znaleźć sposobu.

Naraz usłyszałem ciche brząknięcie. Przy sąsiednim stoliku starszy pan w okularach odsuwa szklanę po kawie. Na dnie szklanki leżała spora warstwa fusów...

I wtedy właśnie wpadłem na genialny pomysł.

—Przepraszam pana — zwróciłem się do sąsiada — czy pan mógłby mi odstąpić na chwilę tę szklanę?

Spojrzał na mnie zdumiony, bez słowa podsunął mi szklanę. Chwyciłem ją jak największy skarb. Zrobiłem minę fakira, wysypałem fusy na spodek i zacząłem grzebać w nich palcem.

Po chwili zerknąłem w stronę blondyna. Niestety, nie zwracał na mnie uwagi, jak gdybym był powietrzem, a nie człowiekiem, który miał go za chwilę oczarować.

„Jeżeli on nie zwraca na mnie uwagi, to ja muszę zwrócić na siebie” — pomyślałem. Zastukałem głośno łyżeczką w szklanę.

Raczył na mnie spojrzeć.

—Nie widzisz, że kelnerka jest zajęta? — powiedział zniecierpliwiony.

—Bardzo pana przepraszam — uśmiechnąłem się najmiłszym uśmiechem, a że byłem po schabowym kotlecie, nie przyszło mi to trudno.

—Nie szkodzi.

Przysunąłem się bliżej.

—Pan pewno myśli, że jestem takim zwykłym chłopcem?

W jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

—A jakimże ty jesteś — zapytał.

Przeniosłem spodek z fusami na jego stół, przysiadłem się jeszcze bliżej. Patrzył na mnie z coraz większym zainteresowaniem. Na mnie i na spodek. Ja tymczasem zrobiłem tajemniczą minę, chrząknąłem dwa razy i wyszeptalem:

—Pan pewno nie wie, że mój ojciec podczas wojny służył w angielskim lotnictwie. ..

—Nie wiem, jak pragnę zdrowia — zaśmiał się.

—Ale to nic — starałem się mówić jak najgrubszym głosem i patrzeć mu prosto w oczy. — To mięta. Nie wie pan, że go wysłali do Indii.

Nie wiedział. Ja również nie wiedziałem, skąd mi to wpadło do głowy. Wiodocznie z fantazji. Ciągnąłem dalej:

—A w Indiach poznał córkę pewnego fakira, która się w nim na śmierć zakochała.

—Ciekawe — powiedział.

—I ożenił się z nią, chociaż fakir zrobił straszną drakę, że córka wychodzi za Polaka.

—A ty może jesteś jej synem?

—Zgadł pan! — zawołałem i w tej samej chwili sam uwierzyłem, że jestem wnukiem fakira.

—Nie wyglądasz na to. Jesteś zupełnie jasny.

—Nie szkodzi. Gdyby pan zobaczył moją siostrę. Wykapana mama. Ale ja odziedziczyłem po matce zdolność przepowiadania przyszłości.

Myślałem, że osłupieje ze zdziwienia lub z podziwu, a on tymczasem zabrał się do cielącej pieczeni.

—Ciekawe — mruknął.

—Jeszcze jak. A najlepiej wróży mi się z fusów.

—Z fusów? Pierwszy raz słyszę.

—Mogę panu powróżyc — powiedziałem ot tak sobie.

—Ciekawe — uśmiechnął się.

Dmuchałem w spodek, zawiesiłem nad nim ręce i chwilę zaklinałem fusy. Potem wypowiedziałem kilka słów w narzeczu Bantu, żeby było bardziej tajemniczo. Na końcu zamieszałem fusy palcem i jeszcze raz dmuchnąłem.

— Ma pan piekielne powodzenie u kobiet — powiedziałem. — A zwłaszcza u brunetek.

Kierowca zapomniał o cielęcinie z surówką. Nachylił się nad spodkiem. Patrzył na fusy.

—Ciekawe... — wyszeptał. — Wal dalej.

—Jedna brunetka wciąż pana czaruje. Chce się z panem ożenić...

—Chyba wyjść za mnie za mąż — zaśmiał się sucho.

—Właśnie, wyjść za mąż — poprawiłem się szybko. — Ale niech się pan jej strzeże.

—Dlaczego?

—Bo ona nie leci na pana, tylko na forszę.

—Ciekawe.

—Ale najbardziej pana kocha jedna blondyna. Do szaleństwa...

—Do szaleństwa?

—Tak... ale pan nie ożeni się z nią, tylko z jedną rudą i będzie pan miał troje dzieci.

—Dlaczego właśnie troje?

—Bo pan nie lubi liczb parzystych... I w ogóle ma pan piekielne szczęście. Czeka pana gruba wygrana. Skromnie licząc pół miliona... w totka oczywiście...

I kupi pan sobie taksówkę, a potem domek jednorodzinny.

Uśmiechnął się.

—Ile będzie pokoi?

—Pięć, kuchnia i łazienka... I aż do starości nie będzie pan chorował, tylko będzie pan szczęśliwy.

—A kiedy umrę? — zapytał nagle.

Zamurowało mnie. Pytanie wydało mi się niebezpieczne. Był bowiem tak sympatyczny, że nie powinien w ogóle umierać. Nie chciałem go martwić, więc rzekłem wykrętnie:

— Powinien pan uważać na kieliszek. W kieliszku czyha niebezpieczeństwo. Ale w najbliższej przyszłości pojedzie pan do Kamienia Pomorskiego w bardzo miłym towarzystwie.

Spojrzał na mnie roześmianymi oczami i pokręcił głową. Myślałem, że z podziwu, a on tymczasem przysunął do siebie spodek, dmuchnął w fusy i powiedział:

— Abra-kadabra, abra-kadabra, teraz ja ci powróżę.

Zbaraniałem. Czyżby też miał w rodzinie jakiegoś fakira albo wysoko wykwalifikowaną wróżkę? Licho go wie. Po kierowcach wszystkiego można się spodziewać.

— Masz ojca i masz matkę — powiedział patrząc w fusy po kawie drugiego gatunku. — Ale dziadka fakira toś sam sobie wymyślił, kolego...

Włosy zjeżyły mi się na głowie. Poczułem, że zimny pot mnie oblewa. Nie pisałem jednak ani słowa, bo nie wypadało mu przerywać.

— Rodzice — ciągnął — mają z tobą same kłopoty, bo lubisz rozrabiać. A główkę masz nie od parady... Mózdzek elektronowy, można powiedzieć. A w tym mózdzku rodzą się rozmaite zwariowane pomysły.

Zmrużył porozumiewawczo oko i zapytał nagle: — Zgadza się?

Co miałem odpowiedzieć, skoro się zgadzało.

—A teraz — podjął — masz pewne kłopoty. Chcesz się dostać autostopem do Kamienia, a nie ma cię kto podwieźć.

—Właśnie liczyłem na pana — zaznaczyłem mimochodem.

—I dlatego zafundowałem mi rudą żonę, troje dzieci, taksówkę i pięciopokojowy domek jednorodzinny. Dziękuję — roześmiał się zdrowo. — Masz gest.

Chcesz mnie namówić do wielożeństwa?

—To pan już żonaty?

—Od dwóch lat, człowieku.

—To dlaczego nie nosi pan obrączki?

—Bo była za ciasna.

Myślałem, że spałę się ze wstydu. Wierzyłem w system cioci Kabały, a tymczasem wpadłem.

— Przepraszam — wybąkałem skruszony.

Wziął mnie za ramię i uściśnął.

— Nie udało się, trudno. Jedno trafiłeś, pojedziemy do Kamienia w miłym towarzystwie —ja z tobą, a ty ze mną. A na przyszłość nie czaruj, bo z czarami na dwoje babka wróżyła...

Chciałem rzucić mu się na szyję i uściśnąć jak morowego chłopca, ale w tym samym momencie kelnerka przyszybowwała z herbatą i szarlotką.

— Panie Zenek — powiedziała — z pana to szalony szczęściarz. Niech pan patrzy — wyjęła spod fartucha gazetę. — O, proszę, pan siedzi i nic nie wie, a tu piszą, że pan na loterii książkowej wygrał samochód.

Wyrwał jej z rąk gazetę. Ręce mu drżały, gdy rozkładał.

— Zenon Kłaput, jak pragnę... — czytał i wykrzykiwał na przemian — z Trzebiatowa, jak pragnę... był szczęśliwym posiadaczem losu „Domu Książki”, na który padła główna wygrana, samochód osobowy marki „warszawa”. Niech skonam...

Naraz odłożył gazetę, trzepnął dłonią w stolik i spojrzał na mnie jak na prawdziwego wnuka fakira.

—A niechże cię... Skąd ty to wiedziałeś?

—Wyszło z fusów — odparłem zupełnie poważnie. Byłem bowiem przekonany, że dzięki fusom wygrał na loterii samochód.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie radzę nikomu jechać z takim kierowcą, który ni stąd, ni zowąd wygrał na loterii „warszawę”.

Była to szatańska jazda. Myślałem, że lecimy samolotem odrzutowym albo rakieta międzykontynentalną. Słupy tylko migały, a krajobrazu nie było widać; zacierał się jak na zepsutej taśmie filmowej.

Pan Zenon Kłaput przeszedł sam siebie, a przede wszystkim przekroczył setkę i zdawało się, że płynie w powietrzu.

Dla fantazji śpiewaliśmy wszystkie znane i nieznane piosenki. Jak zacząłem „Gdy mi ciebie zabraknie”, on dokończył „gdy zabraknie mi ciebie”, a potem to już nie zastanawialiśmy się, co śpiewamy, byle dać upust radości.

Po drodze zatrzymywaliśmy się co kilka kilometrów, zbierając wszystkich, którzy wyciągali ręce.

— Jak autostop, to autostop! — wołał rozpromieniony. — Wsiadajcie, panowie, wsiadajcie, panienki! Brzydkie, ładne i nijakie. Dzisiaj wszystkich zabieram na gapę! Do Kamienia Pomorskiego, do Kamienia!

Wysłuzony „star” ugiął się pod ciężarem amatorów darmowej jazdy. Trzeszczały resory, piszczały hamulce, a my jechaliśmy jak na festiwal autostopu — roześmiani, rozśpiewani, pijani szczęściem.

„Jeżeli tak dalej pojedziemy — pomyślałem — to nie dojedziemy do Kamienia Pomorskiego, lecz nieco dalej — w zaświaty”. Trudno, raz w życiu wygrywa się na loterii samochód. Można sobie pozwolić na trochę fantazji.

Pan Zenon Kłaput był po prostu wniebowzięty i oszołomiony szczęściem; tak oszołomiony, że gdy zajechaliśmy do Kamienia, zapomniał zupełnie o wnuku hinduskiego fakira, który mu tak pięknie wywróżył.

Znalazłem się znowu sam na sam z naturą i z Kamieniem Pomorskim. Ha, co robić? Taki już los trampa. Wypadało mi tylko iść nad brzeg Zalewu Szczecińskiego i gorzko zapłakać. Zanim jednak doszedłem nad zalew, przed przystanią zdarzyło mi się nie uwierzyć własnym oczom. Bo jak tu uwierzyć, kiedy ni stąd, ni zowąd na słupie zobaczyłem własne nazwisko. Przetarłem oczy, ale to niczego

nie zmieniło. Na słupie nadal wisiała kartka, a na kartce czarne na białym: *Poldek Wanatowicz*. Pod Poldkiem zaś wielkimi literami: *Jesteśmy w Kamieniu Pomorskim. Biwakujemy dwieście metrów na północ od przystani. Szukaj — Ciocia Ula i Janusz*.

Kiedy nareszcie uwierzyłem własnym oczom, puściłem się biegiem w kierunku przystani. Niosła mnie radość i myśl, że za chwilę zobaczę ciocię Kabalę i Dudusia. Przebaczyłem im, zanim dobiegłem do przystani. Jak mogłem nie przebaczyć, skoro tak pięknie wypisali?

Zatrzymałem się przy przystani. Słońce zachodziło właśnie za linię lasu. Stałem twarzą do słońca. Według wszelkich zasad geografii po lewej ręce powinno być południe, po prawej północ. Zwróciłem się w prawą stronę i sadząc metrowe kroki, liczyłem. Gdy doliczyłem do dwustu, zatrzymałem się.

Nie było biwaku, nie było nawet śladu po cioci Kabale, nie mówiąc o Dudusiu. Były tylko stuletnie sosny, świergot ptaków, szum lasu, a na zalewie kilka białych żagli. Czyżbym pomylił strony świata? Nie, na to byłem za starym harcerzem. A może jeszcze raz opuścili mnie i rzucili na pastwę losu? Nie! Nie zostawiliby przecież tej kartki. Musiało się stać coś takiego, czego nie potrafiłem w tej chwili pojąć.

Nie siliłem się pojąć, bo i tak nic by mi z tego nie przyszło. Podziwiałem jeszcze chwilę piękno krajobrazu w świetle zachodzącego słońca i żagłówki sunące cicho po spokojnej wodzie zalewu.

Gdy tak podziwiałem, zaraz mi się wydało, że jestem brodatym Wikingiem. Nie bacząc na sztormy, potwory morskie ani odmęt oceanu, puszczam się wraz z druhami na pełne morze... Wszyscy mamy rude brody, oczy wpatrzone w daleki horyzont i piersi wypięte na sztormy. Opowiadamy sobie sagi i śpiewamy pełnym głosem „Choć burza huczy wkoło nas” — po skandynawsku, oczywiście.

Płyniemy pod pełnymi żaglami na podbój nowych ziem. Mamy zamiar przed Kolumbem odkryć Amerykę. Tylko nikt w to nie chce uwierzyć, bo o Kolumbie trąbią na wszystkie strony świata, a o nas zupełnie zapomnieli. Czekamy jednak cierpliwie, żeby naukowcy odkopali nasze grobowce na Labradorze i wszystkim niedowiarkom udowodnili naukowo, że to my właśnie odkryliśmy nowy kontynent.

Nie zdążyłem jednak dobić do skalistych brzegów Labradoru, gdyż w połowie drogi usłyszałem za sobą potężny głos:

— Kogo szukasz?

Odwrociłem się gwałtownie i znowu nie chciałem uwierzyć własnym oczom. Za mną stał rudowłosy Wiking — wypisz, wymaluj. Nie było łodzi, nie było sag ani wypiętej piersi, a Wiking jednak stał jakby nigdy nic i uśmiechał się do mnie. Miał rudą czuprynę, rudą brodę, oczy niebieskie, a na sobie oryginalne amerykańskie dżinsy z napisem „Texas”. Widocznie zdążył już odkryć Amerykę.

On stał i ja stałem, nie mogąc wydusić ani słowa.

—Cioci Uli szukasz? — zapytał.
—Tak — wydusiłem wreszcie z zaciśniętego gardła.
—Biwakowała tu wczoraj z jednym chłopcem. Dzisiaj zwinęli namiot i pojechali cię szukać.
—Mnie? A skąd pan wie, że mnie?
—Jesteś Poldek.
—Zgadza się.
—Szukają cię i wszędzie rozpytują się o ciebie.
—Oni mnie szukają, a ja ich.
—Właśnie. Mówili, żeście się zgubili w Kołobrzegu.
—To oni się zgubili.
—Mniejsza o to. W każdym razie ciocia Ula powiedziała, żebyś tu na nią czekał.
—To pan zna ciocię Ule?
—Kto by jej nie znał.
—Królowa autostopu — powiedziałem z godnością i dumą zarazem.
—Jeździłem z nią w ubiegłym roku po Dolnym Śląsku.
—A ja za rok wybieram się z nią w Bieszczady.
—Wolnego — roześmiał się Wiking — najpierw musicie się odnaleźć.
—To się wie — powiedziałem. — Tylko jak? Oni szukają mnie, ja ich, a w ten sposób najtrudniej się znaleźć.
—Powinieneś poczekać na nich do nocy — radził. — Chętnie bym ci pomógł, ale płynę kajakiem na drugą stronę. Powodzenia!

Rozczarowałem się. Myślałem, że Wiking wsiądzie do prastarej łodzi, wy-ciosanej z prastarych pni sosen, które rosły na brzegach fiordów, a on tymczasem zapakował się do nowoczesnego kajaka i zamiast zawołać na pożegnanie po wikingowsku „ahoj!” — rzucił: „ciao!” Trudno, nie zawsze Wiking okazuje się Wikingiem.

Znowu zostałem sam z własnymi myślami. Wahałem się chwilę. Poczucie obowiązku kazało mi zostać do wieczora i czekać na ciocię, pusty żołądek domagał się czego innego. Po wspaniałym kotlecie schabowym z małosolnym ogórkiem pozostało jedynie mgliste wspomnienie. Należało pokrzepić organizm.

Z pieniędzy zarobionych na butelkach w Trzebiatowie pozostały mi jeszcze dwa złote i sześćdziesiąt groszy polskich. Postanowiłem wstąpić do baru mlecznego.

Wstąpiłem na mleko i dwie bułki. Nie zastanawiałem się nawet, ile to może wynieść kalorii. Grunt, że wzmocniłem nadwątlony organizm białkiem, węglowodanami i jeszcze czymś podobnym.

Gdy wróciłem na miejsce byłego biwaku, zmrok już zapadł, a na drugim brzegu zalewu zapalały się pierwsze światła. Było bardzo nastrojowo i romantycznie. A najromantyczniej śpiewały trzciniaki w przybrzeżnym sitowiu.

Usiadłem na brzegu. Wydało mi się, że czegoś mi brak. Po chwili zrozumiałem, że fajki. Bo zawsze wieczorem rybacy i marynarze siadają z fajkami w zębach, „a dym im się smuży jak opowieść o dalekich morzach”. Mnie, niestety, nic się nie smużyło. Zostały mi jedynie myśli i wyobrażenia.

Wyobraziłem sobie, że jestem sławnym żeglarzem Alainem Gerbaultem, który samotnie opłynął całą kulę ziemską i miał tysiąc i jedną przygodę. Tę jedną odstąpił mi za darmo. Siedzę sobie na Archipelagu Wysp Towarzystwa, nie palę fajki, tylko wpatruję się w dalekie ogniska krajowców i wsłuchuję w ich urzekający śpiew i dźwięk gitar. W dali widać atol pełen egzotycznych ryb, a jeszcze dalej rafy koralowe, o które rozbijają się potężne fale Oceanu Spokojnego...

Wtem, jak gdyby na moje życzenie, w cieśninie ukazuje się wspaniały jacht, na którym wiozą dla mnie pocztę i dobre wiadomości. Na pokładzie ujrzałem dwóch ogorzałych krajowców z Warszawy i dwie kobiety w strojach z wyspy Bikini.

Opuścili szybko żagiel, wyrzucili na brzeg bambetle, zakotwiczyli jacht jakieś dwadzieścia metrów od brzegu i udali się w nie znanym mi kierunku.

Oni udali się, a jacht balansował na łagodnej fali. Słyszałem, jak woda klaszcze o burtę, a w olinowaniu masztu świszczy wieczorna bryza.

A cioci Kabały jak nie było, tak nie było.

Czułem, że kleją mi się powieki. Nie mogłem im na to pozwolić. Przed zaśnięciem powinienem znaleźć miejsce na nocleg. Od morza szedł chłodny powiew, a ja nie miałem nawet ciepłego swetra ani plecaka, w który mógłbym starym zwyczajem trampów włożyć nogi.

Postanowiłem więc włożyć nogi do jachtu. Genialny pomysł! Alain Gerbault kilka lat sypiał pod Wielką Niedźwiedzicą lub Krzyżem Południa w zależności od tego, na której znalazł się półkuli. Dlaczego nie mógłbym spróbować? Przypuszczałem, że mili krajowcy nie będą mieli mi za złe, jeśli zaszczycę pokład ich „Oriona” swoją skromną osobą.

Rozebrałem się szybko, ubranie zwinąłem, związałem paskiem i przymocowałem na karku. Potem dopłynąłem do jachtu. Gdy stanąłem na pokładzie, osaczyły mnie najfantastyczniejsze pomysły. Jeden z nich wydał mi się godny samego Jacka Londona: postawić żagiel, podnieść kotwicę i z lądowego szczura przeistoczyć się w wilka morskiego.

Brrr... na samą myśl przeszły mnie ciarki. Pomysł wydał mi się zbyt śmiały. Zadowolilem się samą myślą o wspaniałym rejsie przez Bałtyk do skalistych wybrzeży Szwecji.

Tymczasem należało przygotować sobie nocleg. Zeszedłem więc do kabiny. Luksus! Dwa hamaki, dwa koce, a do tego fale pluskające o burty jachtu. Nigdy jeszcze nie spałem w hamaku. Miałem więc pewne trudności z samym ulokowaniem się w tej siatce do spania. Dwa razy spadałem i dwa razy wspinałem się. Wreszcie ułożyłem się wygodnie. Jeden koc podłożyłem pod siebie, drugim się

nakryłem. Wsluchany w plusk fal i śpiew trzciniaków w sitowiu, pomarzyłem jeszcze chwilę.

Przez iluminator widziałem ciemną taflę wody i smugi światła drgających wokół oświetlonych boi. Wyżej, nad lasem, mrugały już gwiazdy. Wiatr poświstywał w olinowaniu i woda pluskała o burty...

Mówię wam, że nie ma piękniejszej melodii na świecie, i jestem pewny, że tej nocy nikt nie spał tak wspaniale.

— Pobudka! Wstawać! — usłyszałem nad sobą dziwnie znajomy głos.

Przez chwilę zdawało mi się, że jestem majtkiem na „Santa Marii”, flagowym okręcie Krzysztofa Kolumba, i sam odkrywca Ameryki wzywa mnie, bym udał się na nocną wachtę. Ale gdy otworzyłem oczy i wyjrzałem spod koca, ze zdumieniem zobaczyłem czarne wąsiki.

„Któż to miał czarne wąsiki? — grzebałem w pamięci. — Może Magellan, a może kapitan Cook, wielki zdobywca oceanów?”

— Wstawaj, Poldek, do jasnej Anielki! — zawołał ten ktoś. Nie mógł to być kapitan Cook, bo — jeśli się nie mylę — Cook nie mówił po polsku. Bardzo mnie to zastanowiło. Otworzyłem szerzej oczy i z wrażenia spadłem z hamaka.

Nade mną stał obywatel kapral Mazanek z Trzebiatowa. Stał i zrywał boki.

— Alem cię nakrył, człowieku. Ja cię szukam w całym powiecie, a ty sobie bimbasz ze mnie i śpisz na cudzym jachcie. Ładnie to? Wypada to?

— Nie wypada — powiedziałem. — I nieładnie. Ale to nie moja wina, że obywatelowi kapralowi zaschło w gardle, a ta paniusia konała z pragnienia.

— Nie twoja ani nie moja, ale komendant telefonował, żeby cię spod ziemi wygrzebać...

— To wdechowo, nie musi mnie obywatel kapral wygrzebywać.

— Aleś, bracie, narobił bigosu, dostałem taki pater-noster, że do śmierci po pamiętam.

— Bardzo obywatela kaprała przepraszam za pater-noster. Przykro mi było, żeśmy się rozstali tak bez pożegnania.

— Co było, to było — chlasnął ręką w kolano. — A teraz zbieraj się, bo nie ma czasu.

Niewiele miałem do zbierania, a właściwie nic poza myślami. Zastanowiło mnie przede wszystkim, skąd się tutaj wziął mój opiekun i w jaki sposób mnie znalazł? Zapytałem więc oględnie:

— Przepraszam, jak obywatel kapral wydedukował?

— Nie wydedukował, tylko rano przylecieli na milicję, że jakiś chłopiec śpi w ich łodzi, a ja właśnie byłem na posterunku.

—Kto?

—A ci żeglarze. Nie chcieli cię budzić.

—Morowa wiara.

—Studenci ze Szczecina. Żal im było wyrzucać cię. Więc przyszli i mówią: „Panowie, trzeba się nim zająć. Może bezdomny!” A ja do nich: „Panowie, toż to

siostrzeniec narzeczonej Franka Szajby. Właśnie go szukam”. Miałem szczęście,

bo gdybym cię nie znalazł, awans by mi wstrzymali.

—Mogę podpisać, że to moja wina.

—Nie zwracaj głowy. Walimy.

Walnęliśmy się łódką, którą obywatel kaprał dobił do jachtu. Na brzegu natknęliśmy się na studentów. Myślałem, że hukną na mnie, zwymyślają, z błotem mieszają, a oni zaraz: „Jak tam Szajba? Ile ma wzrostu? Jakie hobby?” Powiedziałem, że jego największe hobby to ciocia Ania i „jawa-dwieściepięćdziesiątka”. Z wdzięczności dodałem mu dwa centymetry, żeby się nie martwili, że mu brakuje do dwóch metrów.

Pokleпали mnie i powiedzieli, że ze mnie pistolet, co miało znaczyć morowy chłopak i daje sobie radę. Na koniec zaproponowali, że nas podrzucą żaglówką do Międzywodzia.

Obywatel kaprał długo drapał się za uchem, zanim się zdecydował.

—Panowie — mówił — ja go muszę odstawić na miejsce i zależy mi na czasie. Jak to długo potrwa?

—To zależy od wiatru — wyjaśnił jeden z żeglarzy.

—Właśnie, panowie — westchnął milicjant. — Niestety, w mojej służbie nie można polegać na wietrze.

—W najgorszym wypadku będziemy na wieczór — dodała studentka. — Zda je mi się, że zdrowo dmucha, więc możemy być dużo wcześniej.

—Murowanie wcześniej — pozwoliłem sobie na uwagę. — A przede wszystkim honorowo. Czy obywatel kaprał wyobraża sobie, jak to będzie honorowo za

winąć do Międzywodzia takim jachtem?

Milicjant wyobraził sobie. Jeszcze chwilę skrobał się za uchem, potem powiedział:

— Było, nie było, jedziemy!

Mieliśmy szczęście. Dał boczny wiatr i szliśmy pod pełnym grotem z szybkością dziesięciu węzłów.

Wspaniała podróż. Nigdy nie przypuszczałem, że moja włóczęga skończy się tak romantycznie. Po jedenastu dniach wędrówki — jak Odyseusz — wracałem na łono rodziny.

Pfu! Trzeba odstukać, żeby nie zdarzyło się coś takiego, co mogłoby przedłużyć tę podróż. Do tej pory nic się nie zdarzyło. „Orion” pruł smukłym dziobem spienioną toń zalewu, a my, leżąc na pokładzie, przypiekaliśmy się w słońcu.

I znowu byłem brodatym Wikingiem wiodącym załogę w daleką podróż, w niebezpieczny rejs. Minęliśmy — w mojej fantazji — Kattegat i Skagerrak na Morzu Północnym, przeszliśmy przez diabelski sztorm? który zniósł nam maszt i rwał liny grube jak przegub ręki. A my nic, tylko z pieśnią na ustach i z wzrokiem pełnym zuchwalstwa płynęliśmy dalej, żeby po drodze odkryć Islandię.

Na samym środku Atlantyku rozszalała się burza. Wicher osiągnął osiem stopni w skali Beauforta. Załoga była u kresu sił. Mnie dwa razy zmyło z mostka kapitańskiego, a obywatel kapral, którego mianowałem sternikiem, nabawił się przykrych bąbli na dłoniach. Ale ani się nie skrzywił. Przeciwnie, uśmiechał się poprzez łzy i wołał: „Niestraszny dla nas burzy czas!”

Gdy burza ucichła, zapytał:

— Słuchaj, Poldek, cieszysz się z powrotu do mamy?

Od razu prysł czar atlantyckiego bezmiaru. Przypomniałem sobie, że płynę pod opieką milicjanta, ale bez honoru.

— Jasne, że się cieszę — odparłem. — Cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdy bym mógł wrócić z honorem.

— Jak ty sobie to wyobrażasz?

— Po prostu. Obywatel kapral odprowadza mnie na ulicę, gdzie mieszka rodzina, ale zatrzymuje się o dwa domy wcześniej, a ja wracam ot tak sobie, jakby nigdy nic.

Milicjant pokręcił głową.

— To nie takie proste.

— Czy koniecznie obywatel kapral chce poznać moją mamę?

— Wypadałoby poznać, a przede wszystkim oddać cię pod jej opiekę.

— A czy nie moglibyśmy powiedzieć mamie, że spotkaliśmy się przypadkowo na jachcie, zaprzyjaźniliśmy się, a obywatel kapral chciał koniecznie poznać

starszą siostrę, narzeczonej Franka Szajby?

— To jest myśl.

— O, właśnie — zawołałem wesoło — to jest fenomenalna myśl. Ja wrócę z honorem, a obywatel pozna moją rodzinę i będzie po krzyku...

Tymczasem jeszcze nie było po krzyku. Płynęliśmy wciąż Zalewem Szcecińskim, a właściwie jego prawą odnogą, która nazywała się Dziwna. Wiatr wciąż był korzystny. Pruliśmy więc prosto ku pełnemu morzu. Zbliżyliśmy się właśnie do bezludnej wyspy, wylaniającej się z lewej strony burty. Z dala widać było sedynowy pas sitowia, a nad nim granatowy — strzelistych sosen. Byłem pewny, że wkrótce odkryjemy nowy, nie tknięty ludzką stopą ląd, gdy nagle ujrzeliśmy na brzegu dwoje ludzi rozpaczliwie wymachujących białym ręcznikiem.

Początkowo przypuszczałem, że to może Robinson Kruzoe z Piętaszkiem, ale gdyśmy podплыли bliżej, znowu nie chciałem wierzyć własnym oczom. Postacie wydały mi się dziwnie znajome, przede wszystkim jedna z nich — rosła, strzeliście jak otaczające ją sosny i podobna z daleka do dumnego wodza szlacheckich Siuksów.

— Zdaje mi się — wyszeptalem — że to ciocia Kabała z Dudusiem. — Wy rwałem lornetkę z rąk kapitana jachtu, skierowałem szkła na brzeg wyspy. Myślałem, że wpadnę do wody z nagłego zdumienia i radości. — Ciocia! — zawołałem tryumfalnie. — Ciocia Kabała i Duduś.

Widziałem ich teraz wyraźnie. Ciocia powiewała białym ręcznikiem, a Duduś z braku ręcznika wymachiwał rozpaczliwie rękami. Oboje wyglądali jak rozbitkowie wzywający pomocy.

Chciałem upaść do nóg kapitana jachtu i błagać go, by przybił do brzegu i zabrał na pokład rozbitków. Nie musiałem jednak upadać. Kapitan zmienił nagle kurs i z tylnym wiatrem dobiliśmy do brzegu.

Nie czekałem, aż przycumują. Byłem tak radośnie oszołomiony, że skoczyłem z pokładu do wody, wybiegłem na ląd i wpadłem wprost w rozwarte ramiona cioci Kabały. Byliśmy tak wzruszeni, że nie mogliśmy wydusić z siebie słów. Pierwszemu udało się przemówić Dudusiowi.

— Poldek — zapytał — czy nie przemoczyłeś sobie trampek?

Duduś nawet na bezludnej wyspie został jednak Dudusiem. I ciocia Kabała została sobą, bo gdy ochłonęła z radości, powiedziała:

— Jestem pewna, że w Kołobrzegu czarny kot przebiegł ci drogę lub dzwoniło ci w lewym uchu.

— Daję harcerskie słowo, że nie! — zawołałem.

Chciałem im o wszystkim opowiedzieć, lecz gdy się chce mówić o wszystkim, to nie można opowiedzieć o niczym. Dopiero na jachcie opowiedzieliśmy sobie o tym, co nas najbardziej ciekawiło i niepokoiło.

Opowiadanie cioci Kabały:

— Kochasie, nie przypuszczałam, że jesteście takie fajtłapy. Wy i ten łysy wielbiciel Szekspira. To przechodzi ludzkie pojęcie i wyobrażenie. Pierwszy raz w historii autostopu zdarzyło się, żeby zostawili mnie na lodzie. Ja mu mówię „Pan chwilę poczeka, nie mam serca zostawiać chłopców w lodowni”, a on recytuje mi piątą scenę z trzeciego aktu, a w przerwie mówi: „Dobrze, dobrze”. Jak dobrze, to wysiadam z szoferki i idę na tył wozu. Patrę, a tu drzwi zamknięte. Walę więc pięścią w drzwi, a wy, kochasie, mieliście pewno wosk w uszach. Wołam: „Niech pan zaczeka”, a on już zapuścił motor i rusza. Czy to pięknie

urządzić tak ciocię Ulę? Skandal! Przez pół dnia i pół nocy przypominałam sobie odpowiednie sceny z „Romea i Julii”, żeby móc oczarować kierowcę, wysilałam umysł, ćwiczyłam pamięć, a tu bęc, taka historia.

Co robić? O, gdyby ten łysy Romeo słyszał, czego mu wtedy życzyłam. Gdybyście wy wiedzieli, co o was myślałam. Ale co było, to było. Wyszłam na szosę. Wiadomo, kochasie, że jak się bardzo chce jechać, to nie zjawi się nawet motorower. Czekałam może godzinę, może dwie, a tu pusto, jakby w Polsce jeżdżono tylko starymi krowami. Nawet starej krowy nie było. A na dodatek ujrzałam siwego gołębia zbierającego na polu ziarno. Nie śmieście się, kochasie. Nic nie pomogło splunięcie w cztery strony świata ani nawet kominiarz, którego zobaczyłam na dachu. Z kominiarzami zwykle tak bywa, że pomagają wtedy, kiedy ich nie trzeba. Przestałam wierzyć w kominiarzy...

Gdy tylko przestałam w nich wierzyć, zaraz zjawił się motocyklista na nędznej „wufemce sto siedemdziesiąt pięć”. Ale lepszy rydz niż nic.

Nie miałam bagażu, więc go zastopowałam. Gdy się dowiedział, że chcę z nim jechać, załamał rękę. „Proszę pani — mówi — rama pod panią pęknie!” Co z takim robić, kochasie? Ale na wszystko jest rada. Powiedziałam mu, że jego motor jest najwytrzymalszy na świecie. Nie wiem, czy uwierzył. Grunt, że podwiózł mnie do Połczyna, a rama na szczęście nie pękła...

Tak, kochasie, królowa autostopu jechała najnędzniej szym wehikulem. Domyślcie się, że w Połczynie nie brałam borowinowych kąpiel. Zasięgnęłam jedynie języka, co, gdzie, jak? Ale wy, kochasie, nie byliście na tyle domyślni, żeby zostawić przynajmniej karteczkę. Nie wypierajcie się. Jeszcze sporo wody w Wiśle upłynie, zanim nauczycie się porządnie podróżować...

Miałam jednak szczęście, bo gdy wychodziłam z gospody, zobaczyłam chłopca, który włożył koszulę na lewą stronę. Nie śmieście się, to wyjątkowy wypadek, który niezawodnie pomaga. Wszystko się liczy, kochasie. I wyobraźcie sobie, patrzę, a tu nadjeżdża czarny, urzędowy „mercedes” z Warszawy, najnowszy typ dwieście dwadzieścia, a w „mercedesie” mój znajomy inżynier z „Centromoru”. Jak pech, to pech. Jak szczęście, to szczęście. Wali prosto do Kołobrzegu w urzędowej sprawie. Wóz pusty. Jechałam jak minister...

Pytacie, dlaczego tak późno przyjechałam? Przez kulawą kaczkę, moje kochasie. Pod Białogardem — pech chciał — przejechaliśmy kulawą kaczkę. Co to znaczy? Nie udawajcie, że nie wiecie. Kulawa kaczka zawsze przynosi pecha. I przyniosła. Za Białogardem strzeliła nam kicha. A na dodatek kierowca, kapuściana głowa, nie zabrał lewarka. Czekamy na jakiś wóz, a tu — jak na złość — przez godzinę nikt nie nadjeżdża. Dopiero po godzinie przyplątał się jakiś ciągnik i zmieniliśmy koło...

W Kołobrzegu, proszę bardzo, moje kochasie nareszcie odzyskały rozum i rozlepiły karteczki. Tak się robi, kochasie. Najważniejsze, to dobra informacja. Idę ja na dworzec autobusowy, a tu za chwilę nadbiega zdyszany Duduś... Ja-

nusz, przepraszam bardzo, i woła: „Ciociu, nieszczęście, Poldek gwizdnął sobie na nas i sam pojechał w dalszą drogę”...

Opowiadanie Dudusia:

— Przepraszam bardzo, ale co miałem powiedzieć, skoro ten pan z tatuażem na piersiach poinformował mnie, że Poldek złapał jakiś samochód i pojechał w nieznanym kierunku. Jeżeli chodzi o tatuaż, to czytałem, że najpiękniej tatuowali się Maorysi z Nowej Zelandii. Zresztą jest to zwyczaj barbarzyński i cywilizowani ludzie nie powinni oszpecać się.

Ale zacznijmy od początku. Byłem nieco zdziwiony, bo Poldek został na wydmach. Ostrzegałem go przecież, że może dostać porażenia słonecznego. Nie dostał? To tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Gdyby nie skoczył do wody za tą dziewczynką, chodziłby teraz z ropiejącymi bąblami na plecach. I w ogóle chciałbym wspomnieć, że na wydmach nie wolno przebywać. Tak przynajmniej głoszą tabliczki, które niestety zauważyłem dopiero później.

A więc... byłem nieco zdziwiony, lecz to nie przeszkodziło mi zasnąć w cieniu. Gdy się przebudziłem i wróciłem na wydmy, Poldka już nie było. Znając jego fantazję i wybujałą wyobraźnię, mogłem Bóg wie co przypuszczać. Przypuszczałem jednak, że strzelił mu do głowy fantastyczny pomysł...

Proszę cię, nie przerywaj. Już wiem, że zostałeś bohaterem i mają ci przyznać medal za odwagę. Wtedy, wybaczyć, nie wiedziałem. Zbliżała się godzina osiemnasta, więc poszedłem na dworzec autobusowy. Zasięgnąłem informacji u tego pana z przechowalni bagażu. Pytałem, czy Poldek nie zabrał naszych rzeczy. Bagaż był jednak na miejscu. Najlepszy dowód, że Poldek nie zgłosił się. Tymczasem ten muskularny Maorys z plamami na piersiach i ramionach przysłuchiwał się naszej rozmowie. Pech chciał, że widział podobnego do Poldka chłopca, który przy stacji benzynowej zaczął kierowców i wreszcie zabrał się autobusem do Kamienia Pomorskiego...

Mówisz, że takich chłopców jeździ teraz tysiące. No dobrze, ale skąd ja mogłem wiedzieć, że to nie byłeś ty. Nie jestem Sherlockiem Holmesem.

Przepraszam, że posądziłem cię o chęć pozostawienia mnie samego. Ale czy tylko ja posądzam. Przyznaję, że byłem trochę zaszokowany. Działąłem pod wpływem silnych bodźców emocjonalnych... Mam mówić po ludzku, proszę. Poszedłem więc na dworzec autobusowy, gdzie czekała już na mnie ciocia Ula. Mieliśmy pewne kłopoty z wydostaniem bagażu. Na szczęście w plecaku znaleziono dokumenty cioci, co najdobitniej stwierdzało naszą tożsamość. Resztę może opowiedzieć ciocia, bo widzę, że ci się nie podoba mój sposób wysławiania.

Dalsze opowiadanie cioci Kabały:

— Mnie także nie podoba się. Mówisz jak człowiek dorosły, który połknął gazetę i odczytuje ją z brzucha. Mam jednak nadzieję, że wnet nauczysz się wysławiać po ludzku. Nauczyłeś się przy mnie gotować kakao i smażyć naleśniki, to i mówić się nauczysz...

Słuchaj, Poldeczku! Dudaś zmienił się nie do poznania. Mówię ci, że z niego będą jeszcze ludzie. Umie już rozpalać ognisko, rozbijać namiot, włączyć na drzewo, a muchy, które miał w nosie, odleciały chyba, gdzie pieprz rośnie. Jeżeli tak dalej pójdzie, to na przyszły rok zabierzemy go w Bieszczady. Cieszysz się? To dobrze. Ale z ciebie też dobry gagatek. Myślałam, że do reszty osiwieję.

A więc... na dworcu wydali nam bambetle. A my na wszelki wypadek zostawiliśmy list do ciebie. Mówisz, że milicjant nie dostał listu. Nie dziw się. Na miejscu tego poczciwego człowieka z bagażowni też zapomniałabym o liście. Poczciwiec wydaje bagaż bez kwitu, wykazuje maksimum dobrej woli, a tu na karku milicja. Stało się. Nie ma o czym mówić.

Pytasz, cośmy robili? Wyobraź sobie, nadarzyła się fantastyczna okazja do Kamienia Pomorskiego, z kinem objazdowym. Wygodnie, niemal komfortowo. Jeszcze tego samego dnia byliśmy nad Zalewem Szczecińskim. Zaraz zrobiłam wywiad, lecz nikt cię nie spotkał. Biwakowaliśmy w miejscu, o którym wspomniałam w kartce...

Jaki pech. Gdybyśmy poczekali jeszcze godzinę, to na pewno spotkalibyśmy się w tym miejscu. Ale przyplątali się jacyś kajakowcy i powiedzieli, że na wyspie widzieli młodego chłopca podobnego do ciebie. Nie muszę ci opowiadać, jak bardzo się ucieszyłam. Ubłagałam więc kajakowców, żeby nas podwieźli na wyspę. Ale na wyspie nie było żywego ducha...

Pytasz, kochasiu, dlaczego tak wywijałam ręcznikiem? A czym miałam wywijać? A kajakowców niech lichy weźmie. Mieli przyplynać po nas i do tej pory ich nie było. Aleja ich spotkam, marny ich widok. Najważniejsze, kochasiu, że wszyscy jesteśmy razem i wielki kamień spadł mi z serca. Teraz już spokojnie możemy wracać do mamy.

Płynęliśmy razem do Międzywodzia: ciocia Kabała, Dudaś, ja i obywatel kapral, który nagle stracił swą rolę głównego opiekuna. Był jednak tak sympatyczny, że wcale się tym nie przejął.

— Grunt, że jesteście wszyscy razem — powiedział. — Jestem już niepotrzebny i walę prosto do Trzebiatowa.

Tymczasem jednak nie walił prosto, bo byliśmy na pełnym morzu i trudno było prosto walić. Zamiast sypanąć się do Trzebiatowa, zaśpiewał nam kilka marynarskich piosenek. My też zaśpiewaliśmy kilka piosenek. I w ogóle było wspaniale.

Płynęliśmy pod żaglami „Oriona” wzdłuż brzegu wyspy Wolin raz lewym, raz prawym halsiem i cieszyliśmy się wszyscy, że wnet zobaczymy rodziny. Po jedenastu dniach włości i przygód mieliśmy zawinąć do pełnej spokoju przystani. Żal było kończyć tę wspaniałą podróż. Ale cóż, wszystko ma swój kres. Z tym zawsze trzeba się pogodzić.

Gdy zbliżaliśmy się do Międzywodzia, a w dali widać już było brzeg i ukryte w zieleni domy, Duduś zapytał ciocię:

—Przepraszam, ale ciocia nie powiedziała nam, jak to się stało, że ciocia zaopiekowała się nami.

—Jak ojciec i matka razem wzięci — dodałem.

—Ba! — westchnęła ciocia Kabała. — Zdaje mi się, kochasie, że wy za wiele chcecie wiedzieć. Powiedziałam wam przecież, że wyszło mi z kart.

—To się tylko tak mówi — wtrąciłem.

—I jeszcze w Warszawie dzwoniło mi w obu uszach, że w tym roku będę miała same kłopoty.

Duduś zrobił tajemniczą minę. Wyjął z kieszeni notes, przerzucił kilka kartek i zawołał ni stąd, ni zowąd, a raczej z pokładu:

—A ja wydedukowałem!

—Coś wydedukował, kochasiu? — zdziwiła się ciocia Kabała.

—Że ciocia pracuje w Biurze Projektów „Cekopu”.

—Z moim ojcem! — zawołałem.

—A skądże ty, kochasiu, wydedukował?

—Z legitymacji służbowej, która znajdowała się w lewej kieszeni plecaka.

Ciocia Kabała chlasnęła się w udo.

—No proszę. Mówiłam, że z Dudusia będzie morowy chłopiec. Wydedukował! Słyszałeś, Poldek?

—To nie Duduś wydedukował — powiedziałem. — To Janusz. Musimy za pomnieć o Dudusiu.

Janusz posłał mi dziękczynne spojrzenie.

—Masz rację. I jeszcze coś wydedukowałem.

—Mów, bo nie mogę wytrzymać.

—Wydedukowałem, że ciocia już z Wieżycy telefonowała do wuja Wanatowicza.

—A ty łajdaku — zaśmiała się ciocia. — Zaglądałeś mi do rachunków.

—Przepraszam bardzo, ale kartka z rachunkami była w legitymacji, więc zerknąłem mimo woli, gdy ciocia kazała mi podać swoje papiery.

—I co jeszcze? — zapytała udając zagniewaną.

—Że wydatki za nas obu wynoszą trzysta dwadzieścia cztery złote i sześćdziesiąt groszy.

—Ha — potrząsnęła siwą głową. — Do tego dochodzi dziesięć procent za moralne męki i cierpienia.

—I premia za zrobienie z Dudusia Janusza — wtrąciłem.

—Nie mówiąc o nagrodzie, która mi się należy za tolerowanie twoich fantazyjnych pomysłów, kochasiu. — Machnęła ręką, jak gdyby przekreślała

chunek cierpienia, jakie przeżyła. — Co było, to było. Niech to licho weźmie. Je

żeli Januszek wydedukował, to muszę wam, kochasie, powiedzieć. Zgadza się,

że pracuję z twoim ojcem w Biurze Projektów „Cekopu”, zgadza się, że telefo

nowałam do niego z Wieżycy i zgadza się, że piekło zesłało was na tę ziemią.

A było tak. Inżyniera Wanatowicza znam już, ho, ho... kupę lat. Kiedy Poldek

jeszcze raczkował, my robiliśmy już wielkie tury kajakowe. Wspaniały turysta.

Ma tylko jedną wadę... takiego synalka. — Roześmialiśmy się wszyscy. A ciocia

Kabała ciągnęła z werwą: — Mielicie szczęście. W czwartek, kiedy zatrzymałam

się w Wieżycy, telefonowałam do biura. Traf sprawił, że telefon odebrał inżynier

Wanatowicz. „Z nieba pani dzwoni — mówi. — Niech sobie pani wyobrazi, nasi

chłopcy zamiast pojechać do Szczecina, wybrali się w podróż w nieznane. Strasz

na awantura. Mój szwagier Fąferski włosy sobie wrywa. Szuka ich przez radio

i Bóg wie co. Ostatnio byli w Mieliwie pod Brodnicą. Gdyby ich pani gdzieś po

drodze spotkała, to bardzo proszę zaopiekować się nimi i dać im dobrą szkołę, bo

to im się należy i przyda. I proszę mnie zawiadomić...”

Zawsze mówiłam, że inżynier Wanatowicz to człowiek z głową na karku. Jak tu odmówić towarzyszowi kajakowych wędrówek. Pytam więc tu, pytam tam, czy nie widzieli takich dwóch gagatków. Wreszcie wieczorem natrafiłam na studentów.

—Meksykańczyków! — zawołałem.

—Właśnie. Mówią, że owszem, nie tylko widzieli, ale nawet zbierali z nimi grzyby. „Niech pani wali do leśniczówki, oni na pewno tam nocują”.

Walnęłam

się z samego rana i proszę...

—To rzeczywiście ciocia miała szczęście — przerwał jej Janusz.

—Ładne mi szczęście — żartowała. — Przeklinam tę chwilę.

—A jednak ciocia chciała z nami jechać — wtrąciłem.

—To dla twego ojca, kochasiu.

—I dlatego ciocia zaraz z Wieżycy zatelefonowała do Warszawy. Wyobrażam sobie, jak się tatuś ucieszył.

—Ucieszył? Wściekł się. Powiedział, żeby wam porządnie dać w kość. „Może odwieźć ich do Warszawy?” — pytam. „Ale skąd! — woła. — Chcieli autostopu,

niech mają. Tylko proszę nie cackać się z nimi!”

—Przepraszam — zapytał Janusz — a czy wuj porozumiał się z moim tatusiem?

—A jakże. Powiedział, że rozmawiał z nim telefonicznie i przekonał go, że taka podróż dobrze wpłynie na twoje muszki w nosie. „Tym lalusiem trzeba się

specjalnie zająć — zawołał. — Może z niego wyrosną ludzie”.

—I rzeczywiście — wtrąciłem w zamyśleniu.

—I rzeczywiście — powtórzyła ciocia. — Nie ma już naszego Dudusia. Zmienił się nie do poznania. Nauczył się nawet smażyć naleśniki...

W tym momencie chciałem zaprotestować, lecz pomyślałem: „Lepiej nie rozwiewać złudzeń. Niech tajemnica naleśników zostanie między mną, Januszem i M'nabą”.

—Tak — stwierdziłem — to były najsmaczniejsze naleśniki na świecie.

—A jak to ciocia zrobiła — zapytał Janusz — że ciocia Benia dzwoniła do cioci w Wałczu?

—Grunt to dobra organizacja, kochasie — ciocia Kabała uniosła się, jak wódz Siuksów przekazujący swoim wojownikom doświadczenia i nakazy. —

Dobra

organizacja ułatwia człowiekowi życie. Umówiłam się z inżynierem Wanatowi-

czem, że w poniedziałek o godzinie szesnastej będę czekała na pocztę w Wałczu

na telefon od jego żony...

—To fenomenalne! — zawołałem. — Skąd ciocia wiedziała, że w poniedziałek o szesnastej będziemy w Wałczu?

—Kochasiu, gdybyś miał na liczniku ponad piętnaście tysięcy kilometrów, też byś wiedział, gdzie i o której. Mama była wniebowzięta. Wiedziała już o naszym

planie i dostała wasze dwa listy. — Ciocia Kabała utkwiała swe sokołe spojrzenie

w dalekim horyzoncie. Wyglądała teraz jak stary Wiking bez rudej brody, jak

nieustraszony żeglarz, który nie bacząc na rozhukane fale płynie przez bezmiar

oceanu. — Tak — westchnęła. — Mam nadzieję, że ta podróż wiele was nauczyła.

—Tak — powtórzyłem jak echo.

Byliśmy blisko brzegu. Widać było szeroką, złocistą plażę, na plaży barwne parasole. Kosze plażowe i ludzie. Pełno ludzi, jak mrówek na piasku.

I znowu poniosła mnie fantazja.

Zdawało mi się, że płyniemy z Jackiem Londonem na jachcie „Snark”. Przebyliśmy już osiem tysięcy mil z San Francisco i właśnie zbliżamy się do Honolulu. Na brzeg wylęgają krajowcy. Smukłe hawajskie dziewczyny niosą wieńce z kwiatów, a hawajscy chłopcy dźwierzą hawajskie gitary i śpiewają pieśń powitalną. Ja tymczasem siedzę w kajucie i piszę na maszynie reportaż dla „Examinera” — za każde słowo dwa dolary.

Jest o czym pisać — tyle wspaniałych przygód.

Nareszcie stanęliśmy na lądzie. Na cześć miłych gospodarzy odśpiewaliśmy „Nie ma to jak spać w hamaku...” i „Sto lat”, a potem uścisnęliśmy im dłonie. Morowa wiara! Dzięki nim z honorem dobiłem do ostatniego portu.

Najmocniej uścisnąłem prawicę obywatelowi kapralowi.

— Dziękuję bardzo za opiekę — powiedziałem. — Proszę przyjechać do nas do Warszawy. Przedstawię obywatelowi kapralowi Franka Szajbę i wytrzasnę bilety na mecz „Legia” — „Wisła”. Murowane.

Rzuciłem mu się na szyję i ścisnąłem jak starszego brata. Łza zakręciła mi się w oku, gdy wspomniałem, jak komfortowo spałem na jego tapczanie. I jemu się zakręciła, gdy przypomniał sobie, jak ochoczo na jednej nodze skoczyłem po wodę. Jednym słowem, zżyliśmy się i trudno było się rozstać.

A potem ruszyliśmy z przystani na ulicę Słoneczną. Ja pchałem wózek, Janusz wspominał o Dudusiu, a ciocia Kabała patrzyła na nas sokolim okiem. Milczeliśmy, bo ogarniało nas wzruszenie.

I nagle, kiedy skręcaliśmy w boczną ulicę, zza zakrętu wyłoniła się malownicza grupa — dwie panie w wielkich słomkowych kapeluszach i czworo dzieci pstrych jak biedronki. Myślałem, że mnie wzrok myli, lecz tym razem nie mylił.

— Mamo! — zawołałem radośnie. Rzuciłem wózek, rozwarłem ramiona i pobiegłem na spotkanie.

Mama też rozwarła. Wpadłem w jej objęcia. I nagle uczułem, że po burzliwych dniach przybiłem do najwspanialszej, najczulszej przystani. A mama tuliła mnie, głaskała włosy, w których było pełno rozmaitego listowia jeszcze z Wąlcza, Tucholi i Wieżycy.

Potem wszyscy z wszystkimi obejmowali się, całowali. I był taki rozgardiasz, że nie wiadomo, kto z kim się witał i kto do kogo mówił. Słyszałem tylko urywane okrzyki:

— Jak wy wyglądacie!

— Opaleni jak Cyganie!

— Brudni jak kominiarze!

— Co wam strzeliło do głowy?

— Duduś jest nie do poznania.

— Zmężniał.

— A Poldek ma dziurawą koszulę.

Pierwszy Janusz przerwał tę litanię. Ściągnął poważnie brwi, zrobił tajemniczą minę i powiedział zupełnie tak, jak wuj Waldek:

— Chciałem wam zakomunikować, że nie jestem już Dudusiem. Od dzisiaj szego dnia proszę do mnie mówić Janusz.

— Tak! — zawołałem. — Z niego już coś wyrosło.

—A ty? — zapytała mama. — Czy ty już też zmadrzałeś? I powiedz mi, mój drogi, co ci strzeliło do głowy, żeby jechać autostopem?

—Nic mi nie strzeliło — powiedziałem — tylko zgubiliśmy pięćset złotych i nie chcieliśmy was narażać na wydatki.

Wszyscy roześmiali się, jakbym powiedział coś bardzo wesołego, a mały Maciuś zawołał:

— Najśmieszniejsze, że te pięćset złotych zostawiliście u cioci Anki na stole!

K o n i e c

Warszawa, kwiecień 1964 r.